ALEX
KAVA
CZARNY PIĄTEK

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

Czarny piątek

Tłumaczenie:
Katarzyna Ciążyńska

DEDYKACJA

Walter Platt Carlin
1922-2008
Niezastąpiony mąż, ojciec, oficer, dżentelmen, przyjaciel.
Nie przestajemy za tobą tęsknić

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Piątek rano, 23 listopada
Mall of America
Bloomington, Minnesota

Rebecca Cory tylko lekko się zachwiała, gdy ktoś po raz kolejny pchnął ją łokciem między łopatki. Za pierwszym i drugim razem nawet nie zareagowała, w końcu jednak zerknęła przez ramię. Za nią stał wytatuowany mężczyzna w spodniach moro i obcisłym T-shircie, wobec tego postanowiła zignorować także i to uderzenie. Osiłek tak bardzo górował nad nią. Dziwne, bo nie trzymał w ręku kurtki, choć na zewnątrz temperatura ledwie przekraczała zero stopni i padał śnieg. Z drugiej jednak strony w zatłoczonym centrum handlowym taki strój był w sam raz.

Co prawda tylko rzuciła okiem na drągala, lecz zdołała zanotować w pamięci fioletowo-zielonego węża wytatuowanego na ręku. Koniec węża zawijał się na karku, zaś spod pachy wystawała ziejąca ogniem głowa. Wizerunek gada ciągnął się aż za łokieć. Ten sam łokieć, który trafiał ją między łopatki.

Powiedziała sobie, że musi uzbroić się w cierpliwość. Kolejka do baru kawowego w centrum handlowym posuwała się w miarę szybko, więc w końcu dotrze do lady.

To już nie potrwa długo. Usiłowała skupić uwagę na świątecznych piosenkach, a dokładnie na tych paru dźwiękach, które przebijały się przez gwar tłumów oraz napady histerii i złości zniecierpliwionych dzieci.

...w zaczarowanej krainie śniegu.

Bardzo lubiła tę piosenkę, ale tutaj i teraz nie czuła, że jest zima. Pot lał się strużkami po jej plecach. Żałowała, że nie zostawiła płaszcza pod opieką Dixona i Patricka, którzy pilnowali z trudem zdobytego stolika w przepełnionym barze.

Rebecca nuciła do wtóru płynącej z głośników muzyki. Znała słowa wszystkich tych piosenek. Długą podróż z Connecticut do Minnesoty urozmaicali sobie, śpiewając bożonarodzeniowe przeboje. W dwadzieścia jeden godzin pokonali ponad dwa tysiące kilometrów. Przetrwali dzięki red bullowi, kawie wypijanej w przydrożnych całodobowych sklepach i sieci McDonald’s. Jeszcze tego nie odespała, chociaż wczoraj po uroczystej kolacji z okazji Święta Dziękczynienia, na którą zostali zaproszeni, nocowali w domu dziadków Dixona. Wszyscy troje dosłownie padli na łóżka jak kłody. To był jej pierwszy od lat świąteczny posiłek – nadziewany indyk, prawdziwe ziemniaki pureue i wszystkie stosowne dodatki. Dziadek Dixona odmówił modlitwę. Babcia nakładała im na talerze czy o to prosili, czy nie. Dixon nie miał zielonego pojęcia, jak wielkim jest szczęściarzem: rodzina, tradycja, stabilność, bezwarunkowa miłość. Rebecca miała okazję przekonać się, że to wszystko

istnieje. Napełniło ją to nadzieją, choć w jej życiu tych wartości brakowało.

Mężczyzna znów szturchnął ją między łopatki.

Jasna cholera! – zaklęła w duchu, nie odwróciła się jednak. Co ja właściwie tutaj robię?

Nie znosiła centrów handlowych, lecz oto znalazła się w jednym z nich, i to nazajutrz po Święcie Dziękczynienia, w najgorszym dniu całego roku, gdy po sklepach buszują największe tłumy. Uległa namowom Dixona, zresztą to on przekonał ją do całej tej wy- prawy, obiecując niezapomnianą przygodę. Już w przedszkolu był w tym dobry, na przykład zdołał jej wmówić, że klej smakuje jak wata cukrowa. Można by pomyśleć, że tamto doświadczenie czegoś ją nauczyło. Powinna wiedzieć, że upodobanie Dixona do przygód ma wiele wspólnego z jego upodobaniem do waty cukrowej, bo najważniejsza we wszystkim, do czego tylko się zabierał, była towarzysząca temu adrenalina. Zresztą czego mogła spodziewać się po kimś, kto cytuje Batmana i Robina?

A biedny Patrick, który się z nimi wybrał, starał się zachowywać jak równy gość.

Patrick...

To zupełnie inna historia. Zdawałoby się, że powinien zaskarbić sobie jej sympatię. Tymczasem fakt, że ten absolutnie spokojny i poukładany człowiek zdecydował się przebyć ponad dwa tysiące kilometrów, żeby spędzić Święto Dziękczynienia w jej i Dixona towarzystwie, budził w niej

podejrzenia. Miała wrażenie, że to za duże poświęcenie, nawet jeśli miał nadzieję, że się z nią prześpi.

Nie, jest niesprawiedliwa.

Wiedziała przecież, że Patrick nie ma w Connecticut żadnej rodziny, z którą mógłby spędzić długi świąteczny weekend. Jego matka mieszkała w Green Bay. Miał jeszcze przyrodnią siostrę w Waszyngtonie. Prosił ich, by w drodze powrotnej pojechali przez Wisconsin, to był jeden z pretekstów, dla których wybrał się w tę podróż. Sugerował, by wpadli przywitać się z jego mamą.

– Ale oczywiście nic się nie stanie, jeżeli jej nie odwiedzimy – zastrzegł natychmiast.

Taki właśnie był Patrick: cichy, dojrzały, solidny. Dixon mówił o nim, że jest nudny. Rebecca zaś twierdziła, że jest godny zaufania, i to jej się w nim podobało, choć nie była pewna jego intencji. Cieszyła się, że można na niego liczyć. I cieszyła się, że Patrick z nimi przyjechał, chociaż nawet sama przed sobą dosyć niechętnie się do tego przyznawała.

Zaprzyjaźnili się, pracując w barze „Champs” naprzeciwko Uniwersytetu Stanowego w New Haven. Patrick był barmanem, a Rebecca kelnerką. Ponieważ jednak była za młoda, by podawać do stolików alkohol, Patrick ją wyręczał, gdy brakowało akurat drugiej kelnerki w odpowiednim wieku. Zawsze chętny i cierpliwy, nawet wtedy, gdy był zawalony swoją robotą za barem.

Cierpliwy, uprzejmy, dobry... bardzo podejrzane.

To przedziwne, a może tylko smutne i żałosne, że właśnie te jego cechy wzbudzały jej nieufność. Zwłaszcza na

początku, teraz już w mniejszym stopniu. Patrick był obok Dixona najlepszym kumplem Rebecki. Jej mama uważała, że to nie całkiem normalne, kiedy najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny są chłopcy.

– Uprawiasz z nimi seks? – chciała wiedzieć.

Kiedy Rebecca odparła:

– Ależ skąd! – sprawa wcale się nie skończyła.

Matka bowiem, a jakże, wpadła w jeszcze większą konsternację.

– Chyba nie jesteś lesbijką? – spytała nerwowo, reflektując się jednak natychmiast. – Oczywiście nie ma w tym nic złego.

W ciągu trzech minionych lat Rebecca obserwowała trudną, pełną awantur drogę swoich rodziców do rozwodu. Ojciec błyskawicznie ożenił się powtórnie z koleżanką z pracy, którą, jak utrzymywał, dopiero co poznał. Matka odwzajemniała mu się, umawiając się z różnymi mężczyznami. Mając to wszystko przed oczami, Rebecca już dawno postanowiła, że skupi się na własnej przyszłości, a katastrofę związku rodziców potraktuje jak przestrogę. Przyszłość była dla niej ucieczką i nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek, dysfunkcyjni rodzice czy chłopak, stanęli jej na drodze.

Poza tym Rebecca kochała zwierzęta, a zwłaszcza psy, to był jeden z pewników w jej życiu. Wiedziała, że opieka nad zwierzętami i leczenie ich będzie dla niej ratunkiem. W tym właśnie dostrzegała ocalenie przed szarym, żałosnym życiem. Miała świadomość, że studia weterynaryjne

wymagają poświęcenia i ciężkiej pracy, ale nie bała się tego. Była na to gotowa. Może któregoś dnia założy własną klinikę. Będzie miała kilka psów, dwa konie i parę kotów. W małym mieszkaniu, dokąd przeprowadziły się po rozwodzie, matka nie pozwoliła jej trzymać nawet małego kundelka. Ale to nic. Dzięki temu, że nie miała żadnych zobowiązań, ze spokojną głową wyjechała do college'u i zamieszkała w kampusie. Nikt jej zresztą nie zatrzymywał, nikt za nią nie tęsknił, i nikt też nie odrywał jej od marzeń.

Kiedy matka spytała córkę, czy przyjedzie do domu na Święto Dziękczynienia, Rebecca o mały włos nie wypaliła, że nie ma domu. Ale matka by jej nie zrozumiała, a już na pewno nie pozwoliłaby na wyprawę przez pół kraju z Dixonem i Patrickiem. A zatem Rebecca skłamała.

Nie, w zasadzie to nie było kłamstwo.

Powiedziała po prostu, że ojciec ją zaprosił, by spędziła święta z jego nową rodziną. Zresztą taka była prawda. Ojciec zaproponował, żeby z nimi pojechała na Jamajkę, bo w tak ekstrawagancki sposób planowali spędzić te dni. To nie jej wina, że matka tego nie sprawdziła. Cóż, wolałaby połknąć ogień, niż zamienić słowo z byłym mężem.

Kiedy Rebecca wróciła do stolika, Patrick zdobył już cynamonowe bułeczki. Z miny Dixona odgadła, że Patrick kazał mu na nią poczekać.

Do listy jego zalet powinna dodać: zawsze niezawodny i układny.

Rebecca się uśmiechnęła, a w tle rozległ się głos Andy'ego Williamsa, który śpiewająco obiecywał „Będę

w domu na święta”. Najwyraźniej centrum handlowe posiadało ten sam zestaw płyt świątecznych co Dixon.

– Biały śnieg, jemioły czar – zaśpiewał Dixon, kiedy postawiła przed nim red bulla. Dla siebie i dla Patricka przyniosła kawę.

Ledwie usiadła, a Dixon ugryzł solidny kęs cynamonowej bułeczki, równocześnie otwierając puszkę. Jej przyjaciel był uroczy, utalentowany i inteligentny, i kompletnie zapominał o całym świecie, kiedy miał obsesję na jakimś punkcie. Zresztą właśnie dlatego znaleźli się w tym centrum handlowym dzień po Święcie Dziękczynienia. Ostatnia obsesja Dixona dotyczyła czerwonego plecaka, który leżał u jego stóp.

– Chad i Tyler już tutaj są.

Pomachał do nich, oni nawet nie popatrzyli w jego stronę. Typowe, pomyślała Rebecca, lecz nie zwróciła Dixonowi uwagi, że ci dwaj zapaleni sportowcy wciąż uważają go za gamonia z podstawówki, który wlecze się za nimi jak ogon. Cała czwórka chodziła razem do szkoły, aż mama Rebecki wywiozła ją do Connecticut. Dixon wybrał college w West Haven częściowo z tego powodu, żeby znów być blisko Rebecki, ale gdy tylko przyjechał do rodzinnego domu w Minnesocie, Chad i Tyler jednym telefonem wciągnęli go w te swoje eskapady.

Rebecca zauważyła, że obaj mieli czerwone plecaki, identyczne jak Dixon. W co on się tym razem wpakował? Zwykle nie uczestniczyła w przygodach Dixona, nic więc nie wiedziała.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu krzesła. Poprawiła równo obciętą grzywkę, która przykleiła się do czoła, i wyprostowała plecy. Spodziewała się, że poczuje w nich ból od poszturchiwań wytatuowanego mężczyzny.

– Uzgodniliśmy, że zaczniemy od trzeciego piętra, potem będziemy schodzić niżej.

– Co wy właściwie zamierzacie? – spytał Patrick.

Rebecca miała ochotę kopnąć go pod stolikiem. Dixon angażował się w różne ważne sprawy, ale traktował je jak T-shirty z nadrukowanymi hasłami, które co tydzień zmieniał. Najprawdopodobniej za obecnym pomysłem stali Chad i Tyler. Dixon zaczytywał się w powieściach Vince'a Flynna i komiksach o superbohaterach – ostatnio jego ulubieńcem był Batman. Nieźle naśladował Homera Simpsona i wymieniał z pamięci wszystkie postaci z „Władcy pierścienia". Na nocnym niebie potrafił wskazać Wenus, a czasem i Marsa, znał także nazwy trzech gwiazd z Pasa Oriona. Kiedy oznajmił Rebecce, że postanowił specjalizować się w ściganiu przestępstw dokonywanych przy użyciu narzędzi elektronicznych, pomyślała, że Dixon nigdy nie opuści świata fantazji na dość długo, by zająć się prawdziwymi zbrodniarzami. Tak, był inteligentnym, choć ekscentrycznym facetem. Miała nadzieję, że szybko sobie uświadomi, iż Chad i Tyler nie są mu do niczego potrzebni.

– Wiesz, że osiemdziesiąt procent sprzedawanych w Stanach zabawek zostało wyprodukowanych w Chinach? – zwrócił się do Patricka Dixon, przełknąwszy kolejny kęs cynamonowej bułeczki. – To tylko zabawki. Nie będę już

wspominał o innych produktach. Na przykład o tych patriotycznych znaczkach z flagą, które wszyscy wpinają sobie w klapy... co do jednego made in China. – Znacząco przeciągnął głoski, jakby tylko to miał na poparcie swej tezy. Nieważne, że cały ten tekst zabrzmiał tak, jakby wyuczył się go na pamięć z propagandowej ulotki.

Patrick zerknął na Rebeccę, popijając kawę. Ona zaś puściła do niego oko, dając znak, że nic już nie da się zrobić.

– W zeszłym roku nasze firmy korzystały z pracy ponad pół miliona robotników w innych krajach – ciągnął Dixon. – Po to, by wyprodukować przedmioty codziennego użytku, bez których nie potrafimy się obejść.

– Na przykład twój nowy iPhone. – Rebecca wskazała na gadżet tkwiący w kieszeni koszuli Dixona. Nie rozstawał się ze słuchawkami, które wisiały mu na szyi. – Oczywiście wyprodukowany w Chinach, ale nie możesz bez niego żyć.

– To co innego. – Przewrócił oczami, patrząc na Patricka, jakby chciał powiedzieć, że Rebecca nie wie, o czym mówi. – Poza tym to prezent, nagroda za to, że cały dzień dźwigam ten plecak.

– Ach tak. – Rebecca tonem głosu dała do zrozumienia, że jej zdaniem tkwi w tym jakiś haczyk.

– Nie mogę też obejść się bez ciebie, panno Mądralińska – oznajmił Dixon.

– Naprawdę? – Uniosła wyzywająco brwi.

– Oczywiście.

Wyciągnęła rękę.

– To pożycz mi go na jeden dzień. Jesteś mi to winien, bo zgubiłeś moją komórkę.

– Wcale nie zgubiłem, tylko zapomniałem, gdzie ją położyłem.

Z twarzy Dixona zniknął uśmiech, jakby już zaczął sobie wyobrażać swoje życie bez natychmiastowego dostępu i połączenia ze światem. Kiedy Rebecca w duchu uznała, że z pewnością by tego nie zniósł, zdjął z szyi słuchawki i podał jej przez stolik iPhone'a. I znów się uśmiechnął.

– Tylko nie zepsuj. Dopiero co go dostałem.

– A co z plecakiem? – spytał Patrick.

Rebecca i Dixon spojrzeli na niego, jakby nagle kompletnie zapomnieli, o czym właśnie rozmawiali.

Patrick wskazał palcem.

– O co chodzi z tym plecakiem? – spytał znowu.

– Tam, mój przyjacielu, znajduje się tajna broń. – Dixon wrócił do swojego informacyjnego tonu. – Jest tam bardzo sprytne urządzenie, które emituje bezprzewodowy sygnał. Zupełnie nieszkodliwy dla ludzi – machnął ręką – ale dość skuteczny, żeby zakłócić pracę paru systemów komputerowych. Otrzeźwić kilku tych handlarzy. Kiedy ostatnim razem byłem w domu, Chad i Tyler zabrali mnie na spotkanie z jednym profesorem na uniwersytecie stanowym. Czaderski facet, jeździ harleyem.

Rebecca nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dixon nie odróżniłby harleya od yamahy, ale nic nie powiedziała.

– Gość był w okopach, wie, o czym mówi. Był na Bliskim Wschodzie, w Afganistanie, w Rosji, w Chinach. Profesor

Ryan, bo tak się nazywa, twierdzi, że dopóki nie uderzymy ludzi w ten ich wszechmocny portfel, nikogo nie będzie obchodziło, że co roku korzystamy z pracy setek tysięcy robotników w innych krajach i że inwazja z Południa odbiera nam dwa razy tyle stanowisk pracy w naszym kraju.

– Inwazja z Południa? – Rebecca wzniosła oczy do nieba, a potem spojrzała na Dixona. Przeżyła już tyle jego rozmaitych obsesji i cierpliwie wysłuchiwała wszystkich podniosłych mów, ale od czasu do czasu musiała mu dać do zrozumienia, że nie traktuje go poważnie. Za tydzień Dixon zapewne zajmie się ratowaniem wyrzuconych na brzeg wielorybów.

– Więc dlaczego twój plecak jest zamknięty na kłódkę? – spytał wciąż zaintrygowany Patrick.

Dixon w odpowiedzi lekceważąco wzruszył ramionami. Poza tym skończył już swoje przemówienie. Rebecca widziała to po jego minie. Był gotowy do działania i zniecierpliwiony, oglądał się przez ramię, szukając wzrokiem Chada i Tylera. Wtedy właśnie domyśliła się, że to był ich pomysł, a nie Dixona, który jednak dał się w to wciągnąć. Chciał być dobrym kumplem dla tych dwóch równych gości, zapalonych sportowców, za którymi w liceum łaził krok w krok. Co i rusz pakowali go w jakieś tarapaty. Rebecca nie rozumiała, dlaczego wiecznie się na to nabiera. Może kolejny semestr w college’u z dala od tych kolesiów przyniesie jakąś zmianę.

Tak, Dixon przyjechał tutaj dla swoich przyjaciół. Rebecca była o tym więcej niż przekonana. W początkowym etapie rozwodu jej rodziców Dixon zawsze stał u jej boku. Pomagał i wspierał, choćby dzwoniąc i zapewniając, że ona nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. Rozśmieszał ją, gdy już była pewna, że nigdy się nie zaśmieje.

Tymczasem z iPhone'a popłynął temat przewodni z filmu „Batman". Rebecca oddała telefon właścicielowi.

– Nie minęło jeszcze pięć minut – zaczęła.

– Nic na to nie poradzę. Jestem rozchwytywany. – Ale po kilku sekundach rozmowy na twarzy Dixona, tak dotąd pewnego siebie, pojawiła się panika. – Przyjadę najszybciej, jak się da.

– Co się stało? – Rebecca pochyliła się nad stolikiem. Hałas w centrum handlowym jeszcze się wzmógł. Przez głośniki za ich plecami anonsowano wizytę Świętego Mikołaja.

– Dzwonił dziadek. – Dixon pobladł. – Właśnie zabrali babcię do szpitala. Miała zawał.

– O mój Boże, Dixon.

– Chcesz, żebyśmy z tobą pojechali? – Patrick zaczął wkładać kurtkę.

– Tak, chyba tak. – Podczas wstawania Dixon potknął się o leżący u jego stóp plecak. – O kurde. – Rozejrzał się dokoła, wypatrując czegoś za tłumami ludzi. – Obiecałem to Chadowi i Tylerowi. – Ze zbolałym wzrokiem dźwignął plecak i rzucił go na stolik, jakby nagle wydał mu się za ciężki.

– Nie przejmuj się tym – powiedziała Rebecca, chwytając plecak. Zaskoczona jego wagą, mimo wszystko zarzuciła go na ramię, jakby nie sprawiało jej to żadnego problemu. – Mam się tylko z tym przejść, tak?

– Nie mogę cię o to prosić.

– Nie prosisz mnie. Sama się zaoferowałam. Idź już.

– Jak się dostaniecie do domu?

– Coś z Patrickiem wymyślimy. – Uścisnęła go jedną ręką, bo tylko tak mogła to zrobić z tym dziwnie ciężkim plecakiem.

Dixon podał jej iPhone’a. Nie chciała go wziąć, ale się upierał.

– Umowa to umowa.

Odprowadzali go wzrokiem, jak znikał w tłumie. Czteroosobowa rodzina zajęła ich stolik w barze. Rebecca i Patrick umówili się, że spotkają się za godzinę przy sklepie firmy GAP. Rebecca weszła do toalety, wciąż myśląc o babce Dixona. Znała ją od dziecka. Pani Lee zawsze traktowała Rebeccę jak członka rodziny, a podczas tej wizyty oddała jej nawet dawną sypialnię swojej córki.

– Wiem, że jest trochę staroświecka, ale jakoś nie mogłam się zdobyć na zmianę tapety – oznajmiła pani Lee, pokazując Rebecce pokój i wyjaśniając, że jej córka ze wszystkich kwiatów najbardziej lubiła stokrotki.

Minęła już bar, kiedy sobie uprzytomniła, że zostawiła w toalecie plecak Dixona. Powiesiła go na haku na drzwiach kabiny. Przeklęła pod nosem i zawróciła szybkim krokiem, by go odzyskać.

Raptem zobaczyła Chada. Miała nadzieję, że jej nie zauważył, bo szedł w przeciwnym kierunku. Wciąż na niego patrzyła, gdy nastąpił wybuch. Odnosiła wrażenie, że wszystko dzieje się jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Stała jak sparaliżowana, widząc błysk czerwonego i białego światła, które ogarniało i pochłaniało Chada. Huk eksplozji dotarł do niej w momencie, gdy poleciały szyby i w górę wystrzeliły płomienie.

Jakaś niewidoczna siła zbiła ją z nóg. Potem poczuła, jakby uniosła ją fala gorącego powietrza, której ciśnienie napierało na klatkę piersiową. I znów cisnęło ją na podłogę wraz z deszczem odłamków metalu i szkła i czymś mokrym, co paliło skórę i płuca. Nie mogła się ruszyć. Przygniatał ją jakiś ciężar, przygwoździł do podłogi. Każdy oddech sprawiał ból. Poczuła swąd przypalonych włosów.

Kiedy otworzyła oczy, pierwsze, co zobaczyła, to oderwaną od ciała ludzką rękę, która leżała jakieś trzydzieści centymetrów od niej. Przez pełną przerażenia sekundę myślała, że to jej ręka, aż dojrzała na niej zbryzganego krwią zielonego wytatuowanego smoka.

Wokół wyglądało, jakby padał śnieg, coś połyskującego powoli spływało na dół. Rebecca znowu opuściła powieki. Ponad zbolałymi jękami usłyszała głos Doris Day, która śpiewała:

– Niech pada śnieg, niech pada śnieg, niech pada śnieg.

A potem rozległy się rozdzierające krzyki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie O’Dell włożyła do piekarnika blachę z nadziewanymi grzybami, a potem wyjrzała przez okno w kuchni. Harvey zabawiał gości na podwórzu za domem, podskakiwał wysoko i łapał w powietrzu frisbee. Biały labrador wyraźnie się popisywał, a roześmiani goście na jego życzenie gonili go po opadłych liściach. Trójka dorosłych poważnych ludzi zachowywała się jak dzieci. Maggie się uśmiechnęła. Pies najskuteczniej budzi w ludziach dziecko, które w nich siedzi.

– Nadzwyczajnie to wyszło – stwierdziła Gwen Patterson, wskazując brodą, ponieważ ręce miała zajęte krojeniem cebuli.

Z początku Maggie sądziła, że przyjaciółka ma na myśli wspaniałe przekąski, które przygotowały. To była prawdziwa uczta, godna uroczystego koktajlu, a nie wspólnego oglądania telewizyjnej transmisji studenckiej ligi piłki nożnej. Ale Gwen nie mówiła o jedzeniu.

– Chodzi mi o to, że zebraliśmy się tutaj wszyscy razem – wyjaśniła. – Wszyscy razem w jednym miejscu, które nie jest miejscem zbrodni... i nie ma tu ciała ofiary.

– Tak, za to jest darmowe żarcie i piwo – rzekła Maggie. – To powinno wystarczyć.

– Prawda. – Gwen się uśmiechnęła. – Nie powiedziałaś, dlaczego twój brat nie dojechał.

– Pewnie dostał ciekawszą ofertę – odparła Maggie, ciesząc się, że stoi plecami do Gwen. Nie chciała, by przyjaciółka dojrzała rozczarowanie na jej twarzy. Lepiej było obrócić to w żart. W końcu nic takiego się nie stało. Gdyby Maggie nie miała się na baczności, Gwen zaraz zaczęłaby ją wypytywać, badać. Cóż, była psychologiem. – Nie mam prawa oczekiwać, że skoro nagle wtargnęłam do jego życia, to natychmiast się do siebie zbliżymy. – Zaryzykowała i zerknęła przez ramię. Oczywiście dobrze się domyślała. Gwen przestała siekać cebulę i podniosła wzrok. – Jest jeszcze Boże Narodzenie – dodała Maggie, starając się mówić pogodnym tonem, choć wiedziała, że to strzał w ciemno. Nawet z Patrickiem o tym nie rozmawiała. Jedna odmowa przez telefon zupełnie jej wystarczyła. – Sądzisz, że mamy dość jedzenia? – zmieniła temat. To miał być dzień odpoczynku. Żadnych stresów, tylko oglądanie rozgrywek ligi studenckiej z najbliższymi przyjaciółmi, wspólne picie piwa i jakaś zabójcza salsa.

– Jest tego mnóstwo – zapewniła ją Gwen i wróciła do siekania cebuli.

Maggie stała z rękami na biodrach, oceniając wzrokiem kuchenny blat zastawiony tacami i talerzami przekąsek. Nigdy dotąd nie urządzała przyjęcia. Swoją drogą, w niewielu też uczestniczyła. Prawdę mówiąc, rzadko zapraszała gości do siebie. Zabawne, że mając długoterminową gwarancję na życie, człowiek robi rzeczy,

których by się po sobie nie spodziewał. Niecałe dwa miesiące wcześniej Maggie i jej szef, zastępca dyrektora FBI Kyle Cunningham, zostali zarażeni wirusem eboli. Maggie przeżyła. Cunningham nie miał tyle szczęścia.

– Nie wiem, czy to wystarczy. Mam za sobą dwie wycieczki z Racine – powiedziała Maggie, starając się odsunąć od siebie wspomnienie izolatki, w której ją zamknięto, i bezradności, z jaką obserwowała, gdy jej szef z pełnego energii przywódcy i mentora zamieniał się w wychudzonego inwalidę podłączonego do rozmaitych kroplówek i urządzeń. Zamknęła oczy, nadal stojąc tyłem do Gwen, i chwyciła się blatu, udając, że przygląda się temu, co na nim stoi. Zachowaj spokój, napominała siebie. Zrelaksuj się. Oddychaj. Baw się. – Patrząc na nią, nigdy byś nie zgadła, ile potrafi zjeść.

Jak na zawołanie Julia Racine stanęła w drzwiach. Jej jasne krótkie włosy były potargane, do bluzki przykleiło się kilka wyschniętych liści, a na kolanie, na dżinsach widniała smuga brudu. Wniosła z sobą do kuchni zapach jesieni. Wyglądała raczej jak gwiazda punk rocka niż detektyw do spraw zabójstw z Waszyngtonu.

– Twój pies oszukuje – oznajmiła, przeczesując włosy palcami i obejmując wzrokiem kuchnię. – Zna wszystkie sztuczki. – Jednak kiedy przeniosła wzrok z Maggie, która płukała seler w zlewozmywaku, na siekającą cebulę Gwen, jej beztroska ustąpiła zakłopotaniu.

Maggie od razu zrozumiała, że Racine poczuła się skrępowana, i to nie tylko dlatego, że znalazła się akurat

w jej kuchni. Czułaby się tak w każdej kuchni. Wysoka, szczupła pani detektyw skrzyżowała ramiona na piersi i stała wciśnięta w kąt. Pewnie wolałaby biegać na zewnątrz z Harveyem, Benem i Tullym. Racine nie przywykła do towarzystwa kobiet. Maggie doskonale to rozumiała. Sama też zbyt wiele godzin spędzała z kolegami z pracy. Julia pod wieloma względami była podobna do Maggie sprzed lat.

– Za tobą – Maggie wskazała na szafkę, o którą opierała się Racine – są kwadratowe talerze na przekąski. Mogłabyś je wyjąć i postawić na blacie? I jeszcze szklanki.

Racine przestraszyła się tej prośby, ale Maggie już zabrała się do kolejnego zadania, nie dając dodatkowych instrukcji. Kątem oka zobaczyła jeszcze, że Racine znalazła naczynia i wyjęła je, jakby nigdy nic.

Rzuciła świeżo umytą wiązkę selera na papierowy ręcznik obok deski do krojenia, która służyła Gwen. Wyciągnęła dwie łodygi, jedną podała Racine, a drugą zaczęła sama gryźć. Tym razem, kiedy Julia pochyliła się nad blatem, nie wyglądała już tak bardzo nie na miejscu.

– Więc... – Racine odgryzła kawałek selera, a jej słowo zawisło w powietrzu. Najwyraźniej poczuła się pewniej. – Co jest między tobą a Benjaminem Plattem?

Maggie zerknęła na Gwen.

– Dobre pytanie – przyznała Gwen, a potem wzruszyła ramionami w obronnym geście.

Maggie zdała sobie sprawę, że jeszcze pożałuje, iż przyciągnęła Julię do kuchni.

– Przystojniak z niego – ciągnęła Racine nieproszona. – To znaczy jeśli podobają ci się takie żołnierskie typy.

– On jest lekarzem – odparowała Maggie.

– Wojskowym lekarzem – sprostowała Gwen.

Maggie przerwała swoje zajęcie. Zignorowała Gwen, za to spojrzała na Racine, patrząc jej prosto w oczy, aż pani detektyw poczuła nagłą potrzebę przesunięcia talerzy i szklanek, które dopiero co postawiła na blacie. Maggie zastanowiła się, czy ta młoda twardzielka nie jest przypadkiem zazdrosna... o Platta. Bo nie o nią, rzecz jasna. Co prawda przed laty, kiedy się poznały, Racine wyznała wprost, że Maggie jej się podoba. Zaczęła ją podrywać. Jakoś zdołały jednak wyjść z tej sytuacji, a nawet się zaprzyjaźniły. Tylko zaprzyjaźniły. Chociaż zdarzało się, że Maggie zadawała sobie pytanie, czy Julia wciąż po cichu nie liczy na coś więcej.

Może wpłynęły na to przejściowe komplikacje w życiu uczuciowym Racine. Tego dnia nawet nie wspomniała o swojej ostatniej partnerce, chociaż Maggie zaprosiła je obie. Zamiast wypytywać o tajemniczą kochankę, która, o ile Maggie dobrze pamiętała, służyła w wojsku w stopniu sierżanta, Maggie powiedziała tylko:

– Lubię towarzystwo Bena.

W tym momencie zadzwoniła jej komórka, przerywając rozmowę. Maggie odetchnęła z ulgą.

– Maggie O’Dell, słucham.

Gdy tylko usłyszała głos swojego nowego szefa, kark jej zesztywniał. Świąteczny weekend dobiegł końca.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bloomington, Minnesota

Nazywali go Kierownikiem Projektu. Nie miał nic przeciwko temu. Lepszy taki przydomek niż któryś z tych, jakimi obdarzano go w przeszłości. Na przykład John Doe Numer Dwa. Kierownik Projektu brzmi zdecydowanie lepiej. Wciąż jeżył się trochę na wspomnienie ksywki John Doe Numer Dwa. Zawsze to on wszystkim zawiadywał. Nigdy nie był numerem drugim. Nieważne, że kiedy wzięto go za Numer Dwa, wyszło mu to na dobre. Poza tym od tamtej chwili minęło prawie piętnaście lat.

Na jego nowym prawie jazdy widniało nazwisko Robert Asante, a on cierpliwie poprawiał każdego, kto nie wymawiał tego poprawnie.

– Osontej – mówił. – Sycylijskie – dodawał, jakby to miało jakieś znaczenie, podczas gdy tak naprawdę zależało mu tylko na tym, by uwierzyli, że oliwkową karnację zawdzięcza sycylijskim przodkom, a nie ojcu Arabowi. Chociaż najbardziej kryły go oczy w kolorze indygo, które z kolei odziedziczył po amerykańskiej matce. Każdy, kto wątpił w jego pochodzenie, zwykle odkładał na bok wszelkie obiekcje, gdy popatrzył mu w oczy. W końcu ilu może być na świecie niebieskookich arabskich terrorystów?

I ilu z nich nosi złotą obrączkę na palcu lewej ręki? Z kolei każdy, kto prosił go o okazanie dokumentów, miał okazję zobaczyć zdjęcie wsunięte do przegródki w portfelu. Zdjęcie jego rodziny, pięknej kobiety o blond włosach i dwóch małych dziewczynek. Nawet bezprzewodowa słuchawka w prawym uchu Asantego, skórzana kurtka, którą nosił do dżinsów, T-shirt oraz firmowe sportowe buty wskazywały, że jest bezsprzecznie amerykańskim biznesmenem. Wiedział, że drobne detale robią wielką różnicę. To im zawdzięczał swój przydomek Kierownik Projektu.

Wycofał się na parking i siedział teraz w swoim samochodzie po drugiej stronie ulicy, w bezpiecznej odległości od centrum handlowego. Był dość blisko, by słyszeć echo eksplozji, a równocześnie wystarczająco daleko, żeby uniknąć chaosu, który zapanował na skutek wybuchu. Wybrany przez niego parking znajdował się też poza obszarem penetrowanym przez kamery ochrony. Podczas jednej z wielu prób dokładnie wszystko sprawdził. Chociaż to akurat nie miało wielkiego znaczenia. Przednią szybę przysypał śnieg, zasłaniając wnętrze samochodu przed wzrokiem przypadkowych przechodniów.

Wcześniej na ekranie kieszonkowego komputera obserwował, jak jego kurierzy zajmują pozycje. Trzej kurierzy. Trzy oddzielne sygnały w jego uchu. Trzy osobne zielone mrugające światełka przeskakujące po ekranie komputera, dzięki którym nadzorował ich ruchy.

Śledzenie kurierów na bieżąco było proste. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że Asante wyposażył ich w system GPS. Teraz, lekko dotykając przycisku, po kolei zdetonował ładunki. Perfekcyjnie zaplanowana misja była niczym gra wideo z dotykowym ekranem. Wysadzał kurierów w powietrze jednego po drugim, a detonacje dzieliły ledwie sekundy.

Najpierw Kurier Numer Jeden, potem Kurier Numer Dwa i w końcu Kurier Numer Trzy.

Słyszał echo poszczególnych wybuchów. Każde z nich niosło potwierdzenie, że wszystko zadziałało.

Nic nie mogło się równać z tym skokiem adrenaliny. To lepsze niż narkotyki. Lepsze niż seks, lepsze nawet niż mała szklaneczka słodowej whisky z dobrego starego rocznika. Wciąż czuł mrowienie w palcach. Ale może to tylko przez to lodowate powietrze.

Oparł plecy o zimne i sztywne winylowe siedzenie, które aż zaskrzypiało. Po setkach godzin, tygodniach, miesiącach planowania, pierwszy krok został zrobiony. Kilka razy odetchnął głęboko, nie przejmując się obłoczkiem pary dobywającym się z ust. Nie czuł zimna, adrenalina buzowała w jego żyłach.

Był gotów potwierdzić wykonanie zadania. Wtedy usłyszał ten dźwięk w swoim uchu. Najpierw cichy.

Blip.

Pauza. Może monitor się popsuł.

Kolejny blip.

To niemożliwe!

Rzucił się naprzód, podniósł wyżej komputer.

Urządzenie znowu nadało sygnał. Potem trzy sygnały.

Na ekranie zaczęło mrugać zielone światełko do wtóru wkurzającego sygnału. Asante przystawił mały ekran do twarzy. Nie wierzył własnym oczom.

Jeden z jego kurierów przeżył.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mall of America

Patrick Murphy zjeżdżał właśnie ruchomymi schodami, kiedy nastąpił pierwszy wybuch. Schody dziwnie się zakołysały. Klienci z całej siły chwycili się poręczy i patrzyli wokół przestraszeni i zaciekawieni, ale nikt nie wpadł w panikę. W końcu lada chwila miał się pojawić Święty Mikołaj. Może kierownictwo centrum zaplanowało jakieś efekty specjalne, na przykład fajerwerki. Budynek był wystarczająco duży na takie atrakcje. Patrick nigdy dotąd nie był w czteropiętrowym centrum handlowym, gdzie mieściły się park rozrywki, teatr i akwarium. To naprawdę robiło ogromne wrażenie.

Nie, ta pierwsza eksplozja nie wywołała paniki, co najwyżej zaintrygowane spojrzenia odwróconych głów na ruchomych schodach. Nikt nie krzyczał, nie rzucał się nerwowo. Aż do drugiego wybuchu. Teraz trudno już było się pomylić. Coś było nie tak.

Niewiele myśląc, Patrick obrócił się gwałtownie. Instynkt kazał mu biec w przeciwnym kierunku. Ruszył w górę zjeżdżających w dół schodów, przepychał się łokciami przez tłum ludzi, którzy zbiegali jak szaleni, torując sobie drogę wypakowanymi torbami. Patrick starał się wspiąć wyżej, parł naprzód. Złapał się poręczy i omal nie stracił

równowagi. Poręcz przesuwała się w przeciwną niż on stronę. Masą ciała usiłował pokonać ten tabun ludzi. Miał sylwetkę pływaka, szerokie bary, szczupłą talię, długie nogi, a także cierpliwość i wytrzymałość człowieka, który wiele trenował. Ale to okazało się niemożliwe, jak płynięcie w górę wartkiego nurtu, jakby wpadł w prąd odpływowy.

Ubrany w parkę mężczyzna o figurze wspomagającego z obrony rzucił do Patricka, żeby zszedł mu z drogi, po czym pchnął go w żebra. Nastoletnia dziewczynka krzyczała mu w twarz, przerażona kurczowo trzymała się poręczy, nie pozwalając Patrickowi przejść dalej.

Trzeci wybuch nastąpił gdzieś bliżej, wibracje mocniej zakołysały schodami. Wtedy Patrick się poddał. Znowu się odwrócił i pozwolił tłumowi nieść się jak fali niżej i niżej. Ale gdy tylko dotarli na dół, znów puścił się do góry, zadowolony, że schody są w zasadzie puste. Gnał, jakby go ktoś gonił. Czuł już zapach siarki i dym, mimo to nie zatrzymywał się. Może te wszystkie treningi na coś mu się jednak przydadzą, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie pierwszy raz polegał na swoim instynkcie. Zwykle mu ufał, choć ostatnio stracił trochę wiary.

W minionym roku zmienił specjalizację na studiach, a równocześnie swoją przyszłość. Taki zwrot na ostatnim roku college’u to pewnie nie najlepszy pomysł. I dość kosztowy dla kogoś, kto ciężko pracuje i ledwie wiąże koniec z końcem. Coś, co z początku Patrick uznał za swoje powołanie, a co zamieniło się w specjalizację, w końcu stało się jego pasją. A wszystko dzięki ojcu, którego nigdy nie

poznał. Wiedział jednak, że to nie dodatkowe zajęcia z pożarnictwa kazały mu teraz biec do góry, gdzie widział już dym. Ani te wszystkie godziny, które spędził jako ochotnik w straży pożarnej. Chociaż strażakom wpaja się przecież, że mają za wszelką cenę dostać się do płonących budynków, kiedy inni chcą stamtąd uciec.

Ta energia, ten pośpiech, ten instynkt, które przejęły nad nim władzę i pchały naprzód w stronę epicentrum wybuchu, miały niewiele wspólnego z jego nowym szkoleniem, za to wszystko z Rebeccą. Rozstał się z nią w barze na trzecim piętrze, gdzie, sądząc z odgłosów, nastąpiła eksplozja. Nie mógł jej tam zostawić i wyjść. Musi się upewnić, czy nic jej się nie stało. Ile to razy ona się o niego troszczyła, upewniała się, czy z nim wszystko w porządku. Każdego wspólnie przepracowanego w „Champs” wieczoru.

– Nie wyglądasz najlepiej – mawiała w przerwach między kolejnymi zamówieniami i dolewaniem kawy.

Potem, pod koniec wieczoru, kiedy już posprzątali, oboje tak zmęczeni, że ledwie trzymali się na nogach, a przecież czekała ich jeszcze nauka, Rebecca wskakiwała na stołek przy barze i mówiła:

– Więc powiedz mi, co się dzieje. – Siedziała w milczeniu i słuchała, naprawdę słuchała, patrząc na niego w skupieniu i przyjaźnie. Potrafiła słuchać jak nikt inny.

Poczuł na skórze krople wody z urządzeń natryskowych, a jednak oczy wciąż piekły go od dymu. Wyjął okulary przeciwsłoneczne i zasłonił nos T-shirtem. Trzymał się

blisko ściany, żeby rozhisteryzowani ludzie go nie stratowali. Potem znowu zaczął się przepychać, powoli, starając się, by mimo szarych przydymionych szkieł nic nie umknęło jego uwadze. Uważał, żeby nie deptać po rozmaitych odłamkach i śmieciach. Część z nich była skutkiem eksplozji, część – jak resztki jedzenia czy rozsypana zawartość toreb z zakupami – porzucili w panice klienci.

Wówczas Patrick przypomniał sobie plecaki.

Niemal obsesyjnie pamiętał złe przeczucie, które mu towarzyszyło, gdy słuchał, jak Dixon Lee opowiada o niewinnym żarcie. Przez cały czas, gdy Dixon przedstawiał plan polegający na wysyłaniu bezprzewodowych sygnałów, które w jakiś sposób miały zakłócić systemy komputerowe w centrum handlowym, Patrick miał wrażenie, że coś tu nie gra. Powinien był już wtedy posłuchać swojego instynktu.

W jakim celu ktoś zamykał plecaki na kłódkę, skoro mieli tylko przespacerować się z nimi po centrum i zepsuć kilka komputerów?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rebecca potknęła się i od razu sobie przypomniała, żeby nie spuszczać wzroku. Nie miała ochoty patrzeć na to, w co się tym razem wpakowała. Wciąż wycierała twarz, a ilekroć zerknęła na swoje dłonie, widziała krew, nie zawsze swoją. Próbowała przeczesać palcami długie włosy, ale kaleczyła się odłamkami metalu i szkła, które w nich utknęły.

Drżała z zimna, widziała jak przez mgłę, serce waliło jej jak młot, a każdy oddech sprawiał ból. Gardło miała zapchane, a język spuchnięty. Musiała go niechcący przygryźć. Kiedy próbowała wciągnąć powietrze, ostra woń kwasu połączona z zapachem siarki i cynamonu, przyprawiała ją o mdłości.

Niewysoki siwowłosy mężczyzna zderzył się z Rebeccą, o mały włos jej nie przewrócił. Obejrzała się za nim i zobaczyła, że przyłożył rękę do zakrwawionego, pozbawionego ucha boku głowy. Ludzie przepychali się i przemieszczali. Niektórzy byli ranni i krwawili. Wszyscy śpieszyli do wyjścia, byle stąd uciec, nawet jeśli na skutek szoku plątały im się nogi i tracili orientację. Po drodze porzucali wszystko, co nie było im niezbędne. Rebecca wdepnęła w kałużę. Miała nadzieję, że to jakiś napój musujący lub kawa, choć mogła to być krew, wiedziała to doskonale. Kiedy usiłowała ominąć kolejną kałużę, poślizgnęła się na kawałku pizzy.

Zwolnij, powiedziała sobie. Nie było to łatwe w tym chaosie pędzących ludzi, którzy wciąż na siebie wpadali.

Dzieci płakały. Matki brały je na ręce, zostawiając wózki, nosidełka, torby z pieluchami i pluszowe zabawki. Niektórzy krzyczeli z przerażenia, inni z bólu. W miejscach, gdzie doszło do wybuchu, unosiły się smugi dymu, a niewielkie płomienie lizały wystawy sklepów, mimo że systemy przeciwpożarowe uruchomiły spryskiwacze umieszczone w wysokim suficie.

Przez głośniki oznajmiono, że budynek zostanie zamknięty. Mówiono coś o „incydencie w centrum handlowym”. Ponad tym całym zgiełkiem i zamętem Rebecca nadal słyszała świąteczne melodie.

A może tylko je sobie wyobrażała?

Bing Crosby właśnie śpiewał jej do ucha, że wróci do domu na święta. Wydało jej się to równocześnie makabryczne i pocieszające. To był jedyny ślad normalności w tym piekle, dlatego musiała się go trzymać, kuśtykając po rozrzuconym jedzeniu, odłamkach szkła, połamanych stołach i kałużach krwi. Gdzieniegdzie leżeli ranni, którzy nie byli w stanie się podnieść. Niektórzy w ogóle się nie ruszali.

Nie wiedziała, co robić, dokąd się udać. Szok ograniczył zdolność logicznego myślenia. Dreszcze wstrząsały całym ciałem, falami, nad którymi nie umiała zapanować. Dzięki studiom potrafiła rozpoznać u siebie oznaki szoku. Objawy u psów i u ludzi są podobne – zagubienie, przyśpieszony

rytm serca, słaby puls, nagłe ochłodzenie ciała i w końcu omdlenie.

Otoczyła się ramionami. I wówczas to odkryła. Ból przeszył lewą rękę. Jakim cudem dotąd tego nie zauważyła? Z rękawa wystawał kilkucentymetrowy kawałek szkła. Nie musiała zaglądać pod płaszcz, by wiedzieć, że wbił się w ramię. Zrobiło jej się niedobrze. Ze strachu, że upadnie, chwyciła się poręczy, a mimo to osunęła się na kolana.

Nie patrz na to, nie panikuj, oddychaj, nakazywała sobie.

Kiedy dojrzała policjanta, ogarnęła ją ulga, dopóki nie rozpoznała, że to tylko pracownik ochrony centrum handlowego. Nie miał przy sobie broni.

Tak, to prawda. Wiedziała to.

W ostatniej klasie średniej szkoły pracowała w sklepie z artykułami dla zwierząt w miejscowym centrum handlowym.

Mężczyzna był już dość blisko. Rebecca słyszała, jak nerwowo mówił do ściskanego w ręku walkie-talkie:

– Jest źle. Bardzo źle.

Wyglądał młodo. Pewnie był niewiele od niej starszy.

– Nie widzę nikogo innego z czerwonym plecakiem – dodał.

Mimo szoku Rebeccę przeszły ciarki.

Plecaki.

Próbowała się podnieść, obrócić i spojrzeć w stronę, gdzie ostatnio widziała Chada.

Ale nie zobaczyła Chada. Nie zobaczyła nawet rannego Chada, który kuśtyka jak ona.

Widziała tylko spaloną ścianę. Dym. Odłamki i szczątki. I leżący na ziemi stos tlących się śmieci.

Chad?

Zakręciło jej się w głowie. Gardło miała zaciśnięte. Obawiała się, że zaraz zwymiotuje.

Nie, nie będzie o tym myślała. Nie wolno jej o tym myśleć.

Przeniosła spojrzenie w innym kierunku. Teraz już stała, z całej siły ściskając poręcz, aż kłykcie jej pobielały. Chwiała się na nogach. W miejscu, gdzie była damska toaleta, ujrzała czarną dziurę. W tej toalecie zostawiła plecak Dixona, powiesiła go na drzwiach pierwszej kabiny. Plecak, z którym miała przespacerować się po centrum handlowym.

O Boże! Już wiedziała.

To stąd ta eksplozja. To plecaki.

Kiedy zdała sobie sprawę, co się stało, osunęła się znów na kolana. Trafiła na coś lepkiego, lecz nie przejęła się tym ani trochę. Ile tak naprawdę brakowało, żeby zamieniła się w tlący stos?

Jej uszu dobiegł płynący gdzieś spod płaszcza temat przewodni z „Batmana”. Mimo otaczających ją jęków i pędzących w popłochu ludzi wcale jej to nie zdziwiło. Do tej nienormalnej rzeczywistości motyw przewodni z „Batmana” pasował jak ulał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie O’Dell nie tak zaplanowała sobie ten dzień.

R.J. Tully włączył w pokoju telewizor, ale zamiast spekulacji komentatorów sportowych do uszu Maggie docierały urywki wiadomości, gdyż Tully przełączył kanał.

– Jeszcze nic nie mówią – poinformował zebranych wokół barku, który oddzielał kuchnię od salonu.

– Zastępca dyrektora Kunze powiedział, że to stało się dosłownie przed chwilą – rzekła Maggie. – Nawet miejscowa policja jeszcze nie pojawiła się na miejscu.

– Więc skąd on już wie, że to atak terrorystyczny? – spytał Benjamin Platt.

– On nie wie, ale wie osobisty przyjaciel gubernatora. – Maggie starała się powtórzyć informacje przekazane przez jej nowego szefa. Zresztą niewiele tego było. A równocześnie robiła w myśli listę rzeczy, które musi z sobą zabrać.

– Więc to on zawiadomił FBI? – włączyła się Racine.

Maggie wzruszyła ramionami. Pozytywną stroną posiadania przyjaciół, którzy są jednocześnie kolegami z pracy, jest to, że lepiej niż inni rozumieją, co znaczy ta profesja. Ma to jednak również złe strony, ponieważ ci przyjaciele nigdy nie przestają być kolegami z pracy.

– Uważają, że w centrum handlowym nastąpiły przynajmniej dwie eksplozje – powiedziała Maggie. – A może nawet trzy. Uważają też, że to nie był jedyny cel.

– Ale dlaczego posyłają tam akurat ciebie? – Gwen nie kryła irytacji. – Jesteś psychologiem, na Boga, a nie specjalistą od bomb.

– Natychmiast potrzebują portretu psychologicznego sprawcy. Wiedzą, co robią – rzekł Tully z wycelowanym w ekran telewizora pilotem w dłoni. Nadal przerzucał kanały, ale wyłączył głos. – Muszą możliwie jak najszybciej poskładać fragmenty tej układanki, zanim jakiś świadek wydarzeń zacznie zgadywać, co widział czy słyszał.

Maggie zerknęła na niego, by sprawdzić, czy nie czuje się rozczarowany, że z nią nie pojedzie. Przed wprowadzeniem cięć budżetowych i przed zawieszeniem Tully'ego stanowili w pracy nierozłączną parę. Co prawda Tully nadal otrzymywał pensję, ilekroć jednak agent posłuży się bronią ze śmiertelnym skutkiem, protokół wymaga, by został zawieszony w swoich obowiązkach. Niecałe dwa miesiące wcześniej Tully zastrzelił mężczyznę, którego dawniej uważał za przyjaciela. Agencja uznała ten czyn za usprawiedliwiony. Maggie wiedziała, że Tully również się z tym pogodzi... za jakiś czas. Jeszcze nie w tej chwili.

– No dobrze, więc Kunze chce, żeby na miejscu był psycholog. Co nie znaczy, że musi to być Maggie. – Gwen bawiła się nożem, którym dopiero co kroiła warzywa. Maggie zauważyła, że przyjaciółka wbiła w drewnianą deskę ostry czubek, a potem go wyciągnęła i znowu wbiła

w deskę jak ktoś, kto nerwowo postukuje piórem. – Akurat ty musisz tam lecieć?

Uśmiechnęła się. Gwen była od niej o piętnaście lat starsza i czasami traktowała ją jak matka. Mimo uśmiechu na twarzy Maggie, wszyscy patrzyli na nią z troską. Ta sama sprawa, przez którą Tully został czasowo zawieszony w pełnieniu obowiązków, doprowadziła do tego, że Maggie wylądowała w izolatce w USAMRIID-zie, Wojskowym Instytucie Badań Chorób Zakaźnych, pod opieką pułkownika Benjamina Platta.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Zapytajcie mojego lekarza, jeśli mnie nie wierzycie. – Wskazała na Bena, który spoglądał na nią z powagą i wcale nie przytaknął.

– Kunze mógłby wysłać kogoś innego – upierała się Gwen. – Dobrze wiesz, dlaczego posyła ciebie. – W pełnym niepokoju głosie pobrzmiewała złość.

Maggie ją wychwyciła, najwyraźniej odnotowali to także wszyscy pozostali. Nawet leżący w kącie Harvey podniósł łeb, ściskając w łapach kość. Zapadło kłopotliwe milczenie, które nagle przerwał dźwięk minutnika, jakby przypominając zebranym, że ten dzień miał wyglądać zupełnie inaczej.

Maggie wyłączyła dzwonek i piekarnik.

Znowu zaległa cisza.

– Okej – rzekła w końcu Racine. – Poddaję się. Jestem tutaj chyba jedyną osobą, która nie rozumie, o co chodzi. Dlaczego nowy zastępca dyrektora...

– Tymczasowy zastępca dyrektora – natychmiast poprawiła ją Gwen.

– Tak, prawda. Wszystko jedno. Dlaczego posyła tam O’Dell? Mówicie tak, jakby było w tym coś osobistego. Czegoś nie chwytam?

Maggie spojrzała w oczy Gwen, przekazując jej swoje rozdrażnienie. Przecież to żenujące. Być może w Minnesocie wielu ludzi straciło życie, a Gwen przejmuje się polityką departamentu i wyimaginowanymi urazami.

Ostatecznie to Tully zaspokoił ciekawość Racine:

– Zastępca dyrektora Ray Kunze oświadczył Maggie i mnie, że dopuściliśmy się zaniedbań w sprawie George’a Sloane’a.

– Zaniedbań?

– On ich obwiniał! – wypaliła Gwen.

– Tego nie powiedział – zaprotestowała stanowczo Maggie, chociaż pamiętała, jak zabolały ją słowa, których użył Kunze.

– No więc insynuował – poprawiła się Gwen – że Maggie i Tully, cytuję: „przyczynili się do śmierci Cunninghama”.

– Oznajmił nam, że teraz musimy się wykazać – dodał Tully.

Maggie nie mogła uwierzyć, że z takim spokojem wyjaśniał sytuację, ze wzrokiem wlepionym w ekran telewizora, jakby podawał im wyniki ostatnich meczów. Ten temat wywoływał w niej odmienne reakcje, o czym Gwen doskonale wiedziała. Może nawet przejęła na siebie jej złość, która Maggie zaczęła już ciążyć. Nie byłoby tak źle,

gdyby Kunze nie obudził w niej poczucia winy, które przecież i tak jej doskwierało. Bywały takie dni, gdy oskarżała się o śmierć Cunninghama niezależnie od zarzutu Kunzego, że dopuścili się zaniedbań.

Powinna wiedzieć, bo miała fachowe przygotowanie, że doznaje czegoś, co w psychologii nazywa się poczuciem winy ocalonego. Ale czasami, zwykle późną nocą, gdy leżała w łóżku sama, patrząc na sufit sypialni, myślała o tym, jak Cunningham się zaraził, a przecież oboje mieli kontakt z tym samym wirusem. Obraz niszczejącego ciała i to, jak szybko z pełnego sił, żywotnego człowieka jej szef i mentor zamienił się w bezradną istotę, przyprawiał ją o ssanie w żołądku, ból, któremu towarzyszyły nudności. To było bardzo realne fizyczne doznanie. Cunningham nie żył. Ona przeżyła. Jak to się stało?

– Więc wysyła cię do Minnesoty, żeby uspokoić swojego kumpla gubernatora – podjęła Gwen. – Akurat ciebie. W biurze w Minneapolis na pewno jest ktoś, kto mógłby się tym zająć.

– Gwen. – Maggie przygryzła dolną wargę. Chciała jej powiedzieć, żeby się zamknęła. Takich dyskusji nie należy prowadzić w obecności Bena i Julii, a nawet Tully'ego.

– To po prostu nie w porządku.

Nagle ich uwagę przyciągnął telewizor. Tully tak długo naciskał przycisk na pilocie, aż wystarczająco głośno słyszał najnowsze wiadomości stacji FOX.

– Otrzymaliśmy informację, że w Mall of America prawdopodobnie doszło do wybuchu bomby – oznajmił głos

z offu, podczas gdy na ekranie pojawiło się centrum handlowe widziane z lotu ptaka. Przypuszczalnie pokazywano archiwalne zdjęcia, gdyż parking nie był zapełniony, a na drzewach rosły zielone liście. – Operatorzy dziewięćset jedenaście otrzymali masę telefonów – ciągnął ten sam bezcielesny głos. – Służby ratownicze, a także nasz helikopter, są już w drodze. W tej chwili to wszystkie informacje, które możemy państwu przekazać. Mall of America to największe centrum handlowe w Stanach Zjednoczonych. W dniu dzisiejszym spodziewano się tam ponad stu pięćdziesięciu tysięcy klientów. Właśnie dziś wypada tak zwany Czarny Piątek, tradycyjnie dzień największego ruchu w sklepach.

W salonie Maggie zapanowała cisza. Nikt już nikogo nie oskarżał. Nikt o nic nie pytał. Nikt się nie kłócił.

Ben splótł ręce na piersi i lekko przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, ramieniem dotykając Maggie.

– Zapomnij o polityce – rzekł spokojnie, cicho, jakby chciał ją upewnić. – Rób to, co robisz najlepiej. – Zanim mu odpowiedziała czy zapytała, co miał na myśli, dodał: – Złap tych drani.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mall of America

– Mamy problem – warknął Asante do bezprzewodowego zestawu słuchawkowego. Unikał ludzi na parkingu. Niektórzy stali na lodowatym zimnie i tylko patrzyli, inni biegli do swoich samochodów.

– Jaki problem?

Asante ledwie usłyszał pytanie.

– Jeden z naszych kurierów wciąż żyje.

W słuchawce zapadła cisza, Asante pomyślał nawet, że połączenie zostało przerwane.

– Jak to możliwe? – dobiegł go w końcu głos z drugiej strony.

– Ty mi powiedz.

– Były trzy wybuchy. Nikt nie powinien tego przeżyć.

– Widziałeś ich? – W głosie Asantego pobrzmiewało oskarżenie.

– Oczywiście.

Jednak pewność rozmówcy zachwiała się, kiedy Asante syknął z irytacji.

– Widziałeś każdego z osobna?

– Tak. Widziałem, jak wszyscy trzej pojawili się w barze. – Znowu chwila wahania, oznaka lęku przed przyznaniem się

do winy. – Kurier Numer Trzy przyprowadził z sobą dwójkę przyjaciół. Nie myślałem, że to jakiś problem.

Asante milczał, chociaż chciał tamtemu przypomnieć, że nie płaci mu za myślenie. Wiedział już, że może ufać wyłącznie sobie, niezależnie od tego, jak chętnych i jak zdolnych współpracowników sobie dobiera. To była bolesna lekcja, której nauczył się na długo przed Oklahoma City. Zawsze, ale to zawsze trzeba mieć plan rezerwowy, tak samo jak mieli je McVeigh czy Nichols przy każdym swoim projekcie bez względu na jego skalę.

– Wracam do środka.

W słuchawce znowu cisza. Asante dokładnie wiedział, co myśli jego rozmówca: „Chyba oszalałeś”. Ale oczywiście nie będzie miał odwagi zakwestionować planu Kierownika Projektu.

– Co mam robić? – spytał cicho, niepewnie i prawdopodobnie z nadzieją, że szef nie każe mu iść razem z nim.

– Dowiedz się, kim jest ta dwójka. – Ledwie skończył mówić, Asante usłyszał w słuchawce westchnienie ulgi.

A potem ruszył w drogę. Brnął przez śnieżycę na tyły centrum handlowego, do tego samego wejścia, którym wcześniej uciekł na zewnątrz. Zanim opuścił samochód, ten bezpieczny azyl, zamienił baseballówkę drużyny Carolina Panthers na niebieską czapkę z napisem „Ratownik”. Zmienił też obuwie, zdjął buty do joggingu i włożył buty turystyczne, celowo o trzy numery za duże. Ślad podeszwy bywa równie zdradziecki jak odcisk palca,

a w przymarzniętym śniegu taki ślad może się dobrze zachować. Wcześniej wypchał buty w palcach skarpetkami, by w razie konieczności wygodnie mu się w nich biegło.

Buty do joggingu wrzucił do worka marynarskiego razem ze wszystkimi innymi rzeczami, które mogły mu się przydać, w tym strzykawkę z toksycznym koktajlem, którą na wszelki wypadek zawsze przy sobie nosił. To był jeszcze jeden ważny szczegół, zabezpieczenie dla Kierownika Projektu, który chciał kontrolować dosłownie wszystko, łącznie z własną śmiercią, gdyby przyszło co do czego. Dzisiaj wykorzysta tę strzykawkę w innym celu. Wstrzyknie truciznę pozostałemu przy życiu kurierowi.

W swoich planach nie miał powrotu do centrum, ale przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, na wypadek gdyby okazało się to jednak niezbędne. Tak długo studiował wszystkie detale związane z funkcjonowaniem centrum handlowego, że znał je na pamięć. W ciągu kilku sekund ochrona oznajmi przez głośniki, że nastąpił pewien incydent i zarządzi ewakuację i zamknięcie budynku. W sklepach opadną kraty i żaluzje. Kioskarze zabezpieczą towar i także zamkną swoje kramiki. System spryskiwaczy na trzecim piętrze został już pewnie aktywowany. Ruchome schody i wszystkie elementy parku rozrywki zatrzymały się z piskiem i zgrzytem. Po uruchomieniu spryskiwaczy została zaalarmowana straż pożarna. Asante spodziewał się lada moment usłyszeć syreny. Prawdę mówiąc, był zdziwiony, że jeszcze ich nie słyszy, ale śnieg mógł trochę utrudnić dojazd. Zaraz po straży przyjedzie miejscowa

policja, a gdy tylko pojawi się podejrzenie, że to bomba, przyślą tu oddział pirotechników i snajperów. Ochrona centrum nie nosiła broni. Asante sądził, że ma co najmniej dziesięć minut, a najwięcej trzydzieści, nim z ziemi i powietrza nastąpi masowa inwazja uzbrojonych sił reagujących w sytuacjach kryzysowych.

Grzęznąc po drodze w śniegu, nastawił swój zegarek dla nurków tak, by odliczał sekundy. Trzydzieści minut to więcej niż dosyć, by odnaleźć i zgładzić zbłąkanego kuriera.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Patrick stłukł szybę, żeby dostać się do gaśnicy. Ileś tam metrów dalej eksplozja wysadziła w powietrze sklepowe witryny i zburzyła ceglane ściany, a w przeciwpożarowej gablotce nie pękło nawet szkło. Wyjął zawleczkę, w każdej chwili gotów do użycia gaśnicy, ale przed nim był tylko dym, a nie płomienie. Mimo wszystko ruszył przez szare opary, gęste i wilgotne jak mgła w letni ranek. I znowu wybrał zły kierunek. Zaczekał, aż strumień klientów go minie, a potem usiłował dalej przeć naprzód.

Przez głośniki mechaniczny głos z całym spokojem powtarzał tę samą informację:

– W centrum handlowym doszło do incydentu. Uprasza się o zachowanie spokoju. Proszę powoli kierować się do najbliższego wyjścia.

Wciąż puszczano świąteczne piosenki. Nikt nawet tego nie zauważył.

Patrick zatrzymał się, żeby pomóc kobiecie, która została odepchnięta na bok. Chciała wyjąć dziecko z wózka spacerowego. Maluch rozpaczliwie płakał, choć nie wyglądał na poszkodowanego. Spanikowana matka patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– O mój Boże, o mój Boże – mamrotała pod nosem.

Ręce jej się trzęsły, nerwowo ciągnęła kocyk i paski, które przytrzymywały dziecko w wózku. Potknęła się i zakołysała

jak ktoś, kto za dużo wypił. Patrick spostrzegł, że jest bosa. Krwawiące stopy były pokaleczone przez odłamki, które zasypały podłogę. Rozejrzał się i zobaczył leżące nieco dalej buty na średniej wysokości obcasie. Podniósł je i zaoferował kobiecie.

– Pani stopy – powiedział, wskazując na nie palcem.

Sprawiała wrażenie, jakby go nie słyszała. Nawet nie podniosła na niego wzroku. Gdy trzymała już dziecko na rękach, pobiegła w stronę ruchomych schodów, porzucając wózek, torbę z pieluchami, torebkę... i swoje nowe buty. Nie zauważyła, że jej stopy zostawiają na podłodze krwawe ślady.

Dogasił jeden pożar, zwęglony już prawie kiosk z telefonami komórkowymi. Rozpoznał kilka sklepów i wiedział, że znajduje się blisko samoobsługowych barów. To musi być zaraz za rogiem. Dym był tutaj gęstszy, widoczność znacznie gorsza. Patrick musiał iść przy ścianie i uważnie patrzeć pod nogi. Podłoga była śliska i przykryta rozmaitymi śmieciami, które chrzęściły pod stopami. Obawiał się, że gumowe podeszwy jego conversów z linii OneStar okażą się za cienkie dla większych kawałków szkła czy metalu. Przez zasłonę dymu dostrzegł znak wskazujący drogę do toalety. Wisiał do góry nogami wysoko nad jego głową. Zdał sobie sprawę, że to właśnie tutaj ostatnio widział Rebeccę.

Nareszcie.

Tyle że teraz nie miał przed sobą żadnych drzwi. Drzwi toalety zniknęły, została po nich wielka wyrwa

w przechylonej i osmalonej ścianie. Cegły sterczały albo zwisały, jakby ktoś zbudował mur z klocków, a potem go trącił. Z jednego z otworów sączyła się woda. Smród przypominający zepsute jaja, a może ścieki, zalewał wszystko wokół. Patrick modlił się w duchu, żeby Rebecca zdążyła wyjść z toalety, zanim nastąpił wybuch.

W tym samym momencie potknął się i wpadł na kanciaste cegły, rozcinając sobie dłoń, ale przynajmniej zdołał utrzymać równowagę. Kiedy spuścił wzrok, ujrzał najpierw długie ciemne włosy i pomyślał, że potknął się o manekin. Nogi były tak dziwnie ułożone i splecione razem, jakby zrobiono je z plastycznego tworzywa i wepchnięto do pojemnika na śmieci. Za to w oczach, które na niego patrzyły przez zsunięte na twarz potargane włosy, nie było nic sztucznego. Szczęka kobiety była dosłownie rozdarta, tworząc nienormalnie szeroki uśmiech. Patrick chciał się pochylić i pomóc jej wstać, ale potem cofnął się gwałtownie, uświadamiając sobie, że kobieta nie żyje.

Spojrzał ponownie na powykręcane nogi, o które zawadził, i po raz pierwszy poczuł się jak na karuzeli, nie był pewien, czy utrzyma pion.

Nogi tej kobiety zostały oderwane od reszty ciała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szkółka leśna Lanoha
Omaha, Nebraska

Nick Morrelli wyjął kartę kredytową. Wiedział, że jego siostra Christine go obserwuje, więc starał się nawet nie mrugnąć, nie wzdrygnąć ani nie chrząknąć, żeby oczyścić gardło. Christine tylko na to czekała.

Powiedziała mu już, że nie musi płacić za świeżo ściętą, wysoką na ponad dwa i pół metra jodłę. Prawdę mówiąc, powtórzyła to trzy razy, doprowadzając do tego, że wręcz nalegał, udawał, że nic się nie stało. No bo w końcu co takiego się stało? Czy to takie ważne, że właśnie rzucił intratną posadę w biurze prokuratora okręgowego hrabstwa Suffolk w Bostonie i wrócił do Omaha? Przecież nie został wyrzucony z pracy, nikt nie kazał mu odejść. To był jego autonomiczny wybór.

Wybór, nie impuls.

Impulsem nazywały to jego matka i Christine.

– Twój ojciec wie, że go kochasz, Nicky – powiedziała matka, kiedy oświadczył, że przenosi się do Nebraski. – Wcale nie oczekuje, że porzucisz swoje życie, by przy nim być.

Nick chciał wówczas jej odpowiedzieć, że stary Antonio Morrelli właśnie tego pragnął. Chciał, żeby wszyscy

zostawili to, co dla nich ważne, i dostosowali swoje życie do niego, zwłaszcza teraz, gdy zdawało się, że śmierć jest blisko. Po potężnym wylewie przed paru laty ojciec Nicka został sparaliżowany i przykuty do łóżka. Obecnie porozumiewał się wyłącznie oczami. Może Nick tylko sobie to wyobrażał, a jednak przysiągłby, że wciąż widzi w tych oczach – już wodnisto-niebieskich, nie lodowato-błękitnych – to samo co dawniej rozczarowanie i żal, ilekroć ojciec na niego spojrzał.

Przez większą część swojego życia Nick starał się spełniać oczekiwania ojca, starał się mu dorównać. Antonio Morrelli był rozgrywającym w drużynie Nebraska Huskers, więc Nick oczywiście grał na pozycji rozgrywającego w Nebraska Huskers, tyle że zabawił tam tylko jeden sezon. Cóż za zawód dla ojca, który o rok przeciągnął studia, byle grać dłużej. Ojciec studiował prawo, a zatem Nick wybrał ten sam wydział, tyle że nie chciał praktykować jako prawnik, nie miał też ochoty objąć posady, którą ojciec zostawił dla niego w założonej przez siebie firmie prawniczej.

Nick startował nawet z powodzeniem w wyborach na szeryfa hrabstwa. Z tego właśnie stanowiska stary Morrelli odszedł na emeryturę jako żywa legenda. Ale Nick okazał się lepszy od ojca, wytropił mordercę, którego stary szeryf Morrelli nie zdołał ująć. Można by pomyśleć, że Nick wynagrodził ojcu swoje inne braki. Wreszcie odniósł sukces. A jednak Antonio Morrelli postrzegał to inaczej. Jego zdaniem syn zrobił z niego pośmiewisko, zepsuł mu opinię.

Przeprowadzka do Bostonu była prawdopodobnie pierwszą rzeczą, którą Nick zrobił z własnej woli i dla siebie, nie oglądając się na ojca, który nigdy nie był prokuratorem okręgowym. Nigdy nie występował w tak głośnych sprawach, w których Nick miał szansę uczestniczyć, od handlu narkotykami po podwójne morderstwo. Takimi sprawami Nick zajmował się na co dzień jako zastępca prokuratora okręgowego hrabstwa Suffolk. A jednak i tego było mu mało. Najwyraźniej to mu nie wystarczyło, ponieważ teraz znów był tutaj, wrócił do domu, wciąż czegoś szukał. Miał tylko nadzieję, że na liście jego niespełnień nie ma już aprobaty ojca.

Matka uważała jednak, że Nick wciąż jej potrzebuje. W jej ustach brzmiało to tak, jakby Nick zmienił miejsce zamieszkania ze względu na ojca, którego pogarszający się z każdym dniem stan sugerował, że może to być jego ostatnie Boże Narodzenie. Christine zdawała się z kolei sądzić, że Nick przeniósł się, by zastąpić ojca jej nastoletniemu synowi, którego sama wychowywała. Po części miała rację. Nick kochał Timmy’ego i pragnął brać czynny udział w jego życiu, ale szczerze mówiąc, przynajmniej gdy sam o tym myślał, musiał przyznać, że powody, którymi się kierował, nie aż wcale tak szlachetne czy wzniosłe. W rzeczywistości były dość egoistyczne.

Tak, zależało mu na tym, by być blisko rodziny podczas tych ostatnich świąt, gdy byli jeszcze wszyscy razem. Ale pragnął również pozbyć się poczucia samotności, które nagle zaczęło mu ciążyć. Bostoński apartament wypełniała

pustka, która zaczęła nawet wnikać w jego pracę. Zupełnie jakby coś stracił, i nie chodziło bynajmniej o byłą narzeczoną Jill Campbell. O dziwo, jej brak miał niewiele wspólnego z doświadczaną przez Nicka samotnością. Co gorsza, wyjazd z Bostonu wcale mu nie pomógł. Pustka podążyła za nim. To poczucie wydrążenia było czymś, co nosił w sobie. Może to nie najlepsze określenie, ale dokładnie tak to odczuwał.

Nowa praca w korporacji ochroniarskiej wysokiego szczebla odwracała uwagę Nicka od innych rzeczy. Podobało mu się, że ma nowe wyzwanie. Płaca była bardzo dobra... a w każdym razie miała taka być, zatrudnił się bowiem dopiero przed miesiącem.

– Wiem, że jesteś trochę przygnębiony – powiedziała Christine, przerywając jego myśli.

– Nie jestem przygnębiony.

– To nic złego.

– Nie jestem przygnębiony.

Jej spojrzenie mówiło: „Nie wciskaj mi kitu”.

Okej, więc może był trochę przygnębiony. Przygnębienie bardzo pasuje do wydrążenia.

– To zrozumiałe. – Christina sądziła chyba, że w samym środku szkółki leśnej powinni porozmawiać o jego życiu. – Niedawno zerwałeś zaręczyny. Kiedy to było? Jakieś pięć miesięcy temu?

– Nie jestem przygnębiony z powodu Jill – odparł stanowczo Nick przez zaciśnięte zęby, licząc, że siostra wreszcie zostawi go w spokoju. A jednocześnie zdał sobie

sprawę, że najpewniej tylko potwierdził jej obawy. Gdyby znała go tak dobrze, jak jej się wydawało, wiedziałaby, że to nie ma nic wspólnego z Jill.

– Skoro nie chodzi o Jill – podjęła Christine na pozór obojętnym tonem, przyglądając się metce z ceną na świątecznych wieńcach – to pewnie chodzi o Maggie.

Z równym skutkiem mogła mu wsadzić nóż między żebra. Przez ostatni miesiąc przekonywał sam siebie, że Maggie O'Dell ma własne życie i nie jest zainteresowana tym, by stać się częścią jego życia. Zrobił wszystko, na co było go stać. Jeszcze trochę i zostałby psychopatycznym prześladowcą. To już koniec. Pora iść dalej. Powtarzał to sobie raz za razem, bez końca. Rozum słyszał to wyraźnie. Serce – kompletnie ignorowało.

– Wiem – odezwała się Christine, biorąc jego milczenie za potwierdzenie. – To skomplikowane.

Wcale nie było aż tak skomplikowane. Nick poznał Maggie cztery lata temu, kiedy rozpracowywał pewną sprawę, piastując urząd szeryfa Platte City w stanie Nebraska. Pojawiła się w jego życiu jako psycholog kryminalny FBI zajmujący się profilami zbrodniarzy. Była inteligentna, twarda, a przy tym piękna. Nick znał wiele kobiet – był związany z wieloma kobietami – ale nigdy nie spotkał nikogo takiego jak Maggie O'Dell. Natychmiast między nimi zaiskrzyło. Tak przynajmniej zapisało się to w pamięci Nicka. Ale ona była mężatką.

Po zakończeniu sprawy pozostawali w kontakcie, a gdy Maggie wreszcie zakończyła procedurę rozwodową, Nick

dał jej wiele okazji, żeby poczuła się nim oczarowana, oznajmił nawet głośno, że jest otwarty na nowy związek. Na poważny związek, coś, co Nick Morrelli rzadko brał pod uwagę. Ale Maggie z jakiegoś powodu go odtrąciła. Może nie była jeszcze gotowa. Chciał w to wierzyć. Nigdy dotąd żadna kobieta go nie odrzuciła, to było dla niego zupełnie nowe doświadczenie.

Ostatniego lata ich ścieżki znów się skrzyżowały. Kolejna sprawa powiązana z tamtą sprzed czterech lat. Spotkanie przywołało wszystkie wspomnienia i niektóre uczucia. Nick nawet nie zdawał sobie sprawy, że wciąż w nim tkwią. Te uczucia natarły z taką siłą, że zerwał swoje zaręczyny.

Potem zrobił jedyną rzecz, którą potrafi robić. Ścigał Maggie kartkami, e-mailami, kwiatami, prośbami o spotkanie, choć ona mieszkała w Waszyngtonie, on zaś w Bostonie. Wydawało mu się, że zachowuje się jak przykładny konkurent. Do momentu gdy odkrył, że w życiu Maggie jest ktoś inny. Pozwolił jej odejść niepostrzeżenie, zmarnował swoją szansę. Tym razem okazało się, że jest za późno.

Pozwolił jej odejść do faceta, który nazywa się Benjamin Platt. Nick sprawdził numery rejestracyjne land rovera zaparkowanego przed domem Maggie. Platt był pułkownikiem armii Stanów Zjednoczonych, wojskowym lekarzem, naukowcem i żołnierzem. Nick nie był pewien, czy nawet wysoki, ciemnowłosy i czarujący rozgrywający, który później został prawnikiem, ma jakiekolwiek szanse konkurować z tym gościem.

– Możemy skupić się na świętach? – poprosił po zbyt długiej chwili ciszy.

Christine zrobiła taką minę, jakby wiedziała, że racja jest po jej stronie. Nie podobało mu się, że dla starszej siostry jest niczym otwarta księga.

Zanim Christine się odezwała, przerwali im dwaj sprzedawcy, którzy wyszli na środek sklepu.

– W Mall of America wybuchła bomba – oznajmił jeden z nich. – Prawdopodobnie zginęły dziesiątki ludzi.

Klienci podeszli bliżej alejki do kas, żeby lepiej słyszeć sensacyjne nowiny.

– To my chronimy to centrum – powiedział Nick do Christine. Ledwie wyjął z kieszeni kurtki telefon komórkowy, kiedy ten zaczął dzwonić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mall of America

Asante stracił trochę czasu, walcząc z falą rozhisteryzowanych ludzi. Zachowywali się idiotycznie. To dlatego po akcji zawsze się ulatniał, żeby tego nie widzieć. Niektórzy jego byli współpracownicy znajdowali przyjemność w tym chaosie – lubili czuć zapach strachu, patrzeć, jak ludzie trzymają się życia pazurami, słuchać krzyków i jęków dobywających się z ludzkich gardeł w chwilach największej bezradności. Albo też, jak postrzegał to Asante, w momencie, kiedy człowiek jest najbardziej żałosny. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by wiedzieć, że ma rację.

Od lat już nie dał się oszukać. Ci, którzy podkreślają z uznaniem, że sytuacja kryzysowa wydobywa z ludzi to, co w nich najlepsze, sprawiają, że zapominamy, iż te same okoliczności rodzą też w ludziach najgorsze instynkty. Asante stał u szczytu ruchomych schodów, patrząc w dół, jak na każdym piętrze centrum handlowego nieokiełznana panika wybucha niczym ogień. Powściągnął uśmiech. Ludzie przepychali się, deptali po rannych, porzucali w biegu cenne rzeczy. Jeśli sądzą, że to jest tragedia, pomyślał, niech zaczekają na to, co później nastąpi. Na razie to tylko drobne perturbacje.

Kierując się sygnałem GPS, torował sobie drogę. Trzymał się blisko ścian, gdyż wiedział, że tam nie zarejestrują go kamery, które mogły jeszcze ewentualnie działać. Szybkim krokiem posuwał się naprzód, choć tak naprawdę najchętniej by pobiegł. Czas uciekał. Przebicie się przez szturmujący wyjścia tłum zabrało mu więcej minut, niż przewidywał. Sygnał prowadził go do miejsca, skąd wyruszyli kurierzy. Do baru.

W pewnej chwili nagle się zatrzymał. Przyklęknął, pochylił głowę i zaczął szukać czegoś w swoim worku, udając, że się skaleczył. Jeden z ochroniarzy minął go pędem. Asante nie chciał, by ktoś z ochrony zobaczył jego czapkę z napisem „Ratownik” i zaprowadził do rannych. Musi znaleźć swojego rannego.

Zanim wstał, włączył bezprzewodową słuchawkę, która ciasno trzymała się na lewym uchu. Miniaturowy komputer, niewiele większy od smartphone’a, przymocował do nadgarstka, żeby mieć wolne ręce, a równocześnie śledzić na ekranie zielone mrugające światełko. Nacisnął kilka przycisków, a potem wzmocnił głos w słuchawce. Już po chwili słyszał rozmowę ochroniarzy, którzy przekleństwami okraszali informacje.

– Gdzie są gliniarze?

– W drodze.

– Co się tak grzebią, skurczysyny?

Tym razem Asante się uśmiechnął. Dla niego to była dobra wiadomość. Teraz, mając podsłuch, będzie wiedział, kiedy się stąd wynieść. Miejsce, gdzie znajdowały się

samoobsługowe bary, przypominało mu kawiarniany ogródek w Tel Awiwie po wybuchu bomby. To było za studenckich czasów, kiedy dopiero zgłębiał tajniki sztuki terroru. Bo gdzież lepiej zdobyć tę wiedzę, jak nie na wiecznym polu bitwy? Teraz rozglądał się po poprzewracanych i połamanych stolikach i krzesłach, które przypominały mu rozrzucone bierki. Ściany były zbryzgane chińskim makaronem, pizzą, kawą, strzępami ludzkiego ciała i krwią. Podłogę pokrywały odłamki szkła. Krople spadające z umieszczonych w suficie spryskiwaczy zwiększały mgielną atmosferę, zraszając tych, którzy biegli, i mocząc do cna tych, którzy nie byli w stanie biec.

Asante szedł za zielonym mrugającym światełkiem, wskazywanym przez system GPS. Dwa razy postukał w urządzenie, kiedy zaczęło źle działać, i system pokazał, że cel jest tuż-tuż. Znów nacisnął kilka przycisków, nim sobie uświadomił, że komputer wcale się nie popsuł. Po prostu Asante spodziewał się zobaczyć Dixona Lee, a tymczasem ujrzał młodą kobietę. Leżała skulona za przewróconym stolikiem, tuż obok balustrady, za którą rozciągał się widok na atrium centrum handlowego.

Nie poruszała się, ale to ona była źródłem zielonego mrugającego światełka.

O kurwa!

To jest jego zbłąkany kurier?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie opuściła gości i poszła się pakować. Przed wyjściem serdecznie ich poprosiła, by u niej zostali.

– Nie pozwólcie, żeby całe to żarcie się zmarnowało – powiedziała. – Napracowałyśmy się z Gwen. – Potem dodała z uśmiechem: – Okej? Proszę, zostańcie.

Racine pierwsza obiecała, że nie ruszy się z miejsca, choć zrobiła to w typowy dla siebie sposób:

– Nie ma sprawy. Umieram z głodu. Drobna świąteczna jatka nie odbierze mi apetytu.

To wystarczyło, by rozładować napięcie, i cała reszta wybuchnęła śmiechem.

Mimo to Maggie wcale się nie zdziwiła, słysząc stukanie do drzwi swojej sypialni. Spodziewała się, że Gwen będzie chciała jeszcze zamienić z nią słowo.

– Wejdź.

– Na pewno można? – W drzwiach stał Benjamin Platt, patrząc z wahaniem niczym mały chłopiec, a nie pułkownik.

– Tak, oczywiście, proszę – odparła Maggie, starając się nie okazać zaskoczenia.

Pokazał jej małą czarną torbę lekarską, którą trzymał w ręce. W ciągu dwóch minionych miesięcy dobrze się z nią zaznajomiła. Po kwarantannie, którą przeszła w USAMRIID-

zie, Ben kilkakrotnie wpadał do niej z wizytą domową. W torbie miał zestaw do pobrania krwi i co najmniej dwie fiolki szczepionki na wirus eboli.

– Nadal to przy sobie nosisz?

– Od chwili, gdy cię poznałem.

– Cóż, tak działam na facetów.

Zmrużył oczy, spoważniał, gotowy chwilowo zrezygnować z flirtu.

– Kolejną szczepionkę powinnaś dostać dopiero w przyszłym tygodniu, ale biorąc pod uwagę cel twojej podróży... – urwał i czekał, aż Maggie spojrzy mu w oczy – i co tam zastaniesz, byłoby wskazane, żebym podał ci tę dawkę przed wyjazdem.

Jego troska niepokoiła ją. Podczas całej kwarantanny, gdy niecierpliwie wyczekiwała wyników badań, Ben powtarzał, żeby Maggie zwolniła i uzbroiła się w cierpliwość. Mówił, że zaczną ją leczyć, gdy tylko okaże się, z czym mają do czynienia, cokolwiek to będzie. To cokolwiek okazało się ostatecznie wirusem eboli, zwanym też popularnie wymiataczem. Maggie została nim zarażona, a mimo to nie wykazywała żadnych charakterystycznych objawów. Okres wykluwania się eboli wynosi do dwudziestu jeden dni, a od chwili zakażenia minęło ich pięćdziesiąt sześć. Wiedziała to dokładnie, co znaczy, że wciąż z całą powagą traktowała zagrożenie.

– Nie sądzisz chyba...

– Nie, oczywiście, że nie – przerwał jej Ben. – To tylko środek ostrożności. Twój system odpornościowy został

nadwerężony.

– Okej. – Zaczęła przesuwać drobiazgi na toaletce, robiąc miejsce dla torby Bena. Na łóżku leżała prawie już zapakowana otwarta walizka. Dawno temu Maggie nauczyła się stale trzymać w niej najpotrzebniejsze rzeczy. Kiedy Ben szykował strzykawkę, ona szukała ciepłego golfa. Zbyt często odwiedzała Środkowy Zachód o tej porze roku, by lekceważyć tamtejsze chłody.

– Tam pada śnieg – zauważył Ben, jakby czytał w jej myślach.

– Trochę pada. Mam wziąć kozaki?

Tym razem przerwał pracę i podniósł na nią wzrok.

– A jaka to różnica?

– Och, ogromna. Nie byłeś w zimie na Środkowym Zachodzie?

– W Chicago. Ale nie, to było wiosną.

– Podczas pierwszej podróży miałam tylko skórzane płaskie mokasyny. Śniegu było jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć centymetrów, a jedynym miejscem na tym odludziu w Nebrasce, gdzie mogłam kupić wysokie buty, był sklep z narzędziami rolniczymi Johna Deere’a.

– Niech zgadnę, dostałaś tylko jasnozielone numer czterdziesty czwarty?

– Coś w tym rodzaju.

Po chwili poszukiwań wygrzebała z szafy parę kozaków bez suwaka, które łatwo się składały. Kiedy odwróciła się do walizki, Ben patrzył na nią z uśmiechem.

– Co?

– Nic – rzekł, kręcąc głową i cały czas się uśmiechając. – Jesteś dość niesamowita, to wszystko.

Miała nadzieję, że rumieniec, który czuła na szyi, nie zalał całej jej twarzy. Uniosła wyżej kozaki, żeby pokazać je Benowi, i włożyła do walizki.

– Wiedziałam, że w końcu zwrócę twoją uwagę moim seksownym obuwiem.

– Muszę cię rozczarować. – Odłożył strzykawkę i podszedł bliżej. Dotknął jej policzka grzbietem dłoni. – Zainteresowałaś mnie, gdy w ogóle nie miałaś obuwia. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem twoje stopy w za dużych sportowych skarpetach w USAMRIID-zie, moje serce zabiło mocniej.

Nie była pewna, czy to przez ten jego dotyk, a może przez zaskakujące wyznanie jej serce też dziwnie przyśpieszyło.

– Fetyszysta? – starała się obrócić w żart.

– Namiętny.

Przy kolejnym stukaniu do drzwi oboje się wzdrygnęli. Tym razem to była Gwen.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Na dworze czeka samochód, który zawiezie cię do Andrews.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mall of America

Szkło nie wbiło się jednak tak głęboko, jak Rebecce się wydawało. Rana mocno krwawiła, ale raczej była powierzchowna, w każdym razie nie ucierpiała żadna ważna arteria. Mimo wszystko powinna wyciągnąć z ramienia ten odłamek.

Da sobie z tym radę. Oczywiście, że sobie poradzi.

W końcu oczyściła już i opatrzyła niejedną ranę. Nie ma znaczenia, że jej pacjentami były psy pogryzione przez inne psy, skaleczone drutem kolczastym czy też zranione przez swoich właścicieli. Jeden z psów, którego leczyła, został potrącony przez samochód. Wszystkie te rany były odpychające. Podobnie jak ta. Jeśli istniała jakakolwiek różnica, to tylko taka, że w tym wypadku powinno jej pójść łatwiej. Nie patrzyły na nią żadne smutne brązowe oczy. Gdyby tylko minął ten pulsujący ból głowy i mdłości. Zdawało jej się, że lada chwila zwymiotuje.

Ochroniarz oddalił się, a Rebecca poczuła ulgę. Była przerażona i obolała, a jednak odetchnęła. Czy to normalne? Wciąż nie dawało jej spokoju, czy ochrona widziała Chada, Tylera i Dixona z plecakami. Czy ich obserwowano za pomocą kamer przemysłowych? Czy to w ogóle możliwe w taki dzień jak ten, przy takich tłumach?

A może właśnie w taki dzień czujność jest wzmożona? Bo jak inaczej by się dowiedzieli?

Rozejrzała się znowu i w polu widzenia nie dostrzegła żadnego niebieskiego uniformu. A może niektórzy ochroniarze chodzą po cywilnemu? Jeśli obserwowali chłopców, a plecaki wzbudziły ich podejrzenia, to znaczy, że ją też mieli na oku. Czy teraz by ją rozpoznali?

Może nie, z tym harpunem w ramieniu.

Boże, ale to boli.

Zdawało jej się, że słyszy syreny. Z dołu dochodziły krzyki. Czy ktoś zawołał „Policja”?

Krzyki zagłuszył przeszywający elektroniczny dzwonek. Gdzieś uruchomił się alarm. Nikt nie zwracał na to uwagi. Nie było takiego dźwięku, który powstrzymałby tę histerię.

Rebecca nie ruszyła się z miejsca. Usiłowała ocenić swoją ranę. Z lewej strony, gdzie wbiło się szkło, miała podarty rękaw. Zabawne, że w ogóle nie zarejestrowała tego momentu.

Jak mogła nie pamiętać bólu?

To wszystko stało się tak szybko. Pewnie miała szczęście, że skaleczył ją tylko jeden odłamek.

Ostrożnie oderwała materiał od rany i na widok fioletowo-czerwonego ciała, otwartej rany, tak zwanego żywego mięsa, oparła głowę o balustradę, czekając, aż fala mdłości minie. Wokół siebie i pod sobą czuła wibracje wywołane przez biegnących w popłochu ludzi. Nie mogła się skupić, ten hałas był wszechogarniający, a do tego dołączył inny irytujący szum przypominający porywy wiatru w tunelu.

Zamknęła oczy i wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że to nie wiatr. To jej urywany oddech.

Musi się postarać.

Musi wyjąć szkło z ramienia.

Dalej, Rebecco, ponaglała się w duchu. Wyciągnij to cholerne szkło.

Raz, dwa, trzy... Jak zrywa się plaster z opatrunkiem! Jednym szybkim ruchem.

Ale po wyjęciu szkła będzie musiała zatamować krwawienie.

Gwałtownie uniosła powieki. Trzeba zatkać czymś tę dziurę w ramieniu, bo jeśli o to nie zadba, wykrwawi się na śmierć. Ta myśl dodała jej siły, kazała się skoncentrować i zaplanować kolejne czynności.

Zaczęła odpruwać podszewkę z podartego płaszcza. Podszewka na pewno jest czyściejsza niż materiał na zewnątrz i bardziej miękka.

– Pomogę ci.

Rebecca podniosła wzrok i ujrzała stojącego obok mężczyznę. Na głowie miał czapkę z napisem „Ratownik”, ale był w dżinsach i butach turystycznych. Co prawda nie widziała, co miał pod zimową kurtką. Z jego ramienia zwisał marynarski worek.

Powinna cieszyć się, że ktoś przyszedł jej z pomocą. Nie będzie musiała sama się z tym męczyć. A jednak sposób, w jaki mężczyzna trzymał wypełnioną płynem strzykawkę, wydał jej się podejrzany.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Omaha, Nebraska

Nick Morrelli sprawdzał rozkład lotów w swoim telefonie. Christine czekała, by odwieźć ich do domu. Jej syn Timmy i jego kumpel Gibson pomagali pracownikowi szkółki załadować choinkę na dach suva. Nick zaoferował pomoc, ale chłopcy uparli się, że zrobią to sami. Nie spierał się z nimi. Miał teraz tylko jedno w głowie – jak dostać się do Minneapolis.

Nowy szef Nicka wybrał go na reprezentanta firmy ochroniarskiej United Allied Security, która dbała między innymi o bezpieczeństwo Mall of America. Jako były szeryf hrabstwa Nick miał do czynienia z morderstwami i ekspertyzami sądowymi. Jako były prokurator posiadał wiedzę prawniczą, która miała służyć obronie praw spółki. Tak oświadczył mu jego szef Al Banoff. Nick domyślał się, że to jedna z tych niepowtarzalnych szans, z którymi się nie dyskutuje, nawet jeżeli ta szansa mierzona jest liczbą śmiertelnych ofiar.

– Spodziewają się wielu zabitych? – spytała Christine. Gdy Nick spojrzał na nią ostrzegawczo, rzuciła zaczepnie: – No co?

– Zapomnij choć na chwilę, że jesteś dziennikarką.

– Tylko pytam – odparła, po czym dodała: – Z troski. Nic więcej.

– Akurat.

Czekał, pewny, że siostra tak łatwo się nie podda.

– A tak na serio, to coś poważnego, prawda?

Tym razem, choć nawet na nią nie patrzył, Nick wiedział, że się zaniepokoiła. Słyszał jej łamiący się głos. Przez moment dostrzegł, jak nerwowo przeczesała palcami jasne włosy, nim ukryła rękę na kolanach. Bomby wybuchające w centrum handlowym dzień po Święcie Dziękczynienia to koszmar, który może zdarzyć się wszędzie. To coś, co chwyta za gardło i na minutę czy dwie odejmuje ci mowę.

– Tak, myślę, że jest źle.

– Od razu mi się przypomniał Hawkins i tamta strzelanina – powiedziała prawie szeptem.

– To było mniej więcej o tej porze roku?

– Piątego grudnia.

Nick mieszkał wówczas w Bostonie, ale to zdarzenie wstrząsnęło całym stanem Nebraska. Dziewiętnastolatek Robert Hawkins wszedł do sklepu Von Maur w centrum handlowym Westroads, wjechał windą na trzecie piętro i zaczął strzelać. Kiedy wreszcie skończył i skierował lufę w swoją stronę, osiem osób nie żyło. Wszyscy zginęli przypadkiem, byli zwykłymi klientami albo pracownikami sklepów.

– To było bardzo trudne doświadczenie dla całej naszej społeczności – oznajmiła Christine, patrząc przez okno suva, jakby chciała się upewnić, czy jej syn nie wpadnie

nagle do samochodu i nie usłyszy, o czym rozmawiają. – Nie wyobrażam sobie nawet, co przeżywają rodziny ofiar.

Nick zwykle działał krok po kroku, ustalał priorytety, najpierw koncentrował się na tym, co wymagało natychmiastowej reakcji. W tej chwili nie był w stanie myśleć o ofiarach ani ich rodzinach. I choć brzmi to bezdusznie, musiał skupić się na pracy. Na jego dawnym stanowisku prokuratora w Bostonie oznaczałoby to odnalezienie sprawcy i wsadzenie go za kratki. Teraz zadanie było delikatniejszej natury. Założenie pozostało to samo – wykryć sprawcę. Dowiedzieć się, kto przebił się przez mur ochrony. Nie, nie przebił się. Raczej go zburzył.

– Zawiozę cię na lotnisko – powiedziała Christine, przerywając tok myśli brata.

– Jest miejsce na samolot za dwie godziny.

– Zdążysz się spakować?

– Jasne, czemu nie? Będę w końcu w centrum handlowym, więc nic się nie stanie, jak czegoś zapomnę.

Christine przewróciła oczami, a jemu się zdawało, że kąciki jej warg jednak lekko się uniosły. Ale równie szybko opadły. Ścisnęła kierownicę, a wyraz jej twarzy uległ zmianie. Od momentu, gdy Timmy i Gibson otworzyli drzwi i wparowali na tylne siedzenie, nie była już siostrą, tylko matką.

– Wujku, nie zobaczysz meczu Nebraski z Kolorado.

– Nagrajcie go dla mnie, dobra, chłopaki?

Na moment spotkał się wzrokiem z Christine, zdawało się, że jednocześnie pomyśleli to samo: „Och, żeby tak

znowu mieć piętnaście lat, kiedy cały świat kręci się wokół ciebie”.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mall of America

Patrick zobaczył Rebeccę w tym samym momencie, gdy usłyszał z dołu pierwsze krzyki:

– Policja, ręce do góry!

Wyglądała jak wgnieciona w balustradę oddzielającą otwartą przestrzeń atrium od tego, co było wcześniej barem. Stoliki i krzesła leżały połamane na drobne kawał- ki, jakby przeszło tutaj tornado. Rebecca była przytomna i tylko przyciskała lewą rękę do ciała. Stał nad nią jakiś mężczyzna. Próbował jej pomóc.

Ale dlaczego wybrał właśnie Rebeccę?

Patrick przypomniał sobie, jak usiłował pomóc tamtej kobiecie wyjąć dziecko z wózka i stwierdził, że chyba wpada w paranoję. Oczywiście, to jasne, że ludzie sobie pomagają.

Podchodząc bliżej, dojrzał białe litery na czapce baseballówce mężczyzny. Ratownik? Dziwne, nie przypuszczał, że ratownicy już przyjechali. Spojrzał w dół przez balustradę. Dwaj policjanci w mundurach szamotali się z kimś przy drzwiach wejściowych dwa piętra niżej. Byli pierwszymi przedstawicielami sił szybkiego reagowania, których tutaj zobaczył i usłyszał Patrick, chociaż na pewno było ich tu już znacznie więcej.

Niebieskie dżinsy, turystyczne buty, marynarski worek przerzucony przez plecy.

Patrick nadal czuł dziwny niepokój. Ten mężczyzna trzymał w ręce coś, co wyglądało jak... Cholera! To wyglądało jak strzykawka! Żaden z ratowników czy strażaków, z którymi pracował, nie podszedłby do rannego ze strzykawką.

– Hej! – zawołał, lecz nieustający gwar zagłuszył jego głos. – Rebecca! – krzyknął znowu i zobaczył, że gwałtownie się poruszyła. Ale nie była to reakcja na jego zawołanie.

Jednym szybkim ruchem poderwała się, kopnęła nogę od stolika w stronę faceta ze strzykawką, po czym uciekła w przeciwnym kierunku. Mężczyzna kuśtykał, ale tylko przez chwilę. Schował strzykawkę do kieszeni i puścił się biegiem za Rebeccą, odpychając z drogi dwie nastolatki. W tym chaosie nikt nie zwrócił na to uwagi.

Patrick natychmiast ruszył za nimi.

Co się tu dzieje, do diabła?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Baza Sił Powietrznych Andrews powoli znikała z widoku. Maggie starała się nie patrzeć w dół, w ogóle nie wyglądać przez okno samolotu. Z mordercami sobie radziła, ale przebywanie jedenaście i pół kilometra nad poziomem morza i związane z tym poczucie, że nie ma na nic wpływu, wymagało od niej świadomego wysiłku.

Świadomego wysiłku albo szkockiej, czystej.

Wcale nie pomagała jej myśl, że leci prywatnym odrzutowcem z komfortowymi skórzanymi fotelami. Co gorsza naprzeciw niej, obok Allana Fostera, siwowłosego starszego senatora z Minnesoty, siedział zastępca dyrektora Ray Kunze. Po lewej stronie Maggie usiadł z kolei Charlie Wurth, zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Wymieniwszy grzeczności, kilka przytyków, a także spodziewane komentarze pełne niedowierzania i oburzenia, panowie wreszcie zamilkli. Maggie znalazła wygodną pozycję i wyłączyła się.

– Ostrzegali nas – powtórzył senator Foster.

– Wkrótce dowiemy się, czy była to akcja zorganizowanej grupy, czy jakiegoś szaleńca. – Zastępca dyrektora Kunze spojrzał na Maggie i skinął głową, jakby dawał jej sekretny sygnał, by go wsparła. – Nasza agentka specjalna Maggie

O’Dell powie nam dokładnie, kogo mamy szukać, gdy tylko obejrzy nagrania z kamer przemysłowych.

Zamiast przyznać mu rację czy dodać własne zapewnienia, że to tylko kwestia czasu i tak dalej, Maggie spytała senatora:

– Jak właściwie brzmiały te ostrzeżenia?

– Jeszcze ich nie potwierdziliśmy ani nie ustaliliśmy autentyczności – za Fostera odparł Kunze. – Ale jestem przekonany, że kiedy przyjrzymy się terrorystom, oglądając nagrania z kamer, i wysłuchamy zeznań świadków zdarzenia, będziemy w stanie zawyrokować, czy ostrzeżenia naprowadzą nas na jakiś trop.

Maggie wlepiła wzrok w Kunzego. Czy ten człowiek zawsze mówi tak, jakby stał w blasku jupiterów, otoczony przez kamery i dziennikarzy?

– Jestem tylko ciekawa. – Wzruszyła ramionami, jakby nie miało znaczenia, czy szef podziela jego opinię. – Ostrzeżenia i groźby często ujawniają więcej, niż spodziewaliby się ich autorzy.

Senator Foster popatrzył jej w oczy i kiwnął głową.

– Święta prawda. – Potem, jak gdyby chciał z góry stłumić ewentualne protesty, dodał: – A w tej chwili nie mamy nic poza tymi ostrzeżeniami.

– Przecież mówił pan, że ochrona dysponuje nagraniami wideo – Kunze zwrócił się do Wurtha, po raz kolejny przypominając Maggie polityka, który rozgląda się, na kogo by tu w razie konieczności zrzucić winę.

– Tak, powinni mieć nagrania – odparł Wurth ze spokojem, który do tego stopnia zirytował Kunzego, że na czole aż nabrzmiała mu żyła. – Ale wie pan, jak działa ochrona w centrum handlowym. Bardziej przejmują się tym, czy ktoś czegoś nie kradnie, niż bombami. Będziemy mieć szczęście, jeśli kamery zarejestrowały któregoś z tych terrorystów i uda nam się go zobaczyć. Oczywiście pod warunkiem, że nie zostały zniszczone podczas eksplozji ani nikt przy nich nie majstrował.

Maggie wiedziała, że Wurth otrzymał swoje stanowisko w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego za śledztwo w sprawie malwersacji i niepowodzeń rządu federalnego po huraganie Katrina. Cieszył się opinią człowieka nowatorskiego i skutecznego. W porównaniu z jego odpowiednikiem z FBI oraz senatorem Wurth najmniej przejmował się polityczną poprawnością czy organizacyjnym protokołem.

Co za paradoks, pomyślała Maggie, patrząc na niewysokiego, żylastego czarnoskórego mężczyznę, który wyjmował z aktówki szarą tekturową teczkę. Ale to miłe spotkać kogoś, kto nie próbuje zawczasu tak ustawić swoich działań, by ograniczyć własną odpowiedzialność. Innymi słowy, miło jest dla odmiany spotkać w tym biznesie kogoś, kto nie uważa, że najważniejsze jest chronienie własnego tyłka.

Z wypchanej skórzanej torby Kunze wyciągnął teczkę z dokumentami i podał ją Maggie.

Zerknąwszy na trzech mężczyzn, zaczęła przeglądać zawartość teczki. Każdy z nich patrzył na nią inaczej, co odzwierciedlało ich odmienne interesy – spojrzenia i interesy różniły się tak bardzo, jak różnili się ci trzej dygnitarze.

Maggie zgadywała, że Wurth jest mniej więcej jej rówieśnikiem, miał jakieś trzydzieści pięć lat, był raczej niewysoki, za to atletycznej budowy. Zaraz po wejściu na pokład zdjął sportową marynarkę i podwinął rękawy bladoróżowej koszuli. Na szyi miał zawiązany jasnoczerwony krawat. Maggie z miejsca poczuła do niego sympatię, bo nie zadzierał nosa i nie krył robotniczego pochodzenia. Siedział na brzegu fotela, nerwowo postukując nogą.

W przeciwieństwie do niego senator Foster, wysoki i chudy, rozparł się w fotelu i wyciągnął daleko przed siebie skrzyżowane w kostkach nogi. Łokcie oparł na podłokietnikach i złączył dłonie, tworząc rodzaj wieży, której szczyt sięgał głębokiego dołka w podbródku. Przypominał Maggie pogrążonego w myślach profesora uniwersyteckiego, który mówi powoli, jakby rzeczywiście rozważał każde słowo, nim je wypowie.

Zastępca dyrektora Kunze stanowił przeciwieństwo i Wurtha, i Fostera. Z kwadratową głową na szerokich ramionach wyglądał raczej jak dobrze ubrany wykidajło w nocnym klubie. Jego spojrzenie można by mylnie wziąć za puste, podczas gdy tak naprawdę analizował i przetwarzał każdy ruch swojego oponenta. Wykorzystywał wizerunek

faceta, który ma same mięśnie i za grosz rozumu, na swoją korzyść, krążyły nawet pogłoski, że ilekroć ma taką okazję, sam go wyolbrzymia.

Przełożeni zastępcy dyrektora Kunzego mawiali o nim, że jest prostolinijny i szybko myśli. Maggie uważała, że jest reaktywny i impulsywny. Koledzy opisywali go jako konsekwentnego, skoncentrowanego na celu i pełnego pasji. Maggie postrzegała go jako nieprzewidywalnego, niecierpliwego i mściwego. Mówiąc bez ogródek – jako małostkowego i prymitywnego brutala, który nie zasługuje na to, by pozostawać w cieniu Kyle'a Cunninghama, nie wspominając już o zajęciu jego stanowiska.

Zanim Kunze został mianowany tymczasowym zastępcą dyrektora Wydziału Badań Behawioralnych FBI, Maggie nigdy z nim nie pracowała. Mimo to on miał już wyrobioną opinię na jej temat, niezachwiane przekonanie, z góry przyjęte błędne wyobrażenie. Najwyraźniej osoba, która czasami nagina zasady, a taką reputacją cieszyła się Maggie, bardzo mu nie odpowiadała. Jego oskarżenie, że agentka O'Dell i agent Tully przez jakieś zaniedbanie przyczynili się do śmierci zastępcy dyrektora Cunninghama, było absurdalne. Nie rozumiała, dlaczego Kunze tak uparcie przy nim trwa. Wydawałoby się to niemal śmieszne, gdyby Maggie nie wiedziała, iż Kunze może to wykorzystać przeciwko niej.

W teczce z dokumentami znalazła kiepskiej jakości kopie notatek na temat kilku rozmów telefonicznych oraz e-maili, które miały zawierać ostrzeżenia. Organizacja nazywała się

Duma Ameryki, w skrócie DA. Maggie znała to i podobne mu ugrupowania. Większość z nich zdobywała popularność i pozyskiwała członków dzięki internetowi, a także na kampusach w college'ach. Ich cele nie różniły się znacząco od tych, które przyświecały zwolennikom supremacji białej rasy z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Kryli to oczywiście pod zasłoną normalności i pewnym poziomem legalizmu.

Zamiast ograniczać swoje działania do zamkniętych enklaw, ugrupowania te – zawsze przedstawiające się jako piewcy amerykańskiej dumy i ideałów – organizowały rodzinne pikniki, czasami sponsorowane przez związki wyznaniowe, chociaż nigdy nie były to związki reprezentujące wiarę chrześcijańską. Zwoływali też wiece w kampusach. Z tego, co Maggie pamiętała, większość z tych grup głosiła wartości rodzinne, postulowała, by amerykańskie firmy nie korzystały z pracy robotników w innych krajach, wnioskowała o powstrzymanie fali nielegalnych imigrantów i zachęcała do zakupu towarów rodzimej produkcji. Przypomniała też sobie, że niedawno, na początku sezonu zakupów świątecznych, widziała całą stronę w USA Today sponsorowaną przez Dumę Ameryki. Wzywano tam do bojkotu gier elektronicznych, tłumacząc to tym, że uzależniają one i ogłupiają młodych Amerykanów.

Pikniki, bojkoty, wiece, kampanie reklamowe – wszystkie te akcje nie wskazywały na to, żeby ci sami ludzie byli zdolni do podłożenia bomby w zatłoczonym centrum handlowym.

Maggie już chciała zapytać, na jakiej podstawie akurat te groźby traktują poważnie, kiedy przerwała im stewardesa.

– Co mogę państwu podać?

Kunze zażyczył sobie czarną kawę, pozostali panowie skinęli głowami w stronę Maggie, by zamówiła jako następna. Na Kunzem nie zrobiło to wrażenia, nie był zły i nie było mu wcale głupio, że tak wyskoczył przed szereg.

– Dietetyczną pepsi poproszę – rzekła Maggie.

Wurth zamówił to samo. Senator Foster poprosił o gin martini, który wymaga specjalnego przygotowania, dał zatem stewardesie szczegółowe instrukcje.

– Macie coś do jedzenia? – Maggie zatrzymała młodą kobietę, która już chciała odejść. – Nic dzisiaj nie jadłam. – Nostalgicznie pomyślała o wszystkich tych wspaniałościach, które przygotowała i zostawiła dla przyjaciół.

– Na pewno coś znajdę.

– Tak, to dobry pomysł, ja też coś bym przetrącił – dodał Wurth.

Maggie zobaczyła, że Kunze obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem. Powściągnęła uśmiech i wróciła do teczki z dokumentami. Być może znalazła sojusznika.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mall of America

BECCA, NIE UFAJ NIKOMU – DIXON

Taki tekst wyświetlił się na ekranie iPhone’a, który Rebecca pożyczyła od Dixona. Zauważyła go, kiedy zaczęła rwać na kawałki podszewkę swojego płaszcza i telefon wypadł z kieszeni. Zapomniała już, że ma go przy sobie. Nawet gdy wcześniej słyszała temat przewodni z „Batmana”, nie skojarzyła go z telefonem.

Bez ostrzeżenia Dixona Rebecca i tak by uciekła. Było coś odrażającego, coś kompletnie nie w porządku w tym mężczyźnie w czapce z napisem „Ratownik”. Z doświadczenia wiedziała, że w przypadku rannego zwierzęcia podanie zastrzyku jest dobre i dla zwierzęcia, i dla człowieka, który mu pomaga, ale w przypadku ludzi jest chyba inaczej. A poza tym co z tymi wszystkimi poszkodowanymi w znacznie gorszym stanie, którzy leżeli blisko niej?

Instynkt jej nie mylił. Mężczyzna zaczął ją gonić, w pewnej chwili prawie złapał za zranioną rękę. Nie przestawał jej ścigać, chociaż teraz, gdy dotarła do grupy osób zmierzających na ruchome schody, trzymał się w pewnej odległości. Rebecca wcisnęła się między parę staruszków i kilka kobiet z płaczącymi dziećmi na rękach.

Za nimi znajdowały się dwie stare kobiety, które się obejmowały i podtrzymywały, tarasując innym przejście.

Rebecca obejrzała się przez ramię. Mężczyzna był u szczytu schodów, jakieś dziesięć czy dwanaście stopni dalej. Unikała kontaktu wzrokowego, ale czuła na sobie jego spojrzenie.

Odnosiła wrażenie, że poruszają się jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Nie miała szansy przepchnąć się dalej i wykorzystać tego, że chwilowo dzieli ich tłum. Nikt nie miał odwagi zbiec schodami. Na trzecim piętrze zostali już tylko ci, którzy poruszali się powoli, jedni zwolnili pod wpływem szoku albo ran, inni byli starzy lub fizycznie upośledzeni. Pierwsza fala spanikowanych klientów dotarła na sam dół i teraz tłoczyła się przy wyjściach.

Rebecca sięgnęła po telefon i kciukiem napisała wiadomość:

W CO MNIE WPAKOWAŁEŚ?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

DZIĘKI BOGU JESTEŚ OK. CO Z CHADEM I TYLEREM?

Zbliżali się do podestu. Jej kciuk płynnie prześlizgiwał się po miniaturowych klawiszach.

KTOŚ MNIE ŚCIGA.

KTO TO JEST, DIXON??????

Znajdowali się teraz na drugim piętrze. Rebecca starała się pozostać w grupie, która gwarantowała jej bezpieczeństwo, ale niestety ludzie się rozeszli. Zerknęła znów przez ramię. Mężczyzna utknął na ruchomych

schodach jeszcze na kilka sekund, wyglądał na zirytowanego i zniecierpliwionego, gotowego odepchnąć z drogi starą kobietę, która przed nim stała.

Rebecca pobiegła za róg, potykając się o przewrócony kiosk z okularami przeciwsłonecznymi. Pośliznęła się, lecz nie straciła równowagi. W ramieniu czuła pulsujący ból. Znów zakręciło jej się w głowie, poczuła silne mdłości. W witrynie widziała już mężczyznę, który też skręcił za róg. Szedł szybkim krokiem. Nie biegł. Jeszcze nie biegł.

Spojrzała w lewo i w prawo, starając się objąć wzrokiem wszystkich i wszystko, co ją otaczało. Posuwając się naprzód, śledziła mężczyznę w mijanych szybach wystawowych, gdzie widziała jego odbicie. Starała się nie oglądać za siebie, żeby nie tracić czasu. Wszystkie sklepy były zamknięte, wejścia blokowały metalowe kraty, więc w żadnym z nich nie mogła się ukryć.

Szła przed siebie równym krokiem. Ujrzała kolejną grupę osób zbliżających się do kolejnych ruchomych schodów. Pośpieszyła w ich stronę. Już na stopniach udało jej się wcisnąć do środka grupy. Szybko zerknęła przez ramię. Mężczyzna znów pojawił się u szczytu schodów, dzieliły ich najwyżej trzy metry.

Lewą ręką kurczowo chwyciła się poręczy i natychmiast cofnęła dłoń.

Krew. Mnóstwo krwi.

Ręka była mokra i lepka. Kiedy zdała sobie sprawę, że to jej krew, powróciły żołądkowe sensacje. Rana na ramieniu krwawiła o wiele bardziej, niż jej się wydawało.

W prawej ręce wciąż trzymała telefon komórkowy, więc zaczęła pisać kolejną wiadomość:

GDZIE JESTEŚ? KTÓRY SZPITAL?

– Becca.

Usłyszawszy swoje imię, obejrzała się gwałtownie.

Czy to możliwe, żeby ten człowiek ją znał?

Zobaczyła, że uniósł głowę, i podążyła za jego spojrzeniem. Przechylony przez balustradę drugiego piętra machał do niej Patrick.

Patrick. Rozważny, odpowiedzialny Patrick.

Wysoki i szczupły, wyglądał dobrze... ale był jakiś zmartwiony. Na policzku miał czarną smugę. Wymachiwał zakrwawionym kawałkiem materiału.

Posłała mu uśmiech.

Boże, jak dobrze go widzieć.

Poczuła spokój, jakby coś puściło. Wszystko będzie dobrze. Wyjdzie z tego. Nie jest sama. Już prawie dotarli na dół. Będzie się trzymała grupy i zaczeka, aż Patrick ją dogoni. Kolejny raz zerkając za siebie, ujrzała go u szczytu ruchomych schodów. Mężczyzna w czapce z napisem „Ratownik” też go dojrzał. Trzymał coś w ręce, coś, co błysnęło, nim schował to do kieszeni.

Nóż? Broń? Strzykawkę?

Na ekranie komórki pokazała się odpowiedź Dixona:

ST MARY. PRZYJEDŹ TU

NIE UFAJ NIKOMU

NAWET PATRICKOWI

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na pokładzie samolotu

Maggie odłożyła na bok teczkę z dokumentami. Bardziej zainteresowała ją rozmowa przez telefon zastępcy dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Wurth robił szczegółowe notatki, tak to przynajmniej wyglądało, kiwał głową i kilka razy wtrącił, że zrozumiał. Pozostali tylko na niego patrzyli i słuchali, co mówi. Nie mieli pojęcia, o co chodzi.

Zastępca dyrektora FBI Kunze nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia.

Muskularną ręką machnął na Wurtha, równocześnie wzruszając ramionami. W ten sposób pytał: „Co się, do diabła, dzieje?”. Wurth go zignorował. Wciąż coś notował w małym oprawnym w skórę notesie, podkreślał niektóre wyrazy, dostawiał kropki nad i. Maggie uznała to za nerwowy zwyczaj człowieka, którego rozpiera energia, a także za metodę kontrolowania informacji oraz ignorowania towarzyszy podróży. Być może zastępca dyrektora miał jednak kilka politycznych tricków w zanadrzu.

– Trzy bomby – oznajmił Wurth, naciskając przycisk kończący rozmowę. – Dziś rano ochrona w centrum handlowym zauważyła co najmniej trzech mężczyzn

z identycznymi czerwonymi plecakami. Zaczęli ich śledzić dosłownie na parę minut przed wybuchem.

– Arabowie? – rzucił Foster, nie tłumacząc się z tego niczym nieuzasadnionego pytania.

– Kamery przemysłowe w centrum handlowym są dosyć kiepskie – rzekł Wurth. – Na tym etapie nikt tego nie potwierdzi. Niczego też na razie nie wykluczą, rzecz oczywista. W tej chwili ich głównym celem jest upewnienie się, czy w centrum nie ma więcej bomb. Niektórych z tych popaprańców podnieca czekanie na pierwszych przedstawicieli sił szybkiego reagowania, żeby ich zlikwidować.

Maggie zbyt dobrze to wiedziała. Tak właśnie stało się dwa miesiące temu, kiedy ona i asystent dyrektora Cunningham zareagowali na coś, co uznali za groźbę podłożenia bomby. Na spokojnym przedmieściu, w jednym z wielu podobnych do siebie domów. Kobieta i jej córka, które tam mieszkały, nie były prawdziwym celem, atak na nie miał jedynie ten cel ukryć, zakamuflować. Nie chciała teraz o tym myśleć. Nie miała ochoty po raz setny przeżywać tego w pamięci.

Zerknęła na Kunzego, który sięgnął do zbyt ciasnego kołnierzyka i poluzował krawat, wsadzając do ust ostatni kawałek bajgla z grubą warstwą serka śmietankowego. Pomiędzy kęsami, wycierając kącik warg, spytał:

– Więc ile jest ofiar?

W tym samym momencie Maggie uprzytomniła sobie, jak bardzo tęskni za Cunninghamem. Za jego energicznym, ale

uprzejmym sposobem bycia, za zatroskaną twarzą ze ściągniętymi brwiami, za niewymuszonym autorytetem, nieodłącznie z nim związanym. Brakowało jej nawet jego zrzędzenia. Kyle Cunningham przez ponad dziesięć lat był jej mentorem. Tak wiele się od niego nauczyła, nie tylko tego, jak rozwiązywać sprawy, ale też jak współdziałać z kolegami, kiedy milczeć, czego szukać, a nawet jak się ubierać. W pewien sposób Cunningham zastępował jej ojca. Straciwszy go, czuła się jakby powtórnie osierocona. Nie potrzebowała swojego dyplomu z psychologii, by rozumieć, że właśnie dlatego w nocy znów dręczą ją koszmary. Śniło jej się bez końca, że uczestniczy w pogrzebie ojca, i zawsze była w tym śnie dwunastoletnią dziewczynką. Przypadek tak banalny, że niewart omawiania nawet na wstępnym kursie psychoanalizy.

– Za wcześnie, żeby to określić. – Wurth przywrócił ją do rzeczywistości, wyrwał z kaplicy, gdzie leżała trumna z ciałem jej ojca. Uchylił się przed odpowiedzią na pytanie Kunzego. – Wie pan, jak to jest na wstępnym etapie. Nie możemy liczyć na to, że ochrona centrum poda nam dokładne dane.

– Czemu nie? – spytała Maggie, zaskakując Wurtha wyzywającym tonem. – Przecież uwierzył pan w ich informacje o trzech bombach i trzech osobach z identycznymi czerwonymi plecakami.

Kunze przestał na moment jeść i pochylił się do przodu, zaciekawiony, co na to Wurth.

Zastępca dyrektora spojrzał na Maggie, przeniósł wzrok na Kunzego i wreszcie na senatora Fostera, który sączył martini, ale uniósł brwi, by okazać, że także oczekuje odpowiedzi.

– W chwili obecnej uważają, że eksplozje ograniczyły się do trzeciego piętra, tyle że dzień po Święcie Dziękczynienia w centrum handlowym były prawdziwe tłumy. Szacują, że od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy ludzi. Sądząc z siły wybuchu każdego z plecaków... – Wurth wzruszył ramionami, wiedział tyle, co oni. – Nikt dotąd nie policzył ciał, jeśli to właśnie chcecie ode mnie usłyszeć, ale powiem wam, że wstępne raporty pokazują, że jest źle, bardzo źle.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Mall of America

Asante stracił okazję. Nie znosił sytuacji, w których czuł się bezradny.

Patrzył na tę młodą kobietę, która znalazła się poza jego zasięgiem. Wcisnęła się głębiej w tłum ludzi, którzy zwartą grupą parli do najbliższego wyjścia z centrum. Asante nie rozpoznał młodego mężczyzny, który do niej machał. W każdym razie to nie był Dixon Lee. Tutaj, na dole, umundurowani policjanci z bronią krzyczeli na ludzi, żeby podnieśli ręce. Mieli na sobie kuloodporne kamizelki i niebieskie dżinsy, odznaki były dobrze widoczne, przypięte do ramion albo ud. Przy bocznym wejściu usiłowali zrobić przejście dla strażaków i ratowników.

Prawdziwych ratowników.

Asante powściągnął chęć zdjęcia z głowy czapki i schowania jej do worka. Zostawił ją i jak papuga powtarzał za policjantami, żeby zrobić mu przejście. Tyle że Asante kierował się w przeciwną stronę. Po raz drugi w ciągu godziny śpieszył do tylnego wyjścia dla pracowników. Maszerował żwawo, ale nie biegł, jednych odpychał po drodze, przez większe grupy się przeciskał. Wyjście służbowe nie było oznakowane, więc w pobliżu nikt się nie tłoczył. Wyśliznął się przez ciężkie drzwi. Alarm,

który wcześniej wyłączył, milczał, chociaż w całym tym chórze alarmów, gwizdków i syren nie miało to większego znaczenia.

Błyskawicznie skręcił za pojemniki na śmieci i ukrywał się tam, póki dobrze się nie rozejrzał. Potem wciąż w czapce, żeby dodać sobie animuszu, ruszył przez parking. Panował taki chaos, że nie spodziewał się, by ktoś zwrócił na niego uwagę. Śnieg zaczął mocniej padać. Wiatr się wzmógł. Pogoda okazała się nieoczekiwanym sprzymierzeńcem.

Zanim dotarł do samochodu, włączył bezprzewodową słuchawkę i wystukał kilka cyfr na miniaturowym komputerze przymocowanym do nadgarstka.

Po paru sekundach odezwał się głos, tym razem kobiecy, spokojny i pełen gotowości:

– Tak?

Asante posłużył się panelem dotykowym komputera.

– Przesyłam dwa zdjęcia. – Ściągnąwszy rękawiczkę, przesuwał palcem po ekranie. Na ruchomych schodach zrobił telefonem parę zdjęć. – Ta kobieta mogła być wcześniej z Kurierem Numer Trzy – ciągnął. – Pewnie dlatego to od niej pochodzi sygnał. – Postukał w klawisze i znów dotknął ekranu, żeby wysłać zdjęcia, jego palce działały sprawnie, bez wahania. – Chcę, żebyście mi powiedzieli, kim są ci ludzie. Znajdźcie wszystko, co możliwe na ich temat. Zacznijcie od kobiety. Chcę znać wszystkie podstawowe informacje: karty kredytowe, prawo jazdy, paszport, hipoteka, przyjmowane leki, rodzice, rodzeństwo...

– Nie ma sprawy.

– Dam wam znać, kiedy i które zdjęcia wypuścić, jak planowaliśmy.

– Zrobione. Coś jeszcze?

– Muszę złapać samolot. Danko niech śledzi sygnał GPS Kuriera Numer Trzy. – Otworzył stronę, która pokazywała zielone mrugające światełko. Okazało się, że sygnał w dalszym ciągu nadawany był z wnętrza centrum handlowego. Asante wsiadł do samochodu i bacznie się rozglądał, patrząc na drugą stronę ulicy. Zastanawiał się, czy może jednak nie wykończyć tej kobiety tutaj.

– Sir, chyba mogę zrobić coś więcej.

– Słucham?

– Mam ostatnie wiadomości tekstowe pochodzące od nadawcy tego sygnału. Właśnie mam je przed sobą. Powiem Danko, dokąd udaje się obiekt naszego zainteresowania.

Oczywiście. Jak mógł zapomnieć. Uśmiechnął się. Jednak sprawa nie była taka beznadziejna.

– Dokąd?

– Do szpitala St. Mary. Podczas naszej rozmowy szukał w google’u wskazówek, jak tam dotrzeć. Prawdę mówiąc... – kobieta urwała na moment – mam dostęp do wszystkich SMS-ów wysyłanych i otrzymywanych przez nadawcę tego sygnału.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Mall of America
Bloomington, Minnesota

Nick Morrelli szedł za prowadzącym go ochroniarzem do głównego wejścia centrum handlowego. Strzepał śnieg z płaszcza i przeczesał włosy ręką w rękawiczce.

Zimowe buty. Powinien był włożyć zimowe buty.

Pakując się w pośpiechu, nie pomyślał o nich. W Omaha nie padał śnieg.

Towarzyszący mu mężczyzna, który na lotnisku przedstawił się jako Jerry Yarden, twierdził stanowczo, że śnieżyca odpuszcza. Brzmiało to tak, jakby kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu na ziemi zupełnie nie przeszkadzała w chodzeniu. No, ale w końcu byli w Minnesocie.

– Za jakąś godzinę przestanie padać – powiedział Yarden.

Nick z trudem dotrzymywał mu kroku. Choć przewyższał go prawie o głowę, to Yarden raźniej maszerował przez parking centrum handlowego. Ale miał wysokie buty.

W końcu Nick zwolnił i pozwolił, by Yarden szedł przodem aż do kolejnej policyjnej blokady. Ta była już trzecia. Podczas gdy Yarden się legitymował, Nick podszedł do niego ostrożnie. W skórzanych mokasynach miał pełno śniegu. Bał się, że się poślizgnie i zrobi z siebie głupka.

Czekał na swoją kolej, a potem bez słowa pokazał policjantowi przy wejściu do budynku odznakę i dokument z firmy ochroniarskiej potwierdzający jego tożsamość. Policjant miał odznakę przypiętą do spodni na udzie. Na ramieniu z kolei nosił walkie-talkie. Był ubrany w czarną wełnianą czapkę i kuloodporną kamizelkę, z przodu na jednym i na drugim widniały białe litery układające się w słowo „Policja”. W jednej ręce trzymał broń, drugą wziął od Nicka dokumenty i podniósł je na wysokość oczu, żeby nie pochylać głowy i nie stracić z widoku nic, co dzieje się wokół niego.

Spojrzał na Nicka surowo, nie tylko porównując zdjęcie z osobą, ale jakby chciał się przekonać, czy zdołałby tego faceta złamać, znaleźć w nim jakąś słabość, od- kryć oszustwo, nim puści go dalej. Nick chciał mu po- wiedzieć, że docenia jego skrupulatność, ale tym samym dałby do zrozumienia, że spodziewał się dość pobieżnej kontroli. A zatem zachował milczenie i przyjął z powrotem dokumenty wyłącznie ze skinieniem głowy. Gdy tylko policjant ich przepuścił, natychmiast przestał się nimi interesować, skupiony na kolejnym ewentualnym zagrożeniu.

Chociaż wszystkie bomby, jak przypuszczano, wybuchły na trzecim piętrze, nawet na parterze nie brakowało śladów eksplozji. Z ogromnego świątecznego wieńca smętnie zwisały rozmaite śmieci. Na choince stojącej w centralnej części atrium prócz ozdób wisiały jakieś strzępy i połyskiwały odłamki.

Tutaj, na dole, spryskiwacze nie zostały uruchomione, a mimo to panowała przejmująca wilgoć. Było tak zim- no, że Nick uniósł ręce, pragnąc podnieść kołnierz, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Z boku, rozstawione wzdłuż witryny Macy’s, dwie drużyny ratowników wyszczekiwały pytania i rozkazy, wydając koce i zajmując się rannymi. Nick starał się objąć spojrzeniem wszystkie piętra atrium. Ubrani na czarno snajperzy w kuloodpornych kamizelkach i hełmach zostali rozmieszczeni u szczytu ruchomych schodów z bronią gotową do strzału. Wszechogarniający zapach dymu i siar- ki przenikał powietrze. Krzyki cichły, wybrzmiewały.

– Nie musimy jechać na górę – odezwał się Yarden, jakby robił Nickowi przysługę.

Nick spojrzał na niego. Yarden zdjął wełnianą czapkę, odsłaniając duże uszy i rude sterczące włosy. Na dodatek miał rumiane policzki. Wyglądał jak elf, przez co cała ta sytuacja wydawała się jeszcze bardziej nie z tej ziemi.

– Biuro ochrony jest na dole, w tamtym kierunku. – Yarden wskazał ręką. – Policja otoczyła je kordonem. Pan Banoff przekonał ich, żeby do pańskiego przyjazdu niczego nie ruszali.

– Nikt jeszcze nie oglądał nagrań?

Yarden potrząsnął głową.

– Mieli ważniejsze rzeczy do roboty. – Nagle się zatrzymał, odwrócił się do Nicka i rozejrzał, czy nikt na nich nie patrzy. – Pan Banoff przekonał ochroniarzy, że to dla ich dobra, jak my przeszukamy taśmy. To zaoszczędzi

wszystkim czasu. My znamy się na tym sprzęcie, możemy precyzyjnie określić pole widzenia kamery i tym podobne. – Długim chudym palcem wskazującym przywołał Nicka bliżej. – Rozumie pan, co pan Banoff miał na myśli, mówiąc „przeszukamy”, prawda?

Po raz pierwszy od wejścia do centrum handlowego Nick poczuł lekki ucisk w żołądku. Nie chciał nawet myśleć, że jego nowy pracodawca w takiej chwili martwi się wyłącznie o własne interesy. Nie odpowiedział Yardenowi. Kiwnął tylko głową.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– Trzymaj ją, żeby się nie ruszała. Dasz radę?

– Tak – odparł Patrick potężnej czarnoskórej kobiecie w za ciasnym niebieskim uniformie.

Nie mógł oderwać wzroku od jej dłoni w fioletowych lateksowych rękawiczkach, które szybko i nadzwyczaj sprawnie zajmowały się raną na ramieniu Rebecki.

Rana wyglądała na głęboką. Bardzo głęboką.

Tak, sądził, że bez kłopotu przytrzyma Rebeccę. Zresztą była nawet zbyt spokojna. Wolałby, żeby coś powiedziała, cokolwiek. Żeby otworzyła oczy, a nie tylko, jak dotąd, zamrugała.

– Potrzebujemy trochę osocza! – huknęła kobieta przez ramię, aż Patrick prawie podskoczył. Zauważyła to, ale udała, że nic nie widziała. Docenił jej drobny gest. Ona tymczasem nadal wydawała mu polecenia: – Musisz ją trzymać pod kocem, żeby było jej ciepło.

Natychmiast podciągnął koc wyżej i dokładnie opatulił Rebeccę.

– Dobrze ci idzie – pochwaliła go kobieta. – Naprawdę dobrze.

Miał świadomość, że daje mu rozmaite zajęcia, żeby też nie doznał szoku. Chciał jej powiedzieć, że był ochotnikiem w straży pożarnej, w domu, w Connecticut, i zdobył doświadczenie w takich sprawach, ale gdy tylko o tym

pomyślał, natychmiast zrezygnował. Uprzytomnił sobie, że tak naprawdę nigdy czegoś podobnego nie przeżył. Nigdy nie miał do czynienia z wybuchającymi bombami ani z nieprzytomnymi rannymi przyjaciółmi. Fakt, że to właśnie Rebecca leżała tu bez przytomności, wszystko zmieniał.

Ledwie ją dogonił, przeciskając się i przepychając przez chmarę ludzi prących naprzód do wyjścia z centrum handlowego. Rebecca jak szalona stukała w klawisze iPhone'a, potrącana ze wszystkich stron. Właśnie zaczęła coś do niego mówić, co zresztą zagłuszył wszechobecny zgiełk, a po chwili osunęła się na ziemię jak pływak, który z nagła zostaje wciągnięty pod wodę.

Musiał ją podnieść. Była osłabiona i gorączkowała, jej oczy uciekały. Chwyciła go za rękę, jej dłoń była zakrwawiona. Zauważył ranę na ramieniu. Szkło wbite w ciało, zbyt głęboko, by sam mógł je wyjąć. Gdyby to zrobił, krwawienie jeszcze by się nasiliło. Jakimś cudem zdołał wyciągnąć ją z tłumu i posadzić, nim całkiem straciła przytomność.

– Macie to osocze? – zawołała znowu kobieta.

Patrick i tym razem się przestraszył, ale przynajmniej nie podskoczył.

Przyglądał się, jak kończyła ostatni szew.

– Będzie z nią dobrze? – Wiedział, że to głupie pytanie, lecz musiał je zadać.

– Oczywiście, że tak – odparła kobieta, nie podnosząc na niego wzroku, skupiona na rytmie swoich palców. Prawą

ręką szyła, lewą zaś tamowała krwawienie. – Twoja dziewczyna z tego wyjdzie.

Patrick otworzył usta, żeby ją poprawić, ale ostatecznie zrezygnował z tego. Rebecca nie była jego dziewczyną. Gdyby mogła, pierwsza by zaprotestowała. Nie dlatego, że się nie lubili, chodziło raczej o niezależność. Tak przynajmniej ona to nazywała. Łączyła ich niezależność, życie solo, liczenie przede wszystkim na siebie, choć nie w całkowitej izolacji, nie na bezludnej wyspie, których pełno wśród ludzkiego mrowia. Patrick ją rozumiał. Tak, doskonale to pojmował. A może nawet szanował, ponieważ jej myślenie było bliskie jego życiowej filozofii, jego poglądom.

To właśnie owa niezależność połączyła ich przede wszystkim. Chociaż Patrick nie określał tego mianem niezależności, a raczej brakiem zaufania. Kiedy człowiek dorasta, nie mając w pobliżu nikogo, na kogo można liczyć, szybko uczy się liczyć na siebie. Jego matka robiła, co mogła, ale ponieważ wychowywała go sama, mnóstwo czasu spędzała w pracy. Patrick jej nie obwiniał. Było, jak było. Poza tym wyszło mu to na dobre. Może dojrzał trochę szybciej niż jego rówieśnicy. Ale w tym nie ma nic złego.

Zresztą nigdy nie czuł się dobrze w grupie rówieśników. Uważał ich za zbyt dziecinnych. Na przykład ten Dixon Lee, wyznawca nierealnych ideałów. Patrick nie miał na to czasu, nie mógł sobie pozwolić na taki luksus, żeby przejmować się imigrantami i protestować w ich sprawie. Całą energię pochłaniała mu praca i to, żeby ją utrzymać,

by opłacić mieszkanie i czesne. Nie miał czasu dla takich gości jak Dixon Lee. Nie dopuszczał ich do siebie. Nie ufał im. Swoją drogą, nikomu nie ufał. To była część jego credo. Ufać można wyłącznie sobie. Ale potem pojawiła się Rebecca i trochę mu poprzestawiała te jego cegiełki.

Była inteligentna i mądra. Zaskakiwała ironicznym poczuciem humoru. Jej mądrość nie oznaczała jedynie książkowej wiedzy. Potrafiła dyskutować, przekonywać, dowodzić, ubarwiając to nieco sarkastycznymi, ale nikogo nie obrażającymi żartami, które uważał za urocze. A co ważniejsze, potrafiła słuchać. Wyrzucał z siebie to i owo – takie tam nie najważniejsze sprawy, żeby nie odkryć swoich prawdziwych sekretów, i spodziewał się, że ona to odrzuci. Tymczasem Rebecca to wszystko pochłaniała. Nie tylko pochłaniała, ona to układała i przesuwała, i próbowała poskładać te wszystkie kawałki w spójną całość. Patrick nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ona.

Aha, przy okazji, czy wspomniał już, że miło było na nią patrzeć? Niewysoka, ale dobrze zbudowana, miała dość kobiecych krągłości, by zrównoważyły sposób bycia chłopczycy. Poza tym duże brązowe oczy, kremowa karnacja. Chociaż w tej chwili wyglądała zbyt blado, a włosy do ramion miała mokre od potu. Równo obcięta grzywka przykleiła się do czoła. Pełne wargi były teraz zaciśnięte z bólu, tworząc cienką linię.

Zamrugała, a on sięgnął pod koc po jej rękę. Spodobało mu się, kiedy ta kobieta nazwała go jej chłopakiem, chociaż nie przyznałby tego głośno. Kiedy się kogoś dopuści za

blisko, zwykle chce wszystko o tobie wiedzieć, pragnie poznać twoje tajemnice. Na coś takiego Patrick nie był gotowy.

Wreszcie dostarczono osocze i kobieta w niebieskim uniformie przygotowała kroplówkę i sprawdziła żyły na drugiej ręce Rebecki, gdzie chciała się wkłuć. Nie poprosiła Patricka, by puścił rękę chorej, gdy układała ją do zabiegu.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła.

Patrick skinął głową, nim zdał sobie sprawę, że kobieta mówiła do Rebecki, która spojrzała na niego, patrzyła tak przez chwilę. Ścisnęła jego dłoń, a on uśmiechnął się do niej. Czy mówił jej już, że ma najładniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział? Oczywiście, że jej nie mówił.

Tak bardzo pragnął powiedzieć, że może na niego liczyć. W tej chwili. Tak długo, jak długo będzie chciała czy potrzebowała. Że może na pewien czas zapomnieć o swojej niezależności i oprzeć się na nim. I że to nic nie znaczy. Milczał jednak, nic nie powiedział, przekonany, że będzie tego żałował.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W połowie drogi na lotnisko Asante stracił sygnał GPS. To się czasami zdarza w pobliżu wież kontrolnych i radarów wylatujących i przylatujących samolotów. Zresztą to bez znaczenia. Teraz Danko musi zająć się sprawą, a on przejdzie do kolejnego etapu. Nic nie może mu w tym przeszkodzić.

Śnieg padał coraz słabiej. Na ulice wyjechały piaskarki i spycharki. To z ich powodu Asante zwolnił. Gdy tylko doda gazu, będzie musiał gwałtownie naciskać hamulce i wymijać nerwowych kierowców. Pierwszy tej zimy śnieg i od razu wszyscy zapomnieli, jak się jeździ. Początkowo sądził, że pogoda jest jego sprzymierzeńcem, teraz jednak budziła tylko irytację.

Spojrzał w boczne lusterko. Podniecenie zamieniło się w zdenerwowanie. Powiedział sobie, patrząc w swoje niebieskie, pełne złości oczy, że musi zachować spokój. Potem kilka razy odetchnął głęboko, zatrzymując na chwilę powietrze w płucach, nim je powoli wypuścił.

Powiedział sobie, że żaden projekt nie jest pozbawiony wad, a inteligentny Kierownik Projektu, taki jak on, powinien umieć właściwie reagować i skorygować plan. Jednocześnie na zewnątrz powinien sprawiać wrażenie, że robi to bez wysiłku, udawać absolutny luz, żeby jego ludzie nie stracili pewności siebie ani zaufania do niego.

Choć starannie wyselekcjonowani, wszyscy tak naprawdę z natury byli niesamodzielni, niezależnie od ich indywidualnych talentów, czy to smykałki do techniki, czy siły fizycznej. Asante wierzył, że posiada zdolność odkrywania ukrytych predyspozycji w ludziach przez innych postrzeganych jako bardzo przeciętni. Ale potrafił też dostrzec ich słabości. Każdy ma jakąś słabość, bez względu na to, jak bardzo stara się ją skryć przed światem. Asante umiał ją wychwycić, a w razie potrzeby wykorzystać do swych celów.

Od najbliższych współpracowników wymagał perfekcji. Nie oczekiwał niczego więcej. Każdy członek jego grupy wiedział to o swoim szefie. Fakt, że kogoś wybrał, oznaczał jednocześnie wyróżnienie i ciężar. Nie akceptował błędów. Słabe ogniwo mogło zostać szybko usunięte, raz na zawsze. To dlatego został wielkim Kierownikiem Projektu.

Położył miniaturowy komputer na desce rozdzielczej, żeby lepiej widzieć ekran. Zanim nacisnął którykolwiek z klawiszy, zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Nie rozpoznał numeru, ale sam często instruował swoich ludzi, żeby dla bezpieczeństwa używali telefonów na kartę.

– Asante – rzekł do bezprzewodowej słuchawki.

– Próbowałeś wykorzystać mojego wnuka – odezwał się pełen złości głos.

Asante natychmiast wiedział, z kim ma do czynienia. Już go ostrzeżono, że ten człowiek może stwarzać problemy.

– Skąd ma pan mój numer?

– Co ty wyprawiasz, do diabła?

– W chwili, gdy plan został rozpoczęty, tylko ja wszystko kontroluję. Takie są zasady.

– Chciałeś go zabić, prawda, ty draniu?

– Pan nie powinien się ze mną kontaktować. – Asante mówił spokojnie. Zachował spokój nawet wtedy, gdy się rozłączył.

Jedną ręką ściskał kierownicę, drugą nacisnął kilka klawiszy telefonu, żeby zablokować ten numer.

Ponownie spojrzał w lusterko i z rozczarowaniem stwierdził, że niepokój w jego oczach znowu zamienił się w złość. Spokój. Tylko spokój może go uratować. Zgiął i rozprostował palce, obrócił głowę w prawo i w lewo, napinając mięśnie szyi.

Niezależnie od wściekłości i oskarżeń tamtego faceta, Asante nie popełnił błędu w kwestii jego wnuka. Pozwolił sobie na uśmiech. Żywy czy martwy, Dixon Lee stanowił dobrze zaplanowaną polisę ubezpieczeniową. Raz jeszcze zerknął w lusterko. Po rozpoczęciu projektu nikt nie ma prawa przeszkadzać Kierownikowi Projektu. Nikt, nawet te dupki, które zamówiły projekt.

Skręcił na długoterminowy parking na lotnisku i zaparkował na samym końcu, blisko miejsca, skąd wcześniej ukradł samochód. Zebrał swoje rzeczy i wrzucił je do worka marynarskiego. Potem dokładnie wytarł wszystkie powierzchnie wewnątrz samochodu, których dotykał. Wysiadł w momencie, kiedy na parking zajechał autobus lotniskowy. Spojrzał na swój zegarek dla nurków. Miał mnóstwo czasu.

Po raz kolejny odetchnął głęboko. Nie znosił drobnych zakłóceń. Dawniej potrafił je przewidzieć i ustrzec się przed nimi. Może pora przejść na emeryturę, kupić sobie jakąś wyspę. Miał więcej niż dość pieniędzy bezpiecznie ulokowanych w Zurychu, i to zanim zabrał się do tego projektu. Zasłużył na odpoczynek. Miły długi odpoczynek, znacząco dłuższy niż wypady, podczas których ledwie zdążył wypalić pudełko hawajskich cygar i wypić dwie butelki chivasa.

Zamiast skoncentrować się na zakłóceniach, zamiast myśleć o Kurierze Numer Trzy, przypomniał sobie swoje poprzednie sukcesy. Kiedy odtwarzał je krok po kroku – wstępny plan, poszczególne etapy i wreszcie rozwiązanie, uspokajał się. Gdy wsiadł do autobusu, skinął kierowcy głową z przelotnym uśmiechem i w wyobraźni zaczął odgrywać sceny z Madrytu, z 11 marca 2005 roku... plecaki, dworzec kolejowy w godzinie szczytu, jasne błyski światła, a przede wszystkim... sukces.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Szpital Saint Mary

Henry Lee nerwowo krążył po korytarzu. Wyprostował palce zaciśniętych w pięści dłoni tylko po to, by przeciągnąć nimi po obciętych na jeża włosach i zetrzeć niedowierzanie z oczu. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat był jeszcze dość próżny i dumny ze swojej formy fizycznej. Był silny i zdrowy i w przeciwieństwie do ojca oraz dziadka zrobił wszystko, co tylko mógł, by dziedziczna choroba serca nie skróciła mu jego złotych lat. Dla siebie zrobił wszystko, lecz nie zadbał o to, by jego żona, jego ukochana Hannah, także jak najdłużej trwała w dobrym zdrowiu. Nie mieściło mu się w głowie, że to właśnie ona wylądowała w szpitalu na kardiochirurgii i przechodzi ratujący życie zabieg wszczepienia potrójnych bajpasów, od których jemu udało się wymigać.

Nie mógł uciec od myśli, że to surowa boska kara, chociaż już lata temu, jak sądził, porzucił głupią i naiwną wiarę w istnienie Boga. Żaden Bóg nie odebrałby ojcu córki w tak okrutny sposób, w jaki jego córka została mu odebrana. Nie mógł wierzyć w Boga, który jest do tego zdolny. Hannah zawsze miała w sobie głęboką wiarę, była uzdrowicielką, pragnęła znaleźć jakiś sens w tym szaleństwie. Była jego liną ubezpieczającą, ostatnią deską

ratunku, jego rozsądkiem, to dzięki niej pozostał przy zdrowych zmysłach. A potem, tego samego dnia, kiedy zachorowała, dowiedział się, że o mały włos nie stracił wnuka. Jeżeli Bóg istnieje, jest rzeczywiście wyjątkowo okrutny i mściwy.

Znowu zaczął szukać chłopca, sprawdził w poczekalni i rozejrzał się po kątach. Wezwany przez niego Dixon przyjechał do szpitala zrozpaczony, z czerwonymi oczami i poobgryzanymi paznokciami. Kiedy oznajmił, że właśnie wraca z centrum handlowego, w Henrym na moment zamarło serce. Zdał sobie sprawę, co mogło się stać, gdyby nie wezwał wnuka.

Kiedy pojawiły się pierwsze wiadomości o wybuchach, o prawdopodobnym ataku terrorystycznym w centrum handlowym, chłopiec dziwnie milczał. Obaj patrzyli na ekran zainstalowanego na ścianie telewizora, siedząc obok siebie w poczekalni oddziału chirurgii. Byli tam sami, od czasu do czasu przechodził tylko ktoś z personelu. Dzień po Święcie Dziękczynienia wykonywano jedynie ratujące życie zabiegi. Dopiero po kilku materiałach filmowych Dixon – żując kciuk – przyznał się do wszystkiego i opowiedział dziadkowi o swoich przyjaciołach, którzy przekonali go, by im pomógł. Przez cały ten czas, słuchając go, Henry czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Powiedzieli nam, że będziemy nosić jakieś elektroniczne ustrojstwo, które zakłóci pracę komputerów – mówił Dixon, rzucając wzrokiem dokoła i przygryzając kolejny paznokieć. – A to pewnie było co innego.

– Niemożliwe – rzekł Henry, chociaż wiedział, że to prawda. – Prosiłem cię, żebyś trzymał się od tych dwóch z daleka.

– Przyjaźnimy się od trzeciej klasy.

– I co z tego? Przez nich są tylko kłopoty.

– Muszę się dowiedzieć, czy nic im się nie stało – powiedział Dixon. – Pożyczysz mi telefon?

Chłopak był tak załamany, że Henry bez wahania podał mu swojego smartphone'a. Sam wolał zadzwonić z automatu w szpitalu. Trudniej będzie wytropić te rozmowy, a on przecież nie chciał, żeby zostały uwiecznione na comiesięcznym wydruku.

Wybrał drugi numer, tym razem z pamięci, nie musiał go czytać ze zmiętej kartki. Ręce wciąż mu się trzęsły po pierwszej rozmowie.

– Słucham?

– Allan, tu Henry. Musimy się spotkać.

– Po co?

– Musimy to jeszcze raz rozważyć.

– Rozważyć?

– Tak. Musimy to zatrzymać.

Henry oczekiwał wybuchu złości. Był na to przygotowany. Nie był jednak ani trochę przygotowany na wybuch śmiechu.

Odsunął słuchawkę od ucha i zamknął oczy, zaciskając zęby aż do bólu. To była mimowolna reakcja z czasów, gdy boksował i przygotowywał się na lewy sierpowy przeciwnika. Ale ten wybuch był jednak o wiele gorszy niż

jakikolwiek cios. Kiedy śmiech zgasł, Henry przystawił znów słuchawkę do ucha.

– Teraz nie da się już tego zatrzymać. Jedź do domu. Prześpij się.

Usłyszał ciągły sygnał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy kawalkada czarnych suvów na jałowym biegu dotarła do pierwszych policyjnych blokad otaczających centrum handlowe, już prawie zapadł zmierzch. Chcąc nie chcąc, Maggie zauważyła, że krótkiej jeździe z lotniska towarzyszył zapierający dech w piersiach zachód słońca. Poza różowymi i fioletowymi smugami niebo było teraz czyste. Jedynym dowodem niedawnej śnieżycy był połyskujący śnieg, który szczelnie przykrył wszystko w polu widzenia. Śnieg i zimno, przenikliwe zimno, widoczne w obłoczkach pary podczas krótkich powitań, gdy wsiadali i wysiadali z samochodów.

– Wygląda na to, że hieny już tu zjechały – rzekł zastępca dyrektora Kunze, kiedy mijali większe i mniejsze samochody z literami TV na bokach i antenami satelitarnymi na dachach. Nad ich głowami krążył helikopter.

– To normalne w tej sytuacji – stwierdził senator Foster, patrząc na reporterów i kamerzystów, którzy szykowali sprzęt i zbierali się możliwie jak najbliżej miejsca akcji.

Maggie zwróciła uwagę, że senator poprawił krawat, przeglądając się w szybie. Z początku pomyślała, że jej się zdawało. A może miał taki nawyk, z którego nie zdawał sobie sprawy. Ale potem Allan Foster przeczesał palcami siwe włosy. Zerknęła na Wurtha, spodziewając się, że

wymienią znaczące spojrzenia, tymczasem robił dokładnie to samo co senator.

– To nie będzie miły widok – uprzedził Kunze. – Byłem na miejscu zdarzenia w Oklahoma City. Mówię wam, nic nie cuchnie gorzej niż spalone ciało. – Wyciągnął z kieszeni mały pojemnik maści vicks, odkręcił nakrętkę i podał go reszcie.

Maggie odmówiła. Już kiedyś wąchała spalone ciało.

– Nie sądzę, by coś mogło śmierdzieć paskudniej niż rozdęte zwłoki – stwierdził Wurth, ale mimo to wsadził palec do pojemniczka i posmarował maścią skórę pod nosem.

Maggie poznała także zapach ciała topielca. Dokładnie go pamiętała. Wiedziała, że Wurth ma na myśli ofiary huraganu Katrina. Ona z kolei miała do czynienia z przestępcami, którzy porzucali swoje ofiary w wodzie, by w ten sposób jeszcze bardziej je odczłowieczyć i odebrać im indywidualność. Senator Foster zawahał się, czy przyjąć ofertę Kunzego, obserwował, jak tymczasowy zastępca dyrektora wciera sobie sporą porcję maści nad górną wargą, a nawet smaruje nią otwory nosowe.

– Z całą pewnością nie chciałbym wchodzić w drogę ludziom, którzy wykonują swoją pracę – oznajmił w końcu. – Jestem tutaj po to, by okazać im swoje wsparcie.

Kunze i Wurth skinęli głowami. Maggie omal nie powiedziała: „Jasne, dlaczego nie wykorzystać okazji i nie zdobyć trochę darmowej popularności przed wyborami, oczywiście nie brudząc sobie rąk?”. Popatrzyła na Kunzego,

a kiedy wysiedli z samochodu i szli do wejścia, nie mogła uciec od pytania, czy Kunze przypadkiem nie znalazł się tutaj z tego samego powodu. Taka ważna sprawa mogła zamienić jego tymczasową posadę w stałą. Tylko po co ciągnął nielubianą i nieobdarzaną zaufaniem agentkę z sobą?

Pora się tego dowiedzieć.

– Potrzebny mi ktoś z ochrony, kto wskaże, gdzie mogę obejrzeć taśmy – odezwała się do Kunzego, brnąc obok niego po śniegu.

Całe szczęście, że zabrała z sobą kozaki. Kunze dwa razy omal nie wyłożył się jak długi, ratując się machaniem rąk. Dobrze wybrała moment. Nie zakwestionował jej prośby, tylko powiedział:

– Tak, tak, oczywiście.

Gdy znaleźli się w środku, Kunze chwycił za łokieć Wurtha. Już zaczął rządzić.

– Chcemy mieć dostęp do nagrań ochrony, Charlie.

– Nie ma sprawy – odparł Wurth, patrząc do góry, skupiony na czym innym.

Maggie rozumiała, że chce jak najszybciej dostać się na trzecie piętro.

Kunze także to zauważył.

– Im szybciej zidentyfikujemy terrorystów, tym szybciej będziemy mogli wydać nakazy.

– Jasne – rzekł Wurth, zdejmując rękawiczki. Schował je do kieszeni jedną ręką, podczas gdy drugą zaczął wybierać

jakiś numer w telefonie komórkowym. – Zaraz kogoś sprowadzę.

– Aha, Charlie, mam nadzieję, że ci twoi miejscowi pomyśleli o tym, żeby zabezpieczyć te nagrania – powiedział Kunze.

– Nie martw się. Oczywiście wszystkim się zajęli. Jedną chwilę, dobrze?

– Mówię tylko, że wolałbym nie zobaczyć tych z plecakami w lokalnej telewizji.

– Zajęliśmy się tym, Ray.

Maggie trzymała się z tyłu. Brała już udział w takich sprawach, które podlegały kompetencji kilku różnych władz. Wiedziała, że skończyły się koleżeńskie rozmówki. Nadeszła pora rywalizacji i pokazania, kto komu dołoży.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nick pozwolił mu obsługiwać sprzęt. Yarden oznaczył już kilka fragmentów nagrań z kamer na trzecim piętrze, które przyciągnęły uwagę ochrony jeszcze przed wybuchem bomb.

– Obserwowaliśmy ich – oznajmił niski mężczyzna, z nadzwyczajną płynnością ślizgając się krótkim palcem po klawiszach. – Złodzieje często noszą plecaki i pracują w grupach. Myśleliśmy, że to złodzieje.

Oparł się i puścił pierwsze nagranie. Splótł ramiona na piersi, od czasu do czasu zerkając na Nicka, jakby z niepokojem oczekiwał jego reakcji. Nick pochylił się do przodu. Film był ziarnisty, czarno-biały, ale obraz ustawiono pod takim kątem, że w sumie było całkiem przyzwoicie widać. Plecak wyglądał zupełnie zwyczajnie, średnia jakość, żadne tam modne wzornictwo. Za to był duży i wypakowany, i sądząc ze sposobu, w jaki poruszał się młody mężczyzna, dość ciężki.

Yarden puścił następne nagranie na drugim monitorze, nie wyłączając pierwszego.

Drugi młody mężczyzna miał kudłatą czuprynę, był trochę niższy i szczuplejszy. Jego plecak był dokładną kopią poprzedniego.

Na pierwszy rzut oka Nicka zaniepokoiło, że ci chłopcy wyglądali jak starsi koledzy syna Christine, Timmy’ego,

i jego kumpla Gibsona. Normalni schludni młodzi ludzie. Przemieszczali się pewnym krokiem. Nie garbili się, nie rozglądali się, nerwowo kręcąc głową. W niczym nie przypominali szaleńców ani osób nieprzystosowanych społecznie. Chociażby Klebolda czy Harrisa, odpowiedzialnych za strzelaninę w szkole w Columbine.

A jeszcze bardziej niepokojące było dla Nicka to, że ani trochę nie sprawiali wrażenia samobójców, którzy wysadzają się w powietrze razem z podkładaną przez siebie bombą. W każdym razie nie odpowiadali wyobrażeniu, które Nick miał o takich ludziach. Czy spodziewał się zobaczyć ciemnoskórego Araba? Tak, chyba tak. I nie był w tym odosobniony. Gdy tylko ktoś wspomni o podkładających ładunki wybuchowe samobójcach, wyobraźnia natychmiast podsuwa właśnie ten rasistowski obraz.

– Nie tego pan oczekiwał, co? – spytał Yarden, jakby słyszał myśli Nicka.

– No, niezupełnie. – Nick unikał jego wzroku, chciał przynajmniej wyjść na obiektywnego. Było dla niego oczywiste, że funkcjonariusz ochrony pragnął usłyszeć z jego ust potwierdzenie, liczył, że trochę ich to zbliży, zrodzi więź i wspólnie staną po tej samej stronie barykady, palcem wskazując wroga. – Macie jakieś przyzwoite ujęcia twarzy?

– Wszyscy byliśmy na górze i pomagaliśmy. – W głosie Yardena zabrzmiała uraza. – Miałem tylko parę minut na przejrzenie tych taśm, zanim po pana pojechałem.

– Jasne, rozumiem.

– Myślałem, że to pana praca.

– Tak, ma pan absolutną rację. – Nick potrafił zachować się dyplomatycznie, gdy było to konieczne.

– Znalazłem jakiś nagły błysk i jedną z eksplozji. – Yarden znów zaczął stukać w klawisze, gotów zadowolić Nicka i zrekompensować mu brak tego, o co go prosił. Przewinął taśmę do przodu w szybkim tempie. Potem zatrzymał ją i zostawił na ekranie stop-klatkę, a następnie zrobił powiększenie i puścił nagranie dalej.

Choć obraz był bez dźwięku, Nick aż się wzdrygnął, gdy tuż przed jego oczami eksplozja rozwaliła ceglaną ścianę. Zdziwiła go ta jego niekontrolowana reakcja.

– Gdzie jest ta kamera?

– Wszystkie są z trzeciego piętra. Ta jest za rogiem obok baru.

– Proszę to puścić jeszcze raz – poprosił Nick. – Tylko w zwolnionym tempie. I proszę zrobić odjazd.

– Odjazd?

– Tak. – Nawet nie spojrzał na Yardena, dlatego nie zobaczył jego sceptycznej miny. Pochylił się do przodu i czekał.

Ujęcie pokazywało cały długi korytarz, ceglane mury po obu stronach. Z jednej znajdowały się liczne drzwi, po drugiej była tylko ściana. Nad drzwiami i w kilku innych miejscach wisiały rozmaite tabliczki informacyjne. Nick raz jeszcze obejrzał zburzoną przez wybuch ścianę. To była ta strona, gdzie znajdowały się drzwi.

– Co jest za nią?

– Nic takiego, jakieś biura, toalety.

– Proszę to puścić jeszcze raz – rzekł Nick. Tym razem tuż przed eksplozją wskazał na monitor. – Stop. – Gdy Yarden wykonał polecenie, dodał: – Proszę powiększyć ten znak.

Yarden posłuchał od razu, bez wahania.

Na tabliczce widniał napis: „Toaleta damska”.

– Czy obok jest męska toaleta? – spytał Nick.

Yarden czym prędzej spojrzał na plan trzeciego piętra przypięty na tablicy z ogłoszeniami.

– Męska toaleta jest na drugim końcu korytarza – rzekł głosem nieco wyższym niż normalnie. – Po przeciwnej stronie.

– Więc wybuch nastąpił...

– W damskiej toalecie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Przed zgłoszeniem się do odprawy Asante odszukał na lotnisku toaletę z tabliczką „Toaleta rodzinna”. Pomieszczenie było większe, niż pamiętał: jedna kabina, umywalka i blat do przewijania dzieci, a co najważniejsze, solidna zasuwa na drzwiach. Wprost idealnie. Nikt mu tutaj nie prze- szkodzi.

Spojrzał na zegarek, wieszając na drzwiach torbę na garderobę. Do odlotu miał jeszcze masę czasu. Wypakowawszy najważniejsze rzeczy z worka, włączył i ustawił zestaw bezprzewodowy. Wybrał numer i odłożył telefon. Po jednym sygnale usłyszał:

– Tak?

– Co się dzieje? – spytał, wyjmując z worka kompaktową, ale kosztowną i o dużej mocy golarkę elektryczną. Otworzył zamkniętą na suwak kasetkę i na razie obie rzeczy odłożył.

– SMS-y wskazują na to, że Dixon jest w szpitalu.

– Nic mu nie jest? – Asante uważnie dobierał słowa, ale przecież wiedział już, że chłopak żyje. Jego dziadek potwierdził to tym wściekłym telefonem.

– Babka Dixona ma operację serca. Rebecca tam jedzie.

– Więc są razem? – Na ekranie komputera wyświetlił plan trzeciego piętra centrum handlowego.

– Pytała, w co ją wpakował.

Asante przesunął palcem po małym ekranie, powiększając miejsce eksplozji bomby Kuriera Numer Trzy. GPS znajdował się w plecaku, ale każdy kurier otrzymał także nowego iPhone'a, by można było śledzić zarówno kuriera, jak i bombę, na wypadek gdyby któryś z kurierów zostawił gdzieś plecak. Asante postanowił, że wszyscy powinni być na tym samym piętrze, a wybuchy mają nastąpić niedaleko siebie, powodując jak największe zniszczenia budowlane. Chodziło też o to, by zasięg wybuchu był jak największy. To był jego priorytet. Teraz sprawdzał, gdzie dokładnie znajdował się w momencie eksplozji plecak Kuriera Numer Trzy. Powiększając obraz, widział to jak na dłoni: toaleta damska. Ta dziewczyna miała nie tylko telefon Dixona Lee, niosła też jego plecak.

– Sir?

– Mów dalej.

– Ona nazywa się Rebecca Cory. Studiuje na Uniwersytecie Stanowym w New Haven, mieszka w Hartford, w Connecticut. Jej ojciec to William Cory...

– Karty kredytowe? Karta bankomatowa? Prawo jazdy? – przerwał jej Asante, zdejmując ubranie. Nie musiał znać całego portfolio, które zgromadzili, tylko najistotniejsze szczegóły.

– Karta bankomatowa wydana przez First Bank of Hartford – podjęła kobieta miłym, kojącym głosem, jakby recytowała menu na kolację t?te-?-t?te. – Dwa dni temu w Toledo wybrała pięćdziesiąt dolarów, chociaż wydaje się, że zazwyczaj płaci kartą MasterCard. Korzysta z niej na co

dzień. Do przedwczoraj szefowa zmiany dziennej w barze „Champs” w New Haven. Prawo jazdy wydane przez stan Connecticut.

– Unieważnij wszystkie trzy dokumenty, natychmiast.

– Tak, sir.

– Chcę, żeby poczuła się bezradna. – Stał przed lustrem w skarpetkach i bokserkach, myśląc, że taką właśnie Rebeccę Cory chciałby widzieć: nagą i bezbronną. Mówiąc metaforycznie. Przynajmniej do momentu, kiedy będzie mógł bezpiecznie się jej pozbyć. – Przekaż Danko, że znajdzie dziewczynę i Dixona Lee w szpitalu.

– I co ma zrobić, jak ich znajdzie?

– Zabrać ich stamtąd.

– Tak, sir.

Asante wykorzysta chłopaka w inny sposób. Dodatkowy manewr, kiedy przyjdzie pora. Być może karta przetargowa.

– A co z tym drugim młodym mężczyzną? – spytał.

– Nazywa się Patrick Murphy. Nadal nad nim pracuję.

Asante dał jej instrukcje, co ma robić dalej, także z Murphym. Zanim się rozłączył, podał jej nowy numer kontaktowy. Potem wyjął z komórki kartę SIM, zniszczył ją i spuścił z wodą w toalecie. Pamięć przenośna zawierała wszystkie ważne informacje, w tym dane osobowe i spis przychodzących i wychodzących rozmów. Z kieszeni worka marynarskiego wyjął nową kartę SIM i wsunął ją do telefonu. Po kilku sekundach wpisał hasło swojej słuchawki bezprzewodowej, parę kodów i telefon był jak nowy, gotowy do użycia. Odłożył do umywalki telefon i słuchawkę.

Przez ten czas golarka zdążyła się naładować. W ciągu kilku chwil pozbył się koziej bródki. Tak nastawił ruchome główki golarki, by nie zgoliły włosów aż do skóry, lecz zostawiły parę milimetrów. Potem przyszła kolej na głowę. Patrzył, jak ciemne włosy, niektóre długie na siedem albo nawet dziesięć centymetrów, spadają do umywalki.

Następnie farba. Sam wymyślił tę specjalną miksturę. Wycisnął ją na dłoń i wtarł w ostrzyżone na jeża włosy, które na jego oczach przybrały miodową barwę. Wmasował mieszankę również w brwi.

Posprzątanie zajęło mu kilka minut. Wszystko, czego już nie potrzebował, w tym strzykawkę, spuścił z wodą w toalecie albo w umywalce. Sportowe buty, a także reszta ubrania, wylądowały w koszu na śmieci. Z worka na garderobę wyjął świetnie dopasowany do figury granatowy garnitur i równie szykowną białą koszulę. Nie zapiął kołnierzyka, a krawat schował do marynarskiego worka. Założył bezprzewodową słuchawkę i wsunął telefon komórkowy do kieszeni na piersi.

W ten oto sposób pozbywszy się Kierownika Projektu, otworzył portfel na prawie jazdy i spojrzał na nie z bliska. Tak, znowu wyglądał jak Robert Asante. Zwyczajny przedsiębiorca w podróży na kolejne umówione spotkanie. A co ważniejsze, mężczyzna w lustrze wyglądał identycznie jak ten na zdjęciu w prawie jazdy.

Pora przenieść się na kolejne miejsce akcji. Pora przejść do kolejnego etapu projektu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Śledczy z naszej spółki ogląda właśnie taśmy. – Niski mężczyzna, który przedstawił się jako Jerry Yarden, zwrócił się do Maggie, prowadząc ją korytarzem na tyłach budynku.

Maggie nie mogła w to uwierzyć. Spółka ochroniarska ogląda swoje nagrania? Powstrzymała się przed zapytaniem, jaki zwierzchnik i jaki protokół im na to pozwolił. Przed laty nauczyła się, że kwestionując decyzje miejscowych służb, z reguły im się naraża, a to tylko fatalnie utrudniłoby jej pracę. Lepiej niech myślą, że stoi po ich stronie. Większość ludzi uważa, że federalni raczej wytykają palcem i oskarżają niż przedstawiają rozwiązania i dzielą się zasługami.

– Rozumiem, że ktoś z ochrony zwrócił uwagę na tych młodych mężczyzn, zanim bomby eksplodowały?

– O tak, zwróciliśmy na nich uwagę. Trzy identyczne czerwone plecaki. – Yarden obejrzał się na nią przez ramię, nie zwalniając. A szedł szybko i jakoś tak nerwowo. – Jasne, że ich zauważyliśmy.

Był szczupły, wzrostu Maggie, ale miał długie nogi, a jego również długie ręce cały czas się poruszały, kołysały, jakby nad nimi nie panował. Przypominał Maggie śmigło z rudą zmierzwioną czupryną.

– Skąd pan wie, że były czerwone?

– Słucham?

– O ile wiem, wasze kamery pokazują czarno-biały obraz, prawda?

– Oczywiście, ale zaczęliśmy ich śledzić, poszliśmy za nimi na górę. Nauczono nas, że należy patrzeć, co ludzie wnoszą z sobą do centrum. Jak widzimy coś podejrzanego, idziemy za takim człowiekiem. To mogą być duże torebki damskie, torby na zakupy z artykułami do zwrotu, plecaki, a nawet wózki dziecięce. W zeszłym miesiącu jedna babka ukradła kaszmirowe swetry i próbowała je przemycić w wózku pod dzieckiem. Zdziwiłaby się pani, czego to ludzie nie wymyślą.

Maggie uśmiechnęła się pod nosem. Prawdę mówiąc, wcale nie byłaby zaskoczona.

Dżentelmen ze Środkowego Zachodu nie tracił z nią kontaktu, prowadził i grzecznie otwierał przed damą drzwi. Teraz wskazał te na końcu korytarza.

– Myśleliśmy, że to złodzieje – powiedział. – Żadnemu z nas do głowy nie przyszło, że w tych plecakach są bomby.

Do końca korytarza szedł cztery długości przed nią, potem pchnął drzwi i znowu je przytrzymał obiema rękami, stojąc z rozstawionymi stopami, zupełnie jakby drzwi były z ołowiu i ważyły tonę. Maggie odsunęła na bok myśl, że pewnie pokonałaby Yardena w wyciskaniu w pozycji leżącej, nie wspominając już o tym, że mogła sama nacisnąć klamkę. Zamiast tego podziękowała mu i przeszła dalej.

Przeprowadził ją przez labirynt biur do kolejnych drzwi. Kiedy je otworzył, Maggie uderzył panujący

w pomieszczeniu półmrok. Jedynym źródłem światła były ekrany monitorów, cztery rzędy po dziesięć monitorów w każdym, a do tego długi panel klawiszy, pokręteł i barwnych przycisków.

Tyłem do niej przy panelu siedział samotny śledczy, barczysty i ciemnowłosy. Było w nim coś znajomego. Zanim się odwrócił, Maggie poznała, że to Nick Morrelli.

Dla niego jednak to było wielkie zaskoczenie. Przenosił wzrok z Maggie na Yardena, a potem znów na Maggie.

– Ty tutaj? – rzekł ze swoim charakterystycznym uśmiechem, tym z dołeczkami. Światło monitorów podkreślało biel jego zębów.

– Cześć, Nick.

– Znacie się państwo? – Yarden wydawał się rozczarowany.

– Pracowaliśmy kiedyś razem – odparła Maggie, nie wdając się w szczegóły, ciekawa, czy Nick zechce coś dodać. – Więc nie jesteś już prokuratorem? Zostałeś śledczym?

– W United Allied Security.

– Tak, oni chronią to centrum handlowe. Czy miejscowe władze wiedzą, że przeglądacie taśmy? – spytała Maggie, patrząc twardo na Yardena, który unikał jej wzroku. W końcu skinął głową, poza tym stał nieruchomo z rękami przyklejonymi do boków. Teraz przypominał jej figurkę z głową na sprężynie.

– Tak, nie ma żadnego problemu – powiedział, wciąż kiwając głową. – Wie pani, oni mają ręce pełne roboty.

Zauważyła, że im bardziej czuł się winny, tym szybciej i bardziej piskliwie mówił, a koniuszki jego uszu poczerwieniały.

– Jesteśmy tutaj tylko po to, żeby pomóc – rzekł Nick.

Jednak Maggie z doświadczenia wiedziała, że jeśli chodzi o lojalność, Nick bywał wewnętrznie rozdarty, przez co często grzęznął w kłamstwach.

Cztery lata wcześniej piastował funkcję szeryfa niewielkiej społeczności w stanie Nebraska. Grasował tam morderca, który za cel wziął sobie małych chłopców. Aby rozwikłać tę sprawę i uratować swojego siostrzeńca, Morrelli musiał stoczyć bój z własnym ojcem, poprzednim szeryfem, wobec którego był lojalny przez całe swoje dotychczasowe życie. Zresztą w ciągu minionych lat ich ścieżki krzyżowały się kilka razy. Ostatnio zeszłego lata, kiedy Maggie ponownie została wysłana do Nebraski, żeby przygotować portret psychologiczny kolejnego przestępcy. Tym razem lojalność Nicka wobec przyjaciela z dzieciństwa o mały włos nie zagroziła sprawie.

– No cóż, w takim razie już się państwo znacie – rzekł Yarden, który nie mógł dłużej znieść tego napięcia. – To powinno nam ułatwić pracę, prawda? – Zakręcił krzesłem i wskazał je Maggie. – Pani O’Dell...

– Agentko O’Dell – poprawił go Nick.

– Tak, racja, agentko O’Dell.

Usiadła obok Nicka, zerkając na niego przelotnie i skupiając uwagę na ścianie monitorów. Puszczali taśmy po

kolei, zatrzymując je w kluczowych momentach. Sześć monitorów pokazywało teraz stop-klatkę.

– Jak widzisz, oznaczamy tylko fragmenty, które mogą okazać się istotne. – Nick machnął ręką w stronę ekranów. – Prawda, Jerry?

– Tak, nagrań jest cała masa. Próbujemy wybrać to, co naprawdę ważne. Niczego nie usuwamy. Przeglądamy tylko i opisujemy.

Maggie prawie zrobiło się żal tego małego, nerwowego człowieczka. Nie mogła mu jednak powiedzieć, że nie ma się czym denerwować, bo tak naprawdę to ona niezbyt ufa Nickowi, a nie jemu. Nicka znała dobrze, jak zły szeląg, a jego ledwie co poznała.

– Agentka O'Dell na pewno chce zobaczyć tych mężczyzn z plecakami – rzekł szybko Yarden, korzystając z okazji, by zmienić temat. Zajął miejsce po drugiej stronie Maggie. – Obraz jest dosyć ziarnisty, niestety. – Nim przysunął się z krzesłem, jego place już śmigały po panelu sterowania. – Pracujemy w systemie trzysekundowym, to znaczy że kamera robi zdjęcie co trzy sekundy, a nie nagrywa na okrągło, więc jeśli ktoś nie jest przyzwyczajony, to może być trochę męczące dla oka.

– Macie filtr Z97 albo HDzoom?

Palce Yardena zawisły nad klawiszami, spojrzał na Maggie z wyraźnym podziwem. Nie tylko rozumiała, na czym polega ten system, ale na dodatek znała się na najnowszych technologiach.

– Nie posiadamy tak wyrafinowanych rzeczy – odparł, zerkając na Nicka, jakby to jego obwiniał, skoro w chwili obecnej reprezentował najwyższe władze United Allied Security.

– Firma rozważa unowocześnienie sprzętu – rzekł Nick trochę za szybko.

Maggie wyłapała defensywny ton w jego głosie. Zignorowała to i skoncentrowała się na Yardenie, który właśnie porządkował fragmenty nagrań, które chciał jej pokazać na kolejnych monitorach.

– To jeden z nich. – Wskazał na pierwszy ekran.

Maggie pochyliła się do przodu. Nick siedział bez ruchu. Czy już to widział? Tak, oczywiście. Zastanawiała się, jak długo Morrelli i Yarden siedzą nad tymi taśmami.

Obraz faktycznie był ziarnisty, ale Maggie widziała, że młody, średniego wzrostu mężczyzna prezentował się porządnie. Miał na sobie dżinsy, kurtkę chyba ze znakiem firmowym na ramieniu i sportowe buty. Nie dostrzegła w nim nic nadzwyczajnego.

Czuła na sobie wzrok Nicka i Yardena, którzy oczekiwali na jej reakcję.

Yarden zademonstrował kolejne zdjęcia na innych monitorach. W końcu mieli przez sobą rząd ziarnistych stop-klatek przedstawiających dwóch młodych mężczyzn z takimi samymi plecakami, przeciskających się przez tłum w centrum handlowym. Tylko na jednym zdjęciu byli razem.

– Zdawało mi się, że było ich trzech?

– Tak, trzech. – Palce Yardena ruszyły znów po klawiszach i pokrętłach. – Trzeci był z młodą kobietą i jeszcze jakimś mężczyzną. – Odnalazł odpowiedni fragment nagrania. – Śledziliśmy go aż do baru. Potem... zgubiliśmy go. W tym miejscu nie ma wielu kamer, a w barze ani jednej.

– A co z tą kobietą i tym mężczyzną? Czy mają z tym jakiś związek?

Yarden milczał, więc Maggie odchyliła plecy i spojrzała ponad jego głową. Yarden i Nick wymienili spojrzenia. Zaczerwienione policzki Yardena pobladły. Nick zaczął szukać czegoś na monitorach.

– O co chodzi? – spytała Maggie.

– Naszym zdaniem jedna z bomb wybuchła w damskiej toalecie – rzekł Nick, przenosząc wzrok z ekranu na ekran. – Może odpowiesz nam na pytanie, jak do tego doszło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Przez kilka minut Rebecca miała wrażenie, że znowu znalazła się w swoim dziecinnym pokoju. Przez szyby wpadało światło dnia przefiltrowane przez żółte firanki z gazy. Wiatr poruszał dzwoneczkami, które wisiały za jej oknem. Czuła zapach smażonego bekonu i wyobraziła sobie rodziców w kuchni na dole. Mama szykowała niedzielne śniadanie, nakrywała do stołu, kładła na nim kolorowe podkładki i stawiała kieliszki o długich nóżkach do soku pomarańczowego. Tata bawił się w kucharza specjalistę od szybkich dań, ale z rytualnym podrzucaniem naleśników czekał na Rebeccę. Te niedzielne poranki nie były na pokaz. Rodzice naprawdę byli szczęśliwi, przekomarzali się z miłości, nie z niechęci czy zazdrości. Rebecca miała ochotę pogrążyć się w tamtej chwili, pozostać w tamtym czasie i znaleźć w nim ukojenie, spokój i poczucie bezpieczeństwa. Gdyby tylko mogła zapomnieć o piekącej skórze i bólu ramienia, o tym palącym przejmującym bólu.

Zamrugała i otworzyła oczy. Nie chciała ich zamykać, ale jej nie słuchały. Otaczała ją mgła, w której obrazy i dźwięki kłębiły się razem. Zanim była w stanie skupić wzrok na jednym punkcie, przypomniały jej się świąteczne melodie, śmiejący się Dixon i uśmiechający się Patrick. A potem... plecaki eksplodowały.

Nie zdawała sobie sprawy, że próbowała usiąść do chwili, gdy poczuła na ramionach czyjeś ręce, które popychały ją z powrotem.

– Wszystko dobrze.

Rozpoznała ten głos i zaczęła szukać wzrokiem jego właściciela. Twarz Patricka zakołysała się przed nią, powoli nabierając wyrazistości. Ale teraz na tej twarzy nie widziała uśmiechu, tylko troskę. Usiłowała sobie przypomnieć, czy została poważnie ranna. Obraz leżącej obok niej ręki oderwanej od czyjegoś ciała kazał jej się nerwowo obrócić i sprawdzić, czy ma obie ręce. Jedna była zabandażowana. W drugiej ujrzała wbitą igłę i połączone z nią jakieś rurki. Ale obie znajdowały się na miejscu.

– Wszystko w porządku, kochanie – nad jej głową rozległ się kobiecy głos. – Staraj się leżeć spokojnie.

– Pamiętasz, co się stało? – spytał Patrick.

Przytaknęła ruchem głowy. Gardło miała jak papier ścierny. Chciała zwilżyć językiem wargi. Patrick to zauważył, rozejrzał się i przytknął jej butelkę wody do warg. Był delikatny, pozwalał jej pić tylko małymi łykami, podczas gdy ona wypiłaby wszystko naraz. Widział jej zniecierpliwienie, mimo to nalegał, by przełykała powoli.

– Gdzie jesteśmy?

– W hotelu po drugiej stronie ulicy – odparł.

– Gdzie?

– Naprzeciwko centrum handlowego. Zorganizowali tutaj tymczasowe miejsce dla rannych.

– A szpital... Myślałam, że pojedziemy do szpitala.

– Wszystko w porządku. – Wziął ją za rękę. – Tutaj się tobą zajęli. Nie musisz jechać do szpitala.

Znów lekko się podniosła. Tym razem Patrick pomógł jej usiąść. Zlustrowała pomieszczenie, szukając w tym chaosie mężczyzny ze strzykawką.

– Jego tu nie ma – rzekł Patrick. – Już sprawdzałem.

Unikała jego wzroku i kontynuowała własne poszukiwania. Mężczyzna ze strzykawką wiedział, że przeżyła. Nie zwracając uwagi na wbitą w rękę igłę, otarła czoło. Było wilgotne od potu, wciąż kręciło jej się w głowie. Ale w jej głowie w dalszym ciągu tłukła się też wiadomość od Dixona. Napisał, że nie jest bezpieczna. Żeby nikomu nie ufała. Nawet Patrickowi.

Czy mężczyzna ze strzykawką wycofał się, gdy uznał, że nie zdoła się do niej zbliżyć, bo była z Patrickiem? Czy może już nie musiał się niczym kłopotać, ponieważ był z nią Patrick?

Zerknęła na przyjaciela. Miał potargane włosy i ciemny zarost na brodzie. Patrzył na nią z napięciem, którego nie znała. Co to jest? Troska, niepokój, panika, zmęczenie czy jeszcze coś innego?

Jak dobrze tak naprawdę znała Patricka Murphy’ego?

– Lepiej się czujesz? – spytał, ujmując znów jej dłoń.

Cofnęła rękę, chwytając nią tę drugą, zabandażowaną, jakby ją zabolała.

– Dali mi coś? Jakiś środek przeciwbólowy?

– Zdaje się, że ta kobieta tylko znieczuliła cię miejscowo. – Patrick zaczął szukać wzrokiem pielęgniarki albo

ratownika. – Bardzo cię boli?

Teraz nie miała już wątpliwości – w jego oczach, kiedy na nią patrzył, była troska.

– Mógłbyś się dowiedzieć, czy mają advil albo coś takiego?

– Tak, jasne, zaraz wracam.

Obserwowała, jak Patrick wymija grupy rannych i kieruje się do najbliższego wyjścia. Pomacała ostrożnie swoje kieszenie, przerywając na moment, gdy Patrick się obejrzał. Gdy tylko zniknął jej z widoku, obróciła się. Szybko znalazła w płaszczu iPhone Dixona. Był wyłączony. Postanowiła go nie włączać.

Przesunęła się na skraj nakrytego czymś stołu, prawie zapominając o igle i kroplówce. Raz jeszcze zerknęła przez ramię. Patrick zniknął. Przygryzła dolną wargę i wyciągnęła igłę, zginając rękę w łokciu, żeby powstrzymać krwawienie. Potem niezgrabnie, bez pomocy rąk, zsunęła się ze stołu, starając się nie zwracać uwagi na ból zabandażowanej ręki.

Patrick nadal nie wracał. Na przeciwległej ścianie zobaczyła napis „Wyjście” i tam się skierowała. Po kilku minutach szła już przez zatłoczony hotelowy hol, gdzie dojrzała bankomat. Nikt na nią nie patrzył. Panował zbyt duży ruch. Szła ze spuszczoną głową, ale pilnie się rozglądała. Wsunęła kartę do bankomatu, wstukała swój PIN i czekała. Gotówki, którą miała przy sobie, starczyłoby na taksówkę i małą przekąskę, ale przydałoby się coś jeszcze na wynajęcie pokoju w hotelu, gdzieś w pobliżu szpitala.

Maszyna wypluła kartę, a na ekranie wyświetlił się napis: „Karta nieważna”.

To musi być jakaś pomyłka, pomyślała

Dwa razy podczas drogi do Minnesoty, i to w różnych miejscach, korzystała ze swojej karty. Miała na koncie 425 dolarów, pamiętała to doskonale. Raz jeszcze wsunęła kartę, ale nim wybrała PIN, bankomat ponownie ją wypluł i powtórzył tę samą wiadomość.

Rebecca potoczyła wzrokiem dokoła. W dalszym ciągu nikt nie zwracał na nią uwagi. Panował zbyt duży harmider, ludzie wchodzili i wychodzili, więc nikt nie zauważył jej spanikowanej miny.

Wyjęła drugą kartę, tym razem kredytową, ostatnią deskę ratunku. W zeszłym miesiącu z niej korzystała. Przyznano jej dość duży limit kredytowy, ale narzuciła sobie dyscyplinę i starała się używać tej karty tylko w ostateczności. Tym razem znajdowała się właśnie w takiej sytuacji. Kiedy bankomat połknął kartę, odczekała moment i wstukała PIN. Zastanowiła się, czy nie powinna wziąć więcej pieniędzy, zwłaszcza że karta płatnicza nie działała. Na wszelki wypadek, żeby czuć się bezpiecznie. W kieszeni miała tylko resztę z dwudziestu dolarów.

Maszyna wypluła i tę kartę. „Karta nieważna”.

Nie panikuj, powiedziała sobie. Coś musi być nie tak z tym bankomatem. Jest tu na pewno inny, nie ma sprawy.

Dostrzegła wyjście i pewnym krokiem ruszyła przez tabun ratowników i zakrwawionych klientów centrum handlowego. W porównaniu z nimi była w dobrej formie,

tak sobie powtarzała. Potem pchnęła boczne drzwi i znalazła się na zewnątrz. Kiedy zapadła ciemność?

Zimne powietrze uderzyło ją w twarz. Wstrzymała oddech. Znowu zaczął padać śnieg. Wiatr smagał lodowatymi powiewami. Z tej strony hotelu oświetlono tylko narożniki parkingu. Raptem Rebecca poczuła, że traci pewność siebie. Była kompletnie sama. To niby nic nowego, przywykła do samotności. Dlaczego zatem tym razem odnosiła wrażenie, jakby ześliznęła się z klifu i spadała w czeluść?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Niewiele tego było, a jednak Maggie wszystko pilnie notowała. Drobne detale, na pierwszy rzut oka nieistotne, czasami okazują się rozstrzygające. Niezależnie od tego, że obraz był czarno-biały i ziarnisty, miała nadzieję cokolwiek znaleźć. Tyle że zastępca dyrektora Kunze oczekiwał od niej czegoś więcej. Spodziewał się otrzymać od Maggie ostateczny profil przestępcy, który mógłby wykorzystać w nakazie rewizji. Oznajmił to tak, jakby dzięki obejrzeniu tych czarno-białych nagrań, opóźnionych o trzy sekundy ruchów młodych terrorystów-samobójców, mogła poznać ich nazwiska, adresy i numery ubezpieczenia.

Niestety nie on jeden tak myślał. Telewizja i filmy przedstawiają psychologów kryminalnych jako prawdziwych magików. I ludzie uwierzyli, że wystarczy parę tropów i machnięcie ręki, by, mówiąc metaforycznie, wyciągnąć królika z kapelusza. Nawet Kunze twierdził uparcie, że istnieje naukowa formuła, która działa prawie jak czary. Jeśli podejrzany wykazuje pewne charakterystyczne cechy, na przykład cechę numer jeden, numer dwa i numer pięć z jakiejś teoretycznej listy cech, wówczas, rzecz jasna, przynależy on do określonej kategorii. Osób działających według planu albo też bezplanowo. Kierujących się złością lub zemstą. Przywiązanych do pewnych rytuałów albo chaotycznych.

Wystarczy, że podejrzany posiada dwie z owych trzech cech, i już wiadomo, że należy szukać najbliższego socjopaty narcyza z wadą wymowy, ubranego w granatowy garnitur z dwurzędową marynarką.

Gdyby było to takie proste!

Maggie miała przygotowanie medyczne, stopień licencjata z psychologii kryminalnej i magistra z psychologii behawioralnej. Na początku swojej zawodowej kariery była w Quantico na stypendium podyplomowym z medycyny sądowej. A jednak nawet ona uważała, że do przygotowania profilu przestępcy najbardziej potrzebna jest zdolność obserwacji. Sztuczki – jeżeli istnieją – polegają na tym, by widzieć to, co inni przeoczyli, i zwrócić uwagę na coś, co inni uznali za zwyczajne. Należało czujnie odnosić się do tego, co jest dostępne, i nie przegapić tego, czego brakuje.

Czego dotąd brakowało jej w tej sprawie? Mijały godziny i nikt na razie nie przyznał się do ataku. Nie pojawił się żaden list od samobójcy ani wideo. To niezupełnie pasowało Maggie do tego rodzaju zbrodniarzy, odpowiedzialnych za zbiorowe mordy, jak ten na politechnice Virginia Tech czy w liceum w Columbine. Poza tym żaden z tych młodych ludzi nie wyglądał na zdenerwowanego czy przejętego. Żaden nie pasował do profilu terrorysty-samobójcy czy zbrodniarza winnego ludobójstwa.

– Czy to ten? – spytał Yarden.

Czekał na nią, stawał się prawie nieznośny. Wolałaby sama przejrzeć te taśmy tyle razy, ile uznałaby za stosowne, aż nabrałaby pewności, że nie umknął jej żaden szczegół.

Ale znajdowała się na terenie Yardena. To on po mistrzowsku obsługiwał panel i na szczęście słuchał jej poleceń, co oszczędzało im cennego czasu.

– Tak. Gdyby mógł pan przewinąć do momentu, kiedy widzimy go po raz pierwszy.

To było nagranie z monitora w rogu, z kamery z trzeciego piętra, którą Yarden oznakował jako NW1. Maggie już po raz trzeci prosiła o te właśnie zdjęcia.

Bo wciąż czegoś jej brakowało. Czegoś, czego dotąd nie dostrzegła.

Yarden puścił taśmę i czekał w pogotowiu, żeby zrobić stop-klatkę albo powiększenie. Ale Maggie tylko patrzyła. Chciała skupić się na Terroryście Numer Jeden, tylko na nim, wyłowić go z tłumu, a potem obserwować, jak się przybliża.

Nie kręcił głową, nie rozglądał się nerwowo. Ręce trzymał swobodnie opuszczone wzdłuż boków i szedł normalnym krokiem. Nic nie wskazywało na to, że jest czymś zaniepokojony albo że się czegoś obawia. Nie szukał wzrokiem kamer, nie sprawiał nawet wrażenia, żeby przejmował się, czy jakaś kamera go filmuje.

Miał na sobie kurtkę, dżinsy, sportowe buty i czapkę z daszkiem. Ubranie nigdzie nie odstawało, jakby coś pod nim schował, na przykład broń. W żaden sposób się nie kamuflował. Nic też nie wskazywało na jego przynależność do jakiegoś gangu. Nie włożył czapki daszkiem do tyłu. Nie dawał rękami żadnych znaków, nie miał na sobie koszulki

z żadnym napisem. Był ubrany w zwyczajne, normalne sportowe ciuchy.

Maggie zgadywała, że miał między osiemnaście a dwadzieścia sześć lat. Podobnie jak pozostali, należał niewątpliwie do rasy białej. Jasne włosy leżały na kołnierzu kurtki, ale nie zakrywały uszu. Nosił dość długie, lecz przystrzyżone baki. Maggie nie omieszkała również zauważyć, że rankiem po Święcie Dziękczynienia znalazł czas, by się ogolić. Czy dwudziestoparolatek traciłby na to czas, zwłaszcza wiedząc, że wybiera się do centrum handlowego, by wysadzić się w powietrze? Oznajmić coś światu, lecz samemu z tego świata zniknąć?

Może to nic nie znaczy. W końcu terroryści-samobójcy często trzymają się codziennej rutyny nawet w dzień swojej śmierci. Nie chcą budzić niepokoju ani zwracać uwagi członków rodziny czy przyjaciół. Mimo to zapisała to sobie w notesie.

Nie przywykła robić notatek. Nigdy nie miała problemów z zapamiętaniem faktów. Zapisywał za to jej partner R.J. Tully. Pisał wszystko i na wszystkim, co miał pod ręką: na serwetce, na kwicie z pralni, na bilecie. Do czasu pojawienia się nowego zastępcy dyrektora Kunzego Maggie zadowalała się notatkami w pamięci. Teraz zanotowanie własnego procesu myślowego wydało jej się ważne. Kunze nie zdoła jej znienacka zaatakować, jeżeli będzie miała wszystko na papierze. Nagle sobie uprzytomniła, że upodabnia się do biurokratów martwiących się wyłącznie o własny tyłek, choć tak bardzo ich nienawidziła. Czy o to

jej chodziło, czy może po prostu nie chciała, by Kunze wygrał, by ją złamał?

Na filmie Terrorysta Numer Jeden właśnie przeszedł tuż przed kamerą. Nawet nie spojrzał w jej kierunku. Czy w ogóle zdawał sobie sprawę z jej istnienia? Schludny, przystojny, dwudziestoparoletni, z całym swym przyszłym długim życiem. Dobrze ubrany, dobrze zbudowany, pewny siebie. Maggie pragnęła, żeby podniósł wzrok, choćby na moment. Chciała spojrzeć mu w oczy i choć w przebłysku ujrzeć, dlaczego to robi. Ale ona już to widziała. Oglądała te zdjęcia trzy razy i za każdym razem żałowała, że chłopak nie podniósł wzroku. No dalej, tylko jedno spojrzenie. I za każdym razem Terrorysta Numer Jeden przechodził dalej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Rebecca zniknęła.

Z początku Patrick pomyślał, że zabrano ją wbrew jej woli. Czyżby ten psychopatyczny ratownik jednak ich śledził?

Jasna cholera! Wiedział, że nie powinien zostawiać jej samej, był jednak przekonany, że ten walnięty facet nie odważy się na nic w sali balowej hotelu, pełnej rannych na łóżkach polowych, kroplówek i prawdziwych ratowników. Wąskie przejścia między rzędami łóżek nie pozwoliłyby wyciągnąć stąd nikogo na siłę ani po kryjomu. Tak w każdym razie uważał Patrick. A jeśli ten człowiek zdołał dotrzeć do Rebecki i zabrać ją stąd mimo wszystko?

Głupi! Jak mógł być taki głupi.

– Szuka pan swojej dziewczyny?

Patrick odwrócił się nerwowo. To był ten stary mężczyzna, który leżał obok Rebecki. Jego siwe włosy sterczały spod opatrunku.

– Widział ją pan?

– Tak. Wyszła.

– Sama?

Czy to możliwe, żeby ten mężczyzna się mylił?

– Tak mi się zdaje. – Ranny podrapał się w zabandażowaną głowę. – Po prostu podniosła się i wyszła.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. Wyjęła igłę z żyły. – Wskazał na kroplówkę.

– Widział pan, dokąd poszła?

Mężczyzna wyciągnął przed siebie zakrzywiony palec. Patrick spojrzał przez ramię. Po drugiej stronie sali balowej znajdowały się drzwi. To nie miało sensu. Najbliższe drzwi, te, którymi wyszedł Patrick, były tuż za Rebeccą. Odprowadzała go wzrokiem. Gdyby go szukała, po co miałaby iść w przeciwnym kierunku?

– Jest pan pewien?

– Walnęło mnie w głowę, ale oczy mam dobre.

– Przepraszam, ja tylko...

– Wiem, wiem... Martwi się pan o nią. Nie wyglądała najlepiej. Miała trochę szkliste oczy.

Patrick wyjął telefon komórkowy. Nie otrzymał żadnych wiadomości, ani tekstowych, ani głosowych. Nie miał nieodebranych połączeń. Nie znał numeru iPhone’a Dixona, a Rebecca nie miała jego numeru. Co ona sobie wyobraża? Czy wciąż jest w szoku? Może nie zdawała sobie sprawy, co robi?

Podziękował pacjentowi i ruszył do wyjścia. Jeśli Rebecca się zgubiła, nie mogła odejść daleko.

Drzwi wychodziły na hol. Postawiono tam stolik i składane krzesła. Dwaj ratownicy w niebieskich uniformach kierowali ruchem wchodzących i wychodzących, próbując jakoś opanować ten chaos. Patrick ledwie widział przez ten tabun ludzi. Po prawej dojrzał windy, a na końcu korytarza po lewej kolejne

wyjście, które prawdopodobnie prowadziło na zewnątrz budynku.

Stał bezradny, przenosząc wzrok z miejsca na miejsce. Którędy poszła Rebecca? Nie wyobrażał sobie, by przebrnęła przez ten tłum. Nie znosiła ciżby, poza tym była w kiepskim stanie. Ale nie była sobą. Może wciąż działała pod wpływem szoku? Na pierwszych wykładach z pożarnictwa dowiedział się, że szok ogromnie osłabia człowieka fizycznie. Jeśli Rebecca wydostała się na zewnątrz, mogła nawet nie zdawać sobie sprawy z panującego tam zimna.

Ruszył do wyjścia. W momencie, kiedy pchnął drzwi, dostrzegł mężczyznę w uniformie, który szedł z parkingu w jego stronę.

– Hej, ty, zaczekaj! Co ty wyprawiasz?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nick odchylił się i potarł twarz, przecierając zamglone ze zmęczenia oczy. Nie musiał patrzeć na zegarek. Zarost na brodzie mówił, że jest późno. Żołądek przypominał mu, że od wczesnego rana nic nie jadł. Rozbolała go głowa. W pokoju było za ciepło i za ciemno. Od blasku monitorów miał podrażnione oczy. I oczywiście na domiar złego Maggie O'Dell siedziała tak blisko niego, że czuł jej zapach i jego myśli zbaczały z właściwego toru. Czy to jej szampon tak pachnie, balsam do ciała czy perfumy?

Obejrzeli już pewnie kilka kilometrów taśm, próbując znaleźć trzech młodych ludzi i prześledzić ich drogę w centrum handlowym. Podążali ich śladem, jak tylko się dało, przyglądając się konkretnym ujęciom kamery, i znów się cofali. Żeby dostać się na trzecie piętro, każdy z młodych mężczyzn musiał pojechać jednymi z ruchomych schodów. Żeby wejść do centrum handlowego, każdy z nich musiał przecież wejść przez jedne z drzwi. I tak rozumując, posuwali się naprzód, krok po kroku, śledząc kamerę za kamerą, fragment po fragmencie. Było to nużące, a jeszcze Maggie życzyła sobie, by bez końca powtarzali niektóre ujęcia.

Yarden wykazał się o wiele większą cierpliwością niż Nick, który kilka razy przyłapał się na ziewaniu, ale Maggie nawet na niego nie spojrzała. Przebywała w innej

przestrzeni. A znów Yarden, pan i władca panelu, był bardzo zajęty, chude palce nie znały zmęczenia, umysł zachował bystrość, cierpliwość zasługiwała na podziw. Ani razu nie stęknął, niczego nie kwestionował, nie zawahał się ani przez moment. Był wzorowym podwładnym, przykładem do naśladowania, takim, który pragnie zadowolić przełożonego, gotów jest spełnić każde jego życzenie. I choć to Nick był zwierzchnikiem Yardena, ten mały człowieczek uśmiechał się promiennie do Maggie, od niej oczekiwał kolejnych instrukcji, niezależnie od tego, czy Nick go o coś prosił. Prawdę mówiąc, nie mógł mu mieć tego za złe. Maggie otaczała aura spokoju, którą zawsze z sobą wnosiła. Jakby mówiła: „Wiem, że to trudne, ale razem damy radę”.

Nick pamiętał, że cztery lata temu czuł się tak samo jak teraz Yarden. Maggie wkroczyła wówczas w chaos, który pozostawił po sobie w Platte City, w stanie Nebraska, seryjny morderca. Tamta sprawa podlegała kompetencji Nicka jako szeryfa. To on miał nad wszystkim panować i decydować. Wciąż potrafił przywołać w pamięci tamto poczucie ubezwłasnowolnienia, popłoch bliski histerii, który starał się zdusić i upchnąć gdzieś w głębi. Obecność Maggie dodała mu pewności siebie, uspokajała i wyciszała panikę, pozwoliła mu wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Rozumiał zatem Yardena, który uważnie wsłuchiwał się w każde jej słowo, każde polecenie, śledził każdy jej ruch. Nick także był na nią wyczulony, ale z nieco innego powodu. Kiedy jego prawdziwe uczucia do Maggie

wypłynęły na powierzchnię? Kiedy w końcu je sobie uświadomił? Tak na poważnie? Przed odwołaniem ślubu z Jill? Czy może najpierw była to tylko wymówka, by rozstać się z Jill, a potem odkrył prawdę?

Patrząc na Maggie, zastanawiał się, dlaczego zabrało mu to tyle czasu.

– Proszę tu zatrzymać – przerwała jego deliberacje Maggie, wskazując na monitor w górnym rogu, który przyciągnął jej uwagę. – Może pan powiększyć jego baseballówkę? – Gdy Yarden wykonał polecenie, odsunęła krzesło i wstała, żeby lepiej widzieć. – Co to jest? – Postukała w ekran palcem wskazującym. – Szukaliśmy zdjęcia jego twarzy, ale co on ma z boku czapki? To jakieś logo, prawda?

Yarden przysunął się ostrożnie.

Maggie robiła notatki, w małym notesie miała już mnóstwo zapisanych stron. Kiedy Nick także się podniósł, by spojrzeć z bliska na monitor, zerknął na jej notatki, a zaraz potem podniósł wzrok. Dojrzał jedynie słowo „profil” na samej górze strony.

– Och, wiem, co to jest. To znak Golden Gophers – oznajmił Yarden uradowany jak dziecko, które odpowiedziało na trudne pytanie ulubionego nauczyciela.

– Drużyna z college’u – sprecyzował Nick.

– Tak, z Uniwersytetu Stanowego w Minnesocie – powiedziała natychmiast. Nick był pod wrażeniem, Yarden wręcz oczarowany. – Wygląda na to, że ma też na sobie kurtkę zdobywcy odznaki sportowej – dodała. – Jerry, czy to

nie przypomina emblematu uniwersytetu? To chyba duże M, prawda?

Yarden właśnie stukał w klawisze, robiąc zbliżenie lewej piersi chłopaka, gdzie wskazywała Maggie.

– Fan drużyny uniwersyteckiej z Minnesoty – stwierdził Nick.

– Albo jego student – odparowała Maggie.

Zadzwonił telefon wiszący na ścianie.

Wszyscy troje wzdrygnęli się na ten nagły dźwięk. Yarden miał taką minę, jakby widział aparat po raz pierwszy w życiu. Zerknął na Maggie, a potem na Nicka.

– To pewnie ci z góry – zaczął, ale nie ruszył się, żeby odebrać, jakby nie chciał, by mu przypominano o tym, co działo się wyżej.

Z początku Nick myślał, że Yarden czeka, aż któreś z nich dwojga poleci mu albo pozwoli sięgnąć po słuchawkę, ale kiedy spojrzał na niego, przekonał się, że on nie tyle waha się, co robić, ile jest przerażony.

Chyba dopiero po dwunastu dzwonkach Yarden odsunął się z krzesłem od panelu i odebrał.

– Ochrona – rzucił do słuchawki, a po przerwie dodał: – Mówi Jerry. Jerry Yarden.

Nick starał się na niego nie patrzeć, nie mógł jednak oderwać wzroku. Twarz Yardena ściągnęła się jak u człowieka, który czeka, aż coś albo ktoś go uderzy. Kiwał głową i kilka razy głośno przełknął, a jabłko Adama podskakiwało nad kołnierzykiem.

Kiedy Yarden wreszcie odwiesił słuchawkę, był śmiertelnie blady.

– Ochroniarze przypuszczają, że mają kolejnego terrorystę – rzekł prawie szeptem.

– Poważnie? – spytał Nick. – Gdzie on jest?

– Na parkingu po południowo-zachodniej stronie. – Jabłko Adama znowu podskoczyło. – Chcą, żebyśmy poszli na górę.

Tym razem telefon komórkowy Maggie zaczął dzwonić. Kilka sekund później rozdzwonił się telefon Nicka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Mógł tutaj zostać – powiedział do Maggie Charlie Wurth, pomagając jej włożyć kuloodporną kamizelkę.

Po tylu godzinach to nie miało sensu.

– Może ukrywał się gdzieś na terenie centrum handlowego – podjął Wurth, jakby domyślał się wątpliwości Maggie. – Czekał. Wie pani, sądził, że uda mu się zwiać, jak trochę się uspokoi.

Maggie stwierdziła, że nowy zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego nigdy w życiu nie miał na sobie kuloodpornej kamizelki. Wystarczyło spojrzeć, jak zapinał paski. Ręce lekko mu drżały, dość, by to zauważyła. Był zdenerwowany. Oczywiście, że się denerwował. To nie powinno mieć dla niej znaczenia, a jednak wzmogło jej niepokój. Skok adrenaliny znacznie przyśpieszył rytm jej serca.

– Na jakiej podstawie uznali, że to jeden z nich?

– Podobno przemykał na tyłach budynku. – Gdy Maggie uniosła brwi, dodał szybko: – I miał plecak. Czerwony plecak.

Zerknęła na trzech pozostałych mężczyzn stojących w ciasnym przejściu. Też się szykowali, tyle że w milczeniu. Nie padło między nimi ani jedno słowo, słychać było tylko pstryknięcia i trzask sprzętu. Członkowie brygady antyterrorystycznej zachowywali absolutny spokój. Takie

przynajmniej robili wrażenie. W pomieszczeniu było zimno, skądś wiało, a mimo to Maggie czuła zapach ich potu.

Popatrzyła w głąb korytarza. Nigdzie nie widziała zastępcy dyrektora Kunzego.

– Jak on tam zdetonuje ładunek – ciągnął Wurth, a Maggie dostrzegła krople potu nad jego górną wargą – będziemy mieć nie lada kłopot.

– Zajmuję się portretami psychologicznymi, nie jestem negocjatorem. Proszę powiedzieć, czego właściwie oczekuje pan ode mnie?

Przez telefon Kunze oznajmił Maggie, że ma okazję się wykazać. Potem dodał:

– Ochrona twierdzi, że mają go żywego. A pani ma im powiedzieć, czy to ten właściwy.

Brzmiało to jak żart, jak wyzwanie. Ale on mówił poważnie.

Słyszała już dziwniejsze prośby i polecenia, ale nigdy z ust zastępcy dyrektora Cunninghama. On nigdy by jej tam nie posłał.

– Czego dokładnie oczekuje pan ode mnie? – spytała Wurtha po raz wtóry.

– Osaczyli go i przyparli do muru. Może to tylko jakiś dzieciak z czerwonym plecakiem. Umiera ze strachu z powodu całego tego zamieszania, ale jeżeli to jeden z terrorystów... nie możemy tak ryzykować. Ci ludzie... – Machnął ręką w stronę antyterrorystów, jakby dopiero teraz przedstawiał ich Maggie. – Im nie wolno go schwytać, jeśli

istnieje ryzyko, że plecak eksploduje. Policjanci też nie mogą do niego podejść. Z tego samego powodu.

I to wszystko. Koniec wyjaśnień.

Wurth włożył czapkę z daszkiem i zaczął wbijać się w niebieską kurtkę z napisem na plecach „Brygada Antyterrorystyczna”. Sprawiał wrażenie, jakby zamiast kamizelki kuloodpornej miał na sobie kaftan bezpieczeństwa. Kilka razy próbował włożyć rękę do rękawa kurtki, zanim wreszcie trafił.

Jeden z antyterrorystów podał taką samą niebieską kurtkę Maggie.

– Ja też? – spytała Wurtha.

Najwyraźniej myślał, że wytłumaczył jej już wszystko. Podniósł na nią wzrok, walcząc z suwakiem, jego palce wciąż lekko drżały.

– Powie nam pani, czy ten chłopak pasuje do profilu terrorysty. – Powiedział to tak, jakby to było oczywiste.

Maggie omal się nie roześmiała. Chyba wszyscy powariowali.

– A jeśli nie będę w stanie tego stwierdzić?

Zatrzymał się, zatrzymali się antyterroryści. Wyraz twarzy Wurtha mówił jej jasno, że tego nie brał pod uwagę.

– Jest pani z pewnością trochę podenerwowana, agentko O’Dell – rzekł powoli i cicho jak ojciec do dziecka.

Nagle stała się agentką O’Dell, chociaż podczas całego lotu zwracał się do niej po imieniu.

– Nie jestem zdenerwowana. – To, co działo się z jej żołądkiem, świadczyło o czym innym, ale już dawno temu

nauczyła się ignorować podobne sygnały. Nie stanowiły dla niej problemu. Potrafiła się skoncentrować. Ufała w swój instynkt. Umiała pracować w stresie. Ale to było idiotyczne i chciała to Wurthowi powiedzieć. Czy on kiedykolwiek oglądał te czarno-białe taśmy fatalnej jakości? – Psycholog kryminalny nie pracuje w ten sposób.

– Proszę posłuchać, agentko O'Dell. – Tym razem wziął ją za rękę i przysunął się tak blisko, że czuła zapach mięty pieprzowej z jego ust. Zupełnie jakby uważał, że to, co zamierza jej wyznać, może dojść uszu antyterrorystów mimo koszmarnego gwaru w zatłoczonym wejściu. – To może być nasza jedyna szansa, żeby zapobiec tragedii. Zastępca dyrektora Kunze postawił na pani talent. Ja także. Teraz pani musi zgodzić się na to ryzyko.

Był lepszym politykiem, niż przypuszczała.

– Proszę mi pożyczyć krawat. – Włożyła niebieską kurtkę antyterrorystów. Wurth zdziwił się, ale o nic nie zapytał i bez wahania zdjął krawat. – Czy ktoś ma rękawiczki? – Natychmiast spełniono jej żądanie.

Wciągnęła rękawiczki. Były za duże, za to ciepłe, a poza tym nie będzie przecież trzymać w rękach niczego, co wymaga idealnej sprawności. Potem jasnoczerwonym krawatem Wurtha obwinęła lewy nadgarstek, zawiązując węzeł i zostawiając jakieś piętnaście centymetrów końcówek zwisających luzem.

– Kiedy uniosę lewą rękę nad głowę – zwróciła się do antyterrorystów, demonstrując gest – to znaczy: bierzcie go. – Gdy skinęli głowami, Maggie odwróciła się do Wurtha,

czekając, aż spojrzy jej w oczy. – Proszę powiadomić wszystkie służby, które się tam znajdują, co oznacza ten sygnał.

Nie zamierzała unosić lewej ręki, ale wiedziała, że wszyscy będą czekali na jej znak. A co ważniejsze, będą czekać na ten właśnie znak. A skoro bierze w tym udział kilka różnych służb, lepiej, żeby czekali na jakiś znak, zamiast mylnie interpretować każdy nagły ruch i niepotrzebnie reagować.

Jeden z antyterrorystów przekazał jej prośbę przez radio umocowane na ramieniu, ale Maggie czekała jeszcze na zapewnienie Wurtha, na jego zobowiązanie, na odpowiedź, czy może na niego liczyć.

– Oczywiście, agentko O’Dell.

Zapiął znów kurtkę i tym razem ręce mu się nie trzęsły.

– No to w porządku – powiedziała Maggie. – Do dzieła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Tym razem Nick prowadził, a Yarden trzymał się z tyłu, zawsze dwa kroki za nim. Okazał odznakę strażnikowi u stóp drugich ruchomych schodów. Gwardia Narodowa, oddział snajperów. Jak dotąd na górę nie przedostał się nikt, kto nie przeszedł drobiazgowej kontroli.

Wchodząc po schodach – wszystkie ruchome schody zostały zatrzymane – Nick czuł, jak jego oddech się zmienia. Nie był pewien, czy jest gotowy zobaczyć to, co zastanie na trzecim piętrze. Ojciec powtarzał mu, że nie ma nic gorszego niż widok ofiary wypadku samochodowego, spalonej albo zmiażdżonej, z oderwanym od kości ciałem. Jako szeryf Nick kilkakrotnie miał okazję sam się o tym przekonać. Ale widział też znacznie gorsze rzeczy – drobne ciała dwóch małych chłopców, pocięte i porzucone przez seryjnego mordercę na prerii nad Platte River. Czy cokolwiek mogłoby to przebić? Miał nadzieję, że nie.

Miał także pewne pojęcie o tym, co go teraz czeka, ponieważ dwa tygodnie temu, w ramach szkolenia na swoje nowe stanowisko, uczestniczył w seminarium na temat ataków terrorystycznych. Między innymi mówiono tam, czego należy szukać, na co zwracać szczególną uwagę w obiektach, które chronili. Uczono ich, jak przekonać klientów do modernizacji systemu zabezpieczeń. Dwa tygodnie temu Nick sądził, że na seminarium chciano tylko

napędzić im strachu. Że scenariusz „co by było, gdyby” jest trochę na wyrost. Teraz już wiedział, jak bardzo się mylił.

Dzięki owemu seminarium miał wszystkie informacje świeżo w pamięci. Znał protokół. Próbował przygotować się psychicznie na to, przed czym za moment stanie. Jako pierwsi na miejsce zawsze wchodzą ratownicy. Zajmują się rannymi, gaszą ogień, dbają o bezpieczeństwo budynku. Ranni zostali już przeniesieni na parter i do hotelu po przeciwnej stronie ulicy, gdzie zorganizowano tymczasowy szpital, lub też znajdowali się w drodze do prawdziwego szpitala.

Następnie do akcji wkracza ekipa, która dba o zebranie i zachowanie dowodów. Na tym etapie nikt nie robi niczego w pośpiechu. Przez kilka godzin spędzonych na miejscu eksplozji technicy będą próbowali odpowiedzieć na pytania, których nigdy nie spodziewali się usłyszeć. Maggie powiedziała mu kiedyś, że nawet po śmierci ofiary stanowią największą nadzieję śledczych usiłujących dociec, kim był zabójca.

Blisko szczytu schodów Nick zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech. Serce waliło mu w piersi. W powietrzu unosiła się wszechogarniająca woń spalenizny. Ktoś nareszcie wyłączył świąteczne melodie, jednak upiorna cisza, która je zastąpiła, okazała się jeszcze gorsza.

Widok, który przedstawił się jego oczom, wydał się surrealistyczny. Czarny krater został otoczony kordonem. Sześciu techników kryminalistycznych w ochronnych kombinezonach Tyvek krążyło w milczeniu, mierząc,

rysując mapy, zbierając dowody, przesiewając je i fotografując wszystko, ziarnko po ziarnku. Nick wiedział, że tak samo zachowają się w każdym z miejsc wybuchu.

Nazywali to szperaniem w kraterze. Należało dokładnie przejrzeć wszelkie śmieci i szczątki na obszarze o średnicy większej o połowę niż sam krater. Technicy za pomocą wysterylizowanego sprzętu zbierali i przesiewali dowody. Z początku Nickowi wydało się dziwne, że posługują się wysterylizowanym sprzętem, ale przecież to, co człowiek przynosi z sobą na miejsce zbrodni, może być równie szkodliwe jak to, co z sobą wyniesie.

Później ci sami technicy będą przeszukiwać ten sam obszar na czworakach. Muszą zyskać absolutną pewność, że nie przeoczyli najdrobniejszego choćby dowodu. Zresztą nie chodziło tylko o zbieranie szczątków. Mierzyli i badali wgniecenia i kawałki metalu, szukali kawałków metalu, które gdzieś utkwiły, ostrożnie oczyszczali powierzchnie, szukając niezdetonowanych materiałów wybuchowych, dokonywali analizy osadów.

Zadanie wydawało się niewykonalne, a przecież czekała ich jeszcze powtórka tych wszystkich czynności na miejscu dwóch pozostałych wybuchów.

– Panie Morrelli?

Nick już prawie zapomniał, po co tu przyszedł. Przez chwilę czuł się niewidzialny, jakby patrzył na to wszystko z zewnątrz, jakby na palcach poruszał się na granicy swojego albo czyjegoś sennego koszmaru. Odwrócił się tak gwałtownie, że wpadł na Yardena i omal go nie przewrócił.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. – Jerry Yarden wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować, jego twarz przybrała siną barwę, szeroko otworzył oczy.

– Nick Morrelli.

Mężczyzna podszedł ostrożnie. Nie należał do zespołu techników, był ubrany w granatowy uniform, a nie kombinezon Tyvek. Miał jednak ochraniacze na butach – o wiele na niego za duże. Z jego szyi zwisały okulary ochronne i papierowa maska. Z kieszeni kurtki wystawały fioletowe lateksowe rękawiczki.

– Nie poznajesz mnie. – Mężczyzna zdawał się zawiedziony.

Nick przyjrzał mu się uważniej. Nie spodziewał się spotkać tutaj znajomych.

– David. David Ceimo. Skąd się tu wziąłeś, u diabła?

– Miło cię znowu widzieć, Nick. – Ceimo wyciągnął rękę. – Prawie cię nie poznałem w tym kasku. – Uśmiechnął się szeroko.

Gdyby zrobił to wcześniej, Nick poznałby go natychmiast nawet bez czarnego ochraniacza szczęki. Ten ochraniacz uderzył Nicka dwa razy podczas jednego meczu, a kilka zgrabnych manewrów obrony przyczyniło się do wstydliwej i rzadkiej przegranej Huskers z Uniwersytetem Stanowym w Missouri, i to na własnym boisku. Jeszcze teraz, kiedy dłoń Davida pochłonęła rękę Nicka, nie było to miłe wspomnienie.

Obaj znaleźli się potem w drużynie NCAA All-American, stowarzyszenia sportowego uczelni chrześcijańskich. Jeśli Nicka pamięć nie myliła, Ceimo grał nawet w finałach na Big House, stadionie Uniwersytetu Stanowego w Michigan. W Minnesota Vikings, zawodowym zespole futbolu amerykańskiego, gdzie został zakwalifikowany już w pierwszej rundzie. Pamiętał również, że niestety wysoki szczupły Ceimo doznał ciężkiego urazu w drugim roku kariery. W finałowej rozgrywce potężne uderzenie powaliło go na ziemię. Patrząc teraz na niego, trudno było dostrzec jakieś ślady tamtego wypadku, i chociaż trochę zeszczuplał, nadal wyglądał jak ktoś, komu lepiej nie wchodzić w paradę.

– Jestem tu z ramienia gubernatora Williamsa – oznajmił Ceimo. – Jako szef jego personelu.

– Moje gratulacje. – Nick zatrzymał dla siebie: „Chyba żartujesz?”. Dlaczego miałby być zaskoczony? Ceimo zapewne tak samo pomyślał o nim: Rozgrywający jednego sezonu reprezentuje największą spółkę ochroniarską w kraju? – Znasz Jerry’ego Yardena?

– Chyba nie mieliśmy przyjemności – rzekł Ceimo, wyciągając rękę na powitanie.

– Kiedyś graliśmy z Davidem w futbol, w przeciwnych drużynach.

– Tak? – Yarden stał między nimi i kręcił głową, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Wygląda na to, że zna pan dużo ludzi.

Nick zignorował jego komentarz i poinformował Ceimo:

– Jerry jest tutaj szefem ochrony.

– Prawdę mówiąc, zastępcą dyrektora.

Nick i Ceimo przekrzywili głowy niemal pod tym samym, wiele znaczącym kątem.

– Dyrektor jest wciąż w New Jersey. Pojechał tam na Święto Dziękczynienia – tłumaczył nerwowo Yarden.

– Taa, a Stanowy Inspektor Pożarnictwa utknął w Chicago – powiedział Ceimo, splatając ramiona na piersi. Najwyraźniej zakończył pogaduszki. Nick nie miał nic przeciwko temu. – Też wybrał się na święta. Lotnisko O'Hare jest zatkane. Z powodu śnieżycy wszędzie odwołują loty.

– Gubernator też gdzieś utknął?

Było to niewinne pytanie, ale Nick od razu poznał, że Ceimo zrozumiał je inaczej.

– Mamy problem. – Tylko tyle powiedział, zamiast wyjaśnić nieobecność swojego zwierzchnika. – Gubernator prosił, żebym was o wszystkim informował. Chce w ten sposób okazać waszemu szefowi specjalne względy. Żebyście byli na bieżąco, gdyby okazało się, że sprawa jest bardziej skomplikowana.

Yarden kiwał głową jak figurka z głową na sprężynie.

– Wygląda na to, że ci goście nie robili tego sami.

Nick właśnie zamierzał oznajmić wysłannikowi gubernatora, że już słyszeli o potencjalnym czwartym terroryście.

– Może nawet o tym nie wiedzieli, że zgłosili się na ochotnika na śmierć.

– Co ma pan na myśli? – spytał Yarden.

– Zlokalizowaliście detonatory – rzekł Nick. To byłby pierwszy krok.

– Inspektor Straży Pożarnej musi to potwierdzić, ale moi eksperci od bomb są pewni.

Nick oczywiście zauważył, że Ceimo powiedział „Moi eksperci”. Dlaczego on im to wszystko, do diabła, mówi? Reprezentowali tylko ochronę. Ich miejsce w hierarchii jurysdykcji znajdowało się blisko końca.

– Czego właściwie twoi eksperci od bomb są pewni? – spytał Nick tylko dlatego, że Ceimo wyraźnie na to czekał. Zupełnie jakby znajdował przyjemność w przekazywaniu informacji na raty i stopniowaniu napięcia.

– To nie może wyjść poza ściśle ograniczony krąg osób, jasne?

– Jasna sprawa. – Nick był już tym zmęczony. Wszyscy byli zmęczeni. Cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Bomby zostały zdetonowane z zewnątrz.

– Z zewnątrz? – zdumiał się Yarden.

Nick myślał, że się przesłyszał.

– Ci ludzie nie zdetonowali sami swoich plecaków?

Ceimo pokiwał głową.

– Zrobił to ktoś z zewnątrz, spoza obrzeży centrum handlowego.

– Ktoś inny? Jak to możliwe? – Yarden był zbity z pantałyku.

Ale Nick już zrozumiał. Dokładnie wiedział, co sugeruje Ceimo. Spędzili wiele godzin, oglądając taśmy, i cały ten

czas wszyscy troje – Maggie, Nick i Yarden – powtarzali to samo: Te dzieciaki nie wyglądają na terrorystów, którzy podkładają bomby.

Nie wyglądali na takich, bo nimi nie byli. Nie byli terrorystami podkładającymi bomby. Biedni smarkacze, przypuszczalnie w ogóle nie mieli pojęcia, co ich czeka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Wiatr ciął drobnymi płatkami śniegu w twarz Maggie. Panował przejmujący ziąb, a ona czuła strużkę potu spływającą po plecach. Wurth i jeden z antyterrorystów prowadzili ją wzdłuż muru oddzielającego parking od szumu autostrady międzystanowej.

Zastępca dyrektora Wurth szedł skulony, pewnie z zimna. Wcześniej żartował, że w Nowym Orleanie przynajmniej nie musiał się martwić, że tyłek mu zamarznie. Ale Maggie nie mogła uciec od myśli, że szedł pochylony, by nie trafiła go żadna kula. Może jednak się myliła, sądząc, że po raz pierwszy miał na sobie kuloodporną kamizelkę.

Tylny narożnik parkingu został odgrodzony kordonem. Niezależnie od tego, co się stało, gapiów nadal trzeba było odpędzać. Wyglądało na to, że to głównie media – kamery i mikrofony. Maggie już czuła na plecach oddech reporterów robiących materiały na żywo.

Ponad maskami i dachami samochodów zobaczyła tylko mały fragment tego miejsca. Wiedziała, że podejrzany ukrył się między rzędami zaparkowanych aut, ale jego samego nie widziała. Tam, w rogu, tylko żółtawe światło z pływającymi w nim płatkami śniegu rozświetlało ciemność.

Były tam chyba dwie grupy funkcjonariuszy. Domyśliła się tego na podstawie dwóch różnych kolorów kurtek

i kapeluszy. Najprawdopodobniej reprezentowali służby stanowe i służby hrabstwa. Broń trzymali na wysokości zderzaków albo masek. Każdy z funkcjonariuszy miał wyciągniętą broń. Maggie nie była pewna, kto tutaj rządzi. Nie miało to znaczenia, o ile będą grać według jej zasad.

Obejrzała się na Wurtha. Nie był nawet uzbrojony. Jak mogła mu ufać, że powstrzyma tych ludzi przed strzałem? Przecież był dla nich obcy. Większość z nich pochodziła stąd, a emocje sięgały zenitu. Każdy z nich znał pewnie kogoś, kto był tego dnia w centrum handlowym, była tu jego matka, żona, siostra, brat, najlepszy przyjaciel lub sąsiad. Sądzili, że złapali żywego terrorystę. Adrenalina podskoczyła, a lodowate zimno tylko zwiększało gorączkowe napięcie.

– Zostańcie na miejscu w gotowości.

Trzeszczący głos przestraszył Maggie, zapomniała już o walkie-talkie przyczepionym do swojego ramienia. Z początku jej przeszkadzało, teraz już go nie czuła.

– Nikt nie strzela, chyba że zobaczycie czerwony znak – krzyknęła w stronę swojego ramienia, a strumień powietrza płynący do radia skojarzył się jej z falą dźwiękową.

– Zrozumiano.

– Ma broń? – spytała tym razem ciszej.

– Niczego nie widać. Tylko plecak.

– Chcę, żeby mnie zobaczył, idę z rękami opuszczonymi po bokach.

– Tak jest.

Podeszła do funkcjonariuszy przykucniętych za suvem. Szła wyprostowana. Przywitali ją tylko skinieniem głowy. Jeden z nich wskazał młodego człowieka, który znajdował się po drugiej stronie samochodu.

Maggie dojrzała fragment ubrania z moro i zrozumiała, że to jest podejrzany.

Dzieliło ją od niego tylko półtora metra. Zerknął na nią, potem raz jeszcze spojrzał i skoczył do tyłu, ale znalazł się w pułapce między dwoma samochodami. Przyciskał plecak do piersi, jakby wiedział, że tylko ten przedmiot jest jego tarczą.

– Wszystko w porządku! – zawołała do niego, unosząc ręce, żeby pokazać mu, że jest nieuzbrojona.

Rozejrzał się nerwowo. Był wysoki i bardzo szczupły. Drżał na całym ciele. Boże, był bardzo młody i przerażony.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać – powiedziała. Trudno było jej mówić uspokajająco, gdy do ust wpadało lodowate powietrze odbierając dech. Kiedy spotkali się wzrokiem, Maggie zobaczyła coś w jego oczach.

– Nie strzelać! – zawołała. – To nie jeden z nich! – krzyknęła do funkcjonariuszy w momencie, gdy chłopak na nią skoczył.

Pchnął ją do tyłu i pognał dalej. Z całej siły uderzyła w kratownicę na masce.

– Nie strzelać! – zdołała znów krzyknąć, z trudem odzyskując równowagę.

Pobiegła za nim, spodziewając się usłyszeć strzał za plecami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Patrick nie sądził, że mężczyzna w uniformie to policjant. W centrum handlowym aż roiło się od nich i z tego, co pamiętał, wszyscy mieli wyciągniętą broń i umieszczone w widocznym miejscu odznaki przyczepione do nogawki na udzie albo do kamizelki. Jeden przymocował nawet odznakę z boku wełnianej czapki. Ten mężczyzna nie miał żadnej odznaki, tylko uniform z wyhaftowanym imieniem „Fank". Patrick zgadywał, że to ochroniarz. A może to kumpel tego gościa, który udawał ratownika? Czy trudno jest zdobyć taki uniform? Czy ten mężczyzna naprawdę nazywa się Frank?

Jedno nie ulegało wątpliwości, facet był potężny, krzepki, nabity. Z jednej strony miał jakby skrzywioną szczękę. Wyglądał na takiego, który nawet nie poczułby twojego ciosu. Przypominał Patrickowi pewnego oprycha, który dręczył go w gimnazjum. Niejeden raz miał przez niego podbite oko i zakrwawione wargi. Ten mężczyzna też górował nad Patrickiem. Ale może nie był taki szybki. Jeżeli nie posiadał broni...

– Dziwnie się zachowujesz. – Frank mówił z akcentem, ale nie z Minnesoty, raczej z Brooklynu, co tylko wzmogło paranoję Patricka. – Czemu wychodzisz bocznymi drzwiami, jakbyś się wymykał?

– To były pierwsze drzwi, na które trafiłem.

– Jesteś ranny? – Wskazał plamę krwi na jego rękawie.

Patrick nawet nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Podniósł wzrok na Franka, zastanawiając się, jak z nim rozmawiać.

– Taa, ale już mnie opatrzyli.

– A wyglądasz jak zamroczony. Może nie powinieneś się tak wymykać, póki nie będziesz całkiem przytomny.

Okej, może Frank był w porządku. To jest właśnie negatywna strona braku zaufania do ludzi. Czasami nie dajesz szansy porządnym ludziom, bo ich nie rozpoznajesz.

– Prawdę mówiąc, szukam mojej dziewczyny – przyznał Patrick. – Ona też została ranna. Mam nadzieję, że nie odeszła daleko w tym zimnie. Widział pan może, żeby ktoś jeszcze wychodził przez te drzwi?

Frank patrzył na niego twardo. Czyżby Patrick jednak mylił się co do niego? Frank rozejrzał się po parkingu i potrząsnął głową.

– Od frontu jest ruch, tutaj żywej duszy. – Uśmiechnął się, pokazując zażółcone zęby ze szparą między górnymi jedynkami. – Tylko ty. – Z uśmiechem na twarzy wciąż uważnie przyglądał się chłopakowi. – Znaleźli kolejnego terrorystę. – Nie spuszczał wzroku z Patricka, jakby czekał na jego reakcję.

– Kolejnego?

– Na parkingu – ciągnął Frank, pocierając ręce w rękawiczkach, żeby je ogrzać, zupełnie jakby chciał pokazać Patrickowi, jakie duże ma dłonie. – Kazali nam pilnie patrzeć, czy nie ma gdzieś innych.

– O rety, nie wierzę, że jest ich więcej. – Patrick chwycił się za rękę, jakby nagle przeszył go ból. – Chyba dość szkód narobili. – Przetarł oczy, udając zmęczenie. – Wie pan, ma pan rację. Powinienem wrócić do środka. Nie czuję się dobrze.

– A co z twoją dziewczyną? – spytał nieufnie Frank.

Patrick wzruszył ramionami, nadal trzymając się za ramię tuż nad plamą krwi Rebecki.

– Może nie poszła tędy. Mówił pan, że nikogo pan nie widział. Pewnie jest wewnątrz i mnie szuka.

Odwrócił się w stronę hotelu.

– Hej, mały!

Patrick aż się wzdrygnął na ten okrzyk. Zatrzymał się. Drzwi były tak blisko, jeszcze tylko z pięć kroków. Może powinien do nich pobiec? A jeżeli ktoś zamknął je od wewnątrz?

Obejrzał się przez ramię. Frank trzymał długą pałkę policyjną w dużej dłoni w rękawiczce i uderzał nią o drugą rękę. Skąd on wytrzasnął tę pałkę, do licha?

– Nie wymykaj się już więcej tylnymi drzwiami, okej? – powiedział Frank. – Wszyscy są trochę podenerwowani. Wiesz, co mam na myśli.

Zapalił latarkę. To, co Patrick wziął za policyjną pałkę, okazało się latarką z długą rączką. Frank odwrócił się i z latarką w dłoni ruszył wydrążonym w ciemności tunelem światła.

Patrick nabrał zimnego powietrza w płuca. Paranoja. Wpadł w jakąś cholerną paranoję. Zawrócił do hotelu.

Rebecca na pewno gdzieś tam jest.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Maggie nie zwracała uwagi na ból pleców. Kiedy uderzyła o maskę samochodu, poczuła, że coś wbiło jej się w bok. Najpierw próbowała rozpiąć kurtkę, żeby wyjąć smitha & wessona, ale to zmuszało ją do zwolnienia tempa. Dzieciak nie był uzbrojony. Poradzi sobie bez broni. Poza tym była jedyną osobą, która miała szansę go schwytać. Wszyscy słuchali jej poleceń i ani drgnęli.

Gdzieś za sobą, ale dość daleko, słyszała skrzypienie śniegu pod czyimiś stopami.

– Podejrzany skierował się na południe, południowy wschód – zatrzeszczało jej radio.

Dzieciak poślizgnął się parę razy, tenisówki miały słabą przyczepność. Wtedy Maggie nadrabiała stracony czas i przybliżała się do niego o dwa, trzy kroki. Teraz dzieliła ich tylko długość samochodu, ale on był zwinny, gibki, obracał się i okręcał, żeby bezpiecznie ominąć zderzaki i boczne lusterka. Był przerażony. Nieważne, że nie należał do grupy terrorystów. Nie rozumiał, dlaczego go ścigają. Maggie zastanawiała się, czy w ogóle zna angielski.

Gdy tylko miała okazję lepiej mu się przyjrzeć, natychmiast zrozumiała, że nie był kolegą tamtych młodych mężczyzn, których obserwowała całe popołudnie. Po pierwsze był zbyt młody. Po drugie czarnoskóry. Wysoki, chudy, niemal anorektyczny. Zdradziły go jego oczy, to

przerażenie i panika kogoś, kto był już kiedyś oskarżony i ścigany. Maggie znała ten wyraz oczu. To nie był strach wywołany poczuciem winy. To był strach przed prześladowaniem. Domyślała się, że jednak nie mówił po angielsku.

Między samochodami leżały zaspy śniegu i jedna z nich wchłonęła but Maggie, dosłownie wessała go z jej stopy. To były tanie kozaki bez suwaka. Maggie nie pozwoliła, żeby to zwolniło jej bieg. W końcu codziennie biegała kilka kilometrów.

Z radia rozległy się trzaski, a potem głos:

– Nie może opuścić parkingu.

Słyszała za sobą szczęk metalu. Coraz bliżej.

Jasna cholera. Czyżby szykowali broń do strzału? Czy to właśnie usłyszała? Ktoś oparł broń o maskę samochodu i wycelował?

– Nie strzelać! – krzyknęła zadyszana w stronę nadajnika.

– Podejrzany ucieka. Jest groźny.

– Nie strzelać! – powtórzyła. On był struchlały, a nie groźny. Czy mogą do niego strzelić, kiedy ona znajduje się tak blisko?

Jej uszu znowu dobiegł nagły ruch za plecami. Ciężkie buty ugniatające śnieg, skrzypienie skóry, szczęk metalu, stłumione przez wiatr krzyki.

Chłopak znów się poślizgnął, trafiając kolanem w zderzak. Zbliżyła się o dwa kroki. Obejrzał się przez ramię. Duży błąd. To zawsze strata czasu. Myślał pewnie, że odzyska rozpęd, skręcając gwałtownie w lewo i biegnąc

z powrotem w jej stronę, tyle że za dzielącym ich rzędem samochodów. Maggie natychmiast zakręciła się na pięcie i także zawróciła.

Był tam. Dokładnie na tej samej wysokości co ona. Widziała go fragmentarycznie między zaparkowanymi autami. Dzieliły ich tylko te samochody. Zmusiła się do szybszego biegu. Od połykanego zimnego powietrza paliło ją w płucach. Ale teraz wiatr wiał im w plecy. Jeszcze tylko trochę. Musi go wyprzedzić o krok czy dwa kroki. Straci go, jeśli będzie zmuszona skręcić między samochodami. Zdecydowała się pójść na skróty.

Spojrzała przed siebie na długi nieprzerwany rząd samochodów. Wybrała najlepiej, jak się dało. Potem wskoczyła na maskę samochodu typu compact i zjeżdżając na pokrytej śniegiem gumowej podeszwie, dała susa wprost na chłopca. Przewróciła go na ziemię. Jego łokieć trafił w żebra Maggie tuż pod kamizelką. Na moment zabrakło jej tchu. Zacisnęła z bólu powieki, ale nie odpuściła.

Chłopak rzucał się i kopał, aż chwyciła go za rękę i wykręciła do tyłu. Wtedy znieruchomiał. Niemal automatycznie położył się twarzą na ziemi. Maggie przyklękła na jego plecach, a on rozsunął nogi.

– Pewnie w tej chwili myślisz inaczej – powiedziała zadyszana. Każdy wdech lodowatego powietrza sprawiał jej ból. – Ale jeszcze mi podziękujesz.

Lepiej mieć czyjeś kolano na plecach niż snajperską kulkę w plecach.

Gdy w końcu podniosła wzrok, otaczali ją uzbrojeni mężczyźni w hełmach. Jeden z nich trzymał czerwony plecak, który chłopak rzucił gdzieś podczas ucieczki. Inny trzymał zgubiony przez Maggie but.

Charlie Wurth przecisnął się przez grupę funkcjonariuszy. O głowę od nich niższy, wyglądał na jeszcze mniejszego niż w rzeczywistości i dziwnie nie na miejscu. Ale jego twarz rozświetlał szeroki, promienny wręcz uśmiech, gdy nie zdejmując rękawiczki, wyciągnął do Maggie dłoń, by pomóc jej wstać.

– Skurczysyn, O’Dell. Niezła pani jest.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

– Sprawa jest poważniejsza, niż przypuszczaliśmy – stwierdził David Ceimo. – Tu nie chodzi o trzech smarkaczy, którzy sobie wymyślili, że fajnie byłoby wysadzić w powietrze centrum handlowe.

Nick włożył ochraniacze na buty, ale maska wciąż wisiała mu na szyi. Jerry z kolei zrobił wszystko, co należy, i teraz przypominał jakiegoś dziwnego robala. Elastyczna taśma, do której przymocowana była maska, jeszcze bardziej odchylała jego odstające uszy, zmierzwione włosy sterczały. Nick powściągnął chęć, by go szturchnąć i przygładzić swoją czuprynę. W ten sposób pokazywał swojemu siostrzeńcowi Timmy'emu, że ma na głowie bałagan. Jednak zamiast tego wyjął parę fioletowych lateksowych rękawiczek i ruszył za Ceimo i Yardenem, patrząc na sterczące rude kosmyki, a nie na ślady krwi pod nogami. Ciała ofiar przykryto i pozostawiono tam, gdzie upadły, ale przysiągłby, że widział coś, co wyglądało jak noga – obuty fragment ludzkiego ciała zakryty podartym kawałkiem materiału – pod czymś, co było stolikiem w barze, a teraz zamieniło się w kupę złomu.

Ceimo prowadził ich na miejsce pierwszego i najbliższego wybuchu. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy byli pochłonięci wymagającymi cierpliwości i skrupulatności zajęciami. Szum i szmer rozmaitych urządzeń zajął miejsce

rozmów. Idąc pomiędzy technikami w kombinezonach Tyvek, w maskach i okularach ochronnych, Nick przypomniał sobie scenę z „Gwiezdnych wojen”. Miał wrażenie, jakby znalazł się na innej planecie pokrytej sadzą i popiołem, z wyraźnym wszechobecnym zapachem przypalonego obiadu. Tak właśnie starał się myśleć. Zwłaszcza o przypalonym obiedzie. Byle tylko nie skupiać się na tym, co naprawdę miał przed oczami, na spalonych ciałach i przypalonych włosach.

W końcu jedna z kobiet z ekipy techników zauważyła ich nadejście. Przesunęła ochronne okulary na krótkie jasne włosy, a potem podniosła tacę ze szczątkami, które akurat przeglądała.

– Jamie kieruje pracami na tym kraterze, jest naszą ekspertką od ładunków wybuchowych – przedstawił ją Ceimo.

Nick pomyślał, że Jamie wygląda na studentkę. Dopiero przyglądając się uważniej, dojrzał w kącikach oczu drobne zmarszczki, które zdradzały jej prawdziwy wiek.

– Proszę im powtórzyć, co mi pani powiedziała – poprosił Ceimo.

Wskazała palcem na stertę szczątków na środku tacy.

– Wyobrażając sobie wybuch bomby, większość ludzi sądzi, że wszystko ulega spaleniu. Ale ogień to tylko część eksplozji. Poza tym podczas tego procesu wiele rzeczy zostaje wysadzonych w powietrze i rozerwanych na drobne kawałki. Pozostają tylko fragmenty. Niektóre da się nawet rozpoznać i sklasyfikować. – Pogrzebała palcem

w śmieciach. Nick zauważył coś, co wyglądało jak włókna, oczywiście przypalone, ale końcówki zachowały oryginalną czerwień.

– Plecak – stwierdził Yarden.

– Tak, a ten fragment metalu to część mechanizmu detonującego.

– Nie wygląda – wyrwało się Nickowi.

– Jest tutaj jeszcze kilka mniejszych kawałków. – Jamie delikatnie oddzieliła je od popiołu. – Złożę to w laboratorium, ale fragmenty rozpoznaję gołym okiem. Pamiętacie ten samolot Pan American, który spadł na Lockerbie w Szkocji?

Wszyscy pokiwali głowami. To było dawno temu. Nick przypuszczał, że minęło co najmniej dwadzieścia lat, ale każdy, kto pracował w organach ochrony porządku publicznego, pamiętał tamtą katastrofę. Duży pasażerski samolot odrzutowy eksplodował w powietrzu.

– To była jatka – powiedziała Jamie, jakby była tam obecna. Zmarszczki na jej twarzy nie były wcale takie głębokie. – Szczątki zostały rozrzucone na obszarze wielu kilometrów, a mimo to śledczy potrafili dojść, co spowodowało wybuch. Znaleźli maleńki fragment płytki obwodu drukowanego elektronicznego cyfrowego urządzenia zegarowego. Ktoś umieścił je w radiu z odtwarzaczem razem z semteksem, a potem spakował do brązowej walizki firmy Samsonite. – Urwała, widząc, że Yardenowi szczęka opadła. – Zdumiewające, prawda?

– Chce pani powiedzieć, że ten kawałeczek metalu może być płytką obwodu drukowanego? – spytał Nick.

– Nie, nie jest. Tutaj sytuacja jest trochę inna. Twierdzę tylko, że z maleńkich fragmentów możemy się wiele dowiedzieć. Czasami łatwo je określić. Urządzenia służące do zdetonowania bomb da się porównać do czarnej skrzynki w samolocie. Są źródłem wielu informacji. Fragment płytki obwodu drukowanego znaleziony w Lockerbie został zidentyfikowany jako element cyfrowego urządzenia zegarowego wyprodukowanego przez firmę w Zurychu. Powstało tylko dwadzieścia takich urządzeń. Na specjalne zamówienie rządu libijskiego.

– No no!

Nick zerknął na Jerry'ego Yardena. Maggie ma chyba konkurencję. Wyglądało na to, że Yarden przeniósł pełną podziwu uwagę na Jamie. Nickowi zdawało się, że dostrzega półuśmiech na jej twarzy, ale poza tym niczego nie okazała, tylko podjęła:

– Spotkałam się już z podobnym detonatorem jak ten.

– Więc może nam pani wskazać jego producenta?

Zawahała się.

– Istnieje taka szansa.

– Chwileczkę – włączył się po raz pierwszy Ceimo. – Nie mówiła mi pani tego wcześniej.

– Powiedziałam, że jest taka szansa. Proszę pamiętać, że muszę poskładać te fragmenty. Z tego, co widziałam do tej pory, wygląda to na dość profesjonalne urządzenie, więc być może uda nam się dotrzeć do jego wytwórcy. Nie jest

cyfrowe. Nie nastawia się go też z wyprzedzeniem. Nazwałabym je bezprzewodowym, bo nie wiem, jak lepiej je nazwać. Pozwala zdetonować bombę pilotem.

– Czy wszyscy trzej terroryści mogli mieć takiego pilota?

Jamie potrząsnęła głową.

– Nie znalazłam niczego, co by na to wskazywało. Ale mówiąc prawdę – wzruszyła ramionami – tego rodzaju pilotem posługuje się tylko ktoś, kto nie chce być w pobliżu bomby, którą ma zdetonować.

– Czy nie lepiej użyć cyfrowego urządzenia? – spytał Nick. – Zdetonować wszystkie ładunki równocześnie? Skoro w takim wypadku osoba, która detonuje ładunek, też nie musi być w jego pobliżu, prawda?

– Niby tak, lecz cyfrowy detonator bywa zawodny. Jak się pan spóźni, nie można go przestawić, w każdym razie nie tak łatwo i szybko.

– A skoro ten ktoś posługiwał się pilotem, dlaczego po prostu nie zostawił plecaków w miejscach, gdzie miały wybuchnąć?

– Zauważylibyśmy je – rzekł Yarden. – Zwracamy uwagę na rzeczy, które leżą bezpańsko.

– No właśnie – zawtórowała mu Jamie. – Za duże ryzyko, że ktoś je znajdzie, zanim ładunek eksploduje.

Zapadła cisza. Nikt nie chciał przyznać, co to oznacza: że osoby, które niosły ładunki w plecakach, też były ofiarami.

– Jest coś jeszcze. – Jamie palcem wskazującym wyciągnęła kolejny kawałek metalu. – To nie jest pewne –

zastrzegła się – ale plecaki mogły być zamknięte na coś w rodzaju kłódki.

Nick potarł brodę. Pamiętał, że ci młodzi ludzie przypominali mu jego siostrzeńca Timmy'ego. Byli starsi, ale wyglądali na zwyczajnych, porządnych chłopaków. Takich, którzy lubią oglądać futbol, może nawet sami kopią piłkę. Jeden z nich nosił kurtkę zdobywcy odznaki sportowej. Pamiętał, jak normalnym, pewnym krokiem się poruszali. Żadnych nerwowych ruchów. Nie kręcili głowami i nie rozglądali się dokoła. Po prostu chodzili sobie po centrum handlowym.

Co wiedzieli o zawartości swoich plecaków? I kto przekonał ich, żeby z nimi spacerowali po zatłoczonym centrum?

– Wspomniała pani, że widziała już ten rodzaj detonatora – przypomniał jej Nick.

Jamie zawahała się, spojrzała na Ceimo.

– W porządku – rzekł. – Gubernator chce, żeby ludzie Ala Banoffa szybko się z tym uwinęli.

– Widziałam go tylko na planach innej bomby. Złapaliśmy tego człowieka, zanim ją skonstruował. Miał już szczegółowy projekt, ale twierdził, że to tylko projekt badawczy. A jednak zaczął już konstruować bombę. Detonator był bardzo podobny do tego, zaawansowany system bezprzewodowy, który można uruchomić za pomocą pilota. Wyróżniał się na tle tego wszystkiego, do czego przywykliśmy do tej pory, podobnie zresztą jak projekt

bomby. Dlatego musiałaby być zdetonowana z jak największej odległości.

– Co było w niej takiego szczególnego?

– To miała być brudna bomba.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Asante bez problemu przeszedł kontrolę na lotnisku. Okazał kartę pokładową i prawo jazdy, a urzędnik omiótł je tylko pobieżnym spojrzeniem i machnął ręką. Nawet worek marynarski został jedynie na moment zatrzymany na taśmociągu bagażowym. Nikt nie odezwał się do Asantego, nikt się nie przyglądał. Po prostu szło mu jak z płatka.

Poza tym, że wciąż czekał na samolot, bo lot był opóźniony. Nawet nie wspominano o nowej godzinie startu.

Nie chciał zwracać na siebie uwagi, ale stał w pobliżu i nadstawiał uszu. Pracownica linii lotniczych poinformowała innego pasażera, że samolot z powodu burzy śnieżnej utkwił w Chicago. Gdy tylko pogoda się poprawi i samolot wyleci, wszyscy zostaną zawiadomieni. Na razie trzeba czekać.

– Nie – mówiła do kilku innych zniecierpliwionych pasażerów. – Nie ma dziś wieczorem innych lotów do Las Vegas.

Na podręcznym komputerze Asante szukał połączeń w różnych liniach lotniczych. Niestety pracownica miała rację. Żaden samolot nie wylatywał z Minneapolis do Las Vegas aż do rana, a te poranne były już zajęte i miały nawet listę rezerwowych.

– W końcu to weekend po Święcie Dziękczynienia – broniła się, gdy jeden z pasażerów zaczął narzekać.

Asante milczał. To tylko kolejne drobne zakłócenie. Sprawdził już także wypożyczalnie samochodów. Niestety nie było ani jednego wolnego auta, zaś te, które do tej pory powinny wrócić do wypożyczalni, ugrzęzły gdzieś na skutek śnieżycy. To, co tak niedawno nazywał darem od Boga, teraz zamieniało się w... drobne zakłócenie, nic więcej. Tylko drobne zakłócenie.

Siedząc tak blisko informacji, wyłączył dzwonek telefonu i ignorował wszystkie połączenia. Później sprawdził, czy ma jakieś wiadomości. Ale oni byli za sprytni, żeby wysyłać mu SMS-y. Zbyt łatwo je wyśledzić. Otrzymał za to jedną wiadomość głosową. Nacisnął przycisk, żeby ją odsłuchać.

– Cześć, to ja – usłyszał pogodny kobiecy głos, ot, żona zostawia wiadomość mężowi. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że jeszcze nie odebraliśmy Becky. Ona jest bez pieniędzy. W tej chwili po nią jedziemy.

Asante uśmiechnął się, choć może powinien się zmartwić, że Rebecca Cory wciąż gdzieś się kręci. „Ona jest bez pieniędzy” znaczyło tyle, że dziewczyna próbowała już wybrać gotówkę z bankomatu. System wskaże im dokładnie lokalizację tego bankomatu. Będą wiedzieli, skąd odebrać Becky.

Spojrzał na zegarek. Jeśli samolot wciąż stoi w Chicago, z pewnością nie doleci tutaj w ciągu godziny. Zbyt długo już lekceważył swój głód, a przecież uważał, że dbałość o podstawowe rzeczy pozwala zachować bystry umysł. Jedzenie należało do tych podstawowych rzeczy. Nastawił alarm w zegarku na pół godziny później. Na podręcznym

komputerze, który wciąż miał przymocowany do drugiego nadgarstka, ustawił alarm na wszelkie alerty pogodowe dotyczące Chicago i Minneapolis. Potem zarzucił marynarski worek na ramię i ruszył w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się posilić.

Niezależnie od opóźnienia samolotu, był tutaj bezpieczny. Jeśli władze zaczną kogoś szukać – jakiegoś drugiego Johna Doe Numer Dwa – nigdy go nie zidentyfikują. Nawet jeżeli któraś z kamer w centrum handlowym go sfilmowała i zaczną teraz przeczesywać lotnisko, żeby zapobiec jego ucieczce, nigdy go nie znajdą. Większość lotnisk nie ma kamer przy kasach biletowych i w miejscu nadania bagażu. Te miejsca są w zasadzie pozbawione ochrony albo, jak lubił mawiać Asante, mają zero ochrony. Ten John Doe Numer Dwa, który ma swój udział w eksplozjach w centrum handlowym, już nie istnieje. Zniknął w jednym z tych pozbawionych kamer miejsc, wciśnięty do kosza na śmieci i spuszczony z wodą w toalecie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Maggie nie powinna się dziwić, że zastępca dyrektora Kunze nie popadł w taką eskcytację jak zastępca dyrektora Wurth z powodu tego, jak rozwiązała problem na parkingu. Okazało się, że chłopak jest szesnastoletnim uciekinierem z Sudanu, rozdzielonym podczas eksplozji z adopcyjną matką. Mówił nieźle po angielsku, tyle że w panice język mu się plątał. Pierwotny strach i instynkt przywołały zbyt wiele całkiem świeżych wspomnień policyjnych rządów w jego kraju. A więc zachował się tak jak zawsze w podobnej sytuacji – uciekał. Na szczęście nic mu się nie stało.

Maggie z kolei czuła, że ma poobijane żebra. To nie najlepszy pomysł rzucać się na maski samochodów, a przecież została też pchnięta na chromowaną kratownicę suva.

Wciąż trzymała się za obolały bok, gdy Wurth i jeden z ratowników pomagali jej zdjąć kuloodporną kamizelkę. Wurth uparł się, że powinien ją zbadać lekarz, dlatego poszli do hotelu po drugiej stronie ulicy, gdzie w jednej z sal balowych zorganizowano tymczasowy szpital dla rannych. Wurth pragnął uniknąć mediów, więc przekonał ratownika, by udali się do mniejszego pokoju przylegającego do sali balowej. Umknęli więc przed mediami, ale z Kunzem nie

mieli tyle szczęścia. Wparował do środka i od razu zaczął prawić jej morały.

– Co pani wyprawia, do kurwy nędzy, agentko O'Dell? Miała im pani tylko powiedzieć, czy ten smarkacz to jeden z terrorystów. – Stanął nad nią z rękami na biodrach, żyły pulsowały mu na grubej szyi. – Nie kazaliśmy pani go ścigać i odgrywać bohatera. Naraziła pani życie przypadkowych gapiów, nie wspominając już o funkcjonariuszach sił bezpieczeństwa. Mamy dość dupków, którzy tylko czekają, żeby pociągnąć za spust, nie musiała im pani dawać do tego pretekstu.

– Dosyć!

Tym okrzykiem Wurth zaskoczył tak samo Maggie, jak i Kunzego.

– Co pan powiedział?

– Zamknij się pan. – Wurth był jakieś dwanaście centymetrów niższy i dwadzieścia kilo cięższy niż Kunze, ale to go nie powstrzymało. Patrzył groźnie w oczy zastępcy dyrektora FBI i nawet nie mrugnął. – Pańska agentka wykazała się sporą odwagą.

– Odwagą? Uważa pan, że ta zabawa w berka to odwaga?

– Nie pozwoliła zastrzelić niewinnego chłopaka. Tak, i to w dniu, kiedy wszyscy tylko czekamy na to, żeby kogoś zastrzelić za to, co się dzisiaj tutaj stało. Powiedziałbym, że wykazała się wielką odwagą.

– Cóż, szkoda, że to nie pan jest jej przełożonym. Może nie dostałaby nagany.

– Nagany? – Wurthowi omal nie odebrało głosu ze zdumienia.

Jeśli chodzi o Maggie, i tym razem nie powinna się dziwić. Milczała, zamknęła tylko na moment oczy, czując ostry ból w boku, i wreszcie zdjęła do końca swoją kuloodporną kamizelkę. Kunze spłoszył też ratownika.

– Czterdzieści pięć minut – rzucił. – Tyle czasu wam daję, żebyście się pozbierali, zanim wyjdziecie stąd i staniecie przed kamerami, żeby na żywo wyjaśnić, co się stało. Do zobaczenia.

Odprowadzali go wzrokiem, aż zniknął za drzwiami.

Wtedy Wurth odwrócił się do Maggie.

– Co pani zrobiła temu gościowi?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Rebecca znowu wpadła w panikę. Bankomat na stacji benzynowej obok hotelu wypluł obie jej karty. Nie była pewna, czy na taksówkę do szpitala starczy jej drobnych. Centrum handlowe znajdowało się na przedmieściu, a szpital, z tego co wiedziała, w centrum miasta.

Stała w sklepie na stacji, patrząc przez okno na wirujące płatki śniegu. Boże, było zimno i ciemno. Po wybuchu oderwała podszewkę od płaszcza i obwiązała nią krwawiącą rękę, a teraz ilekroć drzwi sklepu się otwierały, drżała na samą myśl, że miałaby znów wyjść na ten ziąb.

Kupiła baton snickers, żeby jej nie wyprosili, chociaż mnóstwo ludzi się tam przewijało, wchodzili i wychodzili. Patrzyła przez okno na pojawiające się i znikające światła samochodów, których właściciele podjeżdżali na stację zatankować albo coś kupić. Widziała swoje odbicie w szybie, tylko zarys, ale dość, by odnieść dziwne wrażenie, że nie do końca się rozpoznaje. W ramieniu czuła pulsujący ból. Zastanawiała się, czy nie kupić podróżnego opakowania tylenolu za cztery dolary i dziewięćdziesiąt osiem centów, ale wtedy zostałaby bez pieniędzy, byłaby jeszcze mniej bezpieczna. Gryzła baton powoli, małymi kęsami, starając się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio coś jadła. W barze w centrum handlowym wypiła tylko kawę. Poprzedniego wieczoru jadła indyka i sałatę w domu

dziadków Dixona. Niebiańska uczta. Mój Boże, zdawało jej się, że to było wieki temu. W jakimś innym życiu.

– Becky?

Odwróciła się i zobaczyła uśmiechającą się do niej kobietę. Nikt z rodziny ani przyjaciół nie nazywał jej Becky. Mówili do niej Rebecca albo Becca. Ale ta kobieta zachowywała się, jakby ją znała.

– Tak myślałam, że to ty – powiedziała.

Zapłaciła za benzynę i najwyraźniej kierowała się do wyjścia. Odsunęła się, przepuszczając innego klienta. Była rówieśniczką Rebecki, no, może trochę starsza, ubrana w znoszone dżinsy i kosztowną skórzaną kurtkę. W jednej ręce trzymała kluczyki do samochodu, które zwisały między palcami, w drugiej zaś dwie paczki chipsów i drobne monety.

– Przepraszam, my się znamy?

– Właściwie nie. – Kobieta wzruszyła ramionami, jakby była nieco zażenowana. – Jestem dziewczyną Chada. Pokazał mi ciebie w centrum handlowym. Właśnie po niego jadę. Podrzucić cię gdzieś?

Rebecca zamrugała, powstrzymała jęk rozpaczy. Chad nie żył. Widziała, jak wyleciał w powietrze. Czy jego dziewczyna naprawdę tego nie wie?

– Nie, dzięki – wydusiła. – Akurat na kogoś czekam.

– Naprawdę? – Jakoś nie dała się przekonać. – Chyba jesteś ranna. – Wskazała na zakrwawiony rękaw płaszcza Rebecki. – To szaleństwo, co się stało. Chad też został ranny. Na pewno nie chcesz, żeby cię gdzieś podwieźć?

– Raczej nie. Nie chciałabym się minąć z przyjacielem.

Stały w przejściu, ludzie krążyli wokół nich.

– No dobra. To na razie.

Rebecca patrzyła, jak nieznajoma ruszyła do samochodu. Obejrzała się jeszcze przez ramię i pomachała do niej. Rebecca przesunęła się trochę, tak by wciąż patrzeć przez okno, ale samej nie być widzianą zza wystawy skrobaków do szyb. Furgonetka dziewczyny Chada stała z tyłu w rogu przy jednym z dystrybutorów paliwa, przednia szyba znajdowała się w cieniu, więc Rebecca nie widziała, czy jest z nią ktoś jeszcze.

Czy to możliwe, żeby Chad przeżył? Czy mogłaby tak bardzo się pomylić? Niewykluczone, że w panice i szoku tylko jej się zdawało, że Chad wyleciał w powietrze. Wszystko to było jak koszmar, jak kiepski film. Może tylko sobie to wyobraziła.

Schowała się, nie spuszczając wzroku z furgonetki. Nerwowo rozejrzała się po sklepie. Facet za kasą przyglądał się jej. Udała, że ogląda skrobaki do szyb, wybrała jeden z nich i sprawdziła cenę. Do sklepu wlała się kolejna fala klientów, więc sprzedawca był zbyt zajęty, żeby nadal ją obserwować. Odłożyła skrobak na miejsce i przeszła do innej części sklepu, w pobliżu toalet, skąd widziała tylko fragment dystrybutorów paliwa. Ale za to patrzyła na wyjazd z parkingu i zauważyła, że furgonetka go opuszcza. Powoli wyjechała na ulicę.

Rebecca odetchnęła z ulgą.

Wyjęła z kieszeni iPhone Dixona i włączyła go. Dixon był jej jedyną nadzieją. Odszukała jego ostatnią wiadomość tekstową. Nie musiała znać jego numeru, wystarczy, że przyciśnie „odpowiedz”.

Napisała:

JESTES TAM JESZCZE?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

GDZIE JESTEŚ?

STACJA PALIW NAPRZECIW CENTRUM. MOŻESZ PO MNIE PRZYJECHAĆ?

Chwilę czekała.

JUŻ JADĘ.

Oparła się o ścianę, z przejęcia zrobiło jej się słabo, ale szybko się pozbierała. Rozejrzała się dokoła. Facet przy kasie wciąż obsługiwał klientów. Wszystko będzie dobrze. Zaczeka tutaj na Dixona.

W tym momencie zobaczyła, jak furgonetka w ciemnym kolorze powoli wjeżdża na parking z drugiej strony, zatrzymując się obok pojemników na śmieci.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Maggie znalazła automat z pepsi i lodem obok zatłoczonego holu. Wurth załatwił dla nich pokoje w hotelu. Kazał nawet przynieść jej torbę z tylnego siedzenia suva. Odnosiła wrażenie, że kiedy już człowiek zyska szacunek Charliego Wurtha, ten opiekuje się nim najlepiej, jak potrafi. Swoją drogą nie przywykła do tego, zwłaszcza ostatnimi czasy, mając do czynienia z zastępcą dyrektora Kunzem.

Kiedy ranni zostali opatrzeni, sala balowa hotelu, recepcja i hol powoli zamieniały się w centrum informacyjne dla rodzin poszukujących swoich bliskich i ukochanych. Krzyki i płacz – niektórzy płakali z rozpaczy, inni z radości – mieszały się z powitaniami i litanią instrukcji. Frontowe obrotowe drzwi nie przestawały się kręcić, wpuszczając zimne powietrze i kolejne fale ofiar, ich rodzin oraz funkcjonariuszy rozmaitych służb.

Maggie ostrożnie przeciskała się przez przepełniony hol, torując sobie drogę łokciami i przepraszając. Stały napór ludzkich ciał i nieustający gwar sprawiały, że droga do wind zdawała się nie mieć końca.

Hotel był dużym, ośmiopiętrowym centrum kongresowym, ale ponieważ zbliżały się święta, a hotel znajdował się tuż obok Mall of America, wypełniali go zwykli goście. Napływ zrozpaczonych rodzin oraz rannych

generował dodatkową energię i wprowadzał zamieszanie. Maggie zauważyła chaotyczną kolejkę gości z bagażami, którzy czekali, żeby się wymeldować. Spora liczba osób z obawy, że to nie koniec eksplozji, że nie ograniczą się do centrum handlowego, chciała stąd jak najszybciej wyjechać. Na ich miejsce natychmiast wprowadzali się funkcjonariusze rozmaitych służb i personelu medycznego. Maggie nawet nie zdawała sobie sprawy, jakie to szczęście, że Wurth zdobył dla nich kilka z tych pokoi, dopóki nie zamknęła za sobą drzwi swojego. Teraz, usiłując tam wrócić z dietetyczną pepsi i wiaderkiem lodu, uzmysłowiła sobie, że jest śmiertelnie zmęczona.

W windzie nie było słychać całego tego szumu z holu, jakby ktoś wyłączył głośnik. Krzyki, płacze i jęki zostały zastąpione przez świąteczne melodie. Z początku Maggie zwróciła na to uwagę, bo zmiana była dość drastyczna. Muzyka towarzyszyła jej jeszcze, kiedy wyszła z windy i skierowała się do swojego pokoju. Potem stwierdziła, że to miła odmiana. Kojąca odmiana.

Zazwyczaj udawało się jakoś przeżyć Boże Narodzenie, ignorując święta, było jednak w tych dniach coś, co przypominało jej dobre chwile z dzieciństwa, z okresu, który nazywała czasem przed pożarem. Różne drobiazgi, świąteczne atrybuty, no i świąteczne piosenki.

Miała dwanaście lat, kiedy zginął jej ojciec, strażak, który zawrócił do płonącego domu, by ratować mieszkańców. Ludzie mówili jej, że powinna być dumna z ojca, gdyż był bohaterem. Jako dziecko Maggie uważała, że to głupie tak

mówić, ponieważ, oczywiście, wolałaby mieć żywego ojca niż zmarłego ojca-bohatera.

Po jego śmierci Boże Narodzenie stało się równie nieprzewidywalne, jak i nie do obrony. Wszystko zależało od tego, jak wcześnie w ciągu dnia – albo poprzedzającego święto wieczoru – matka zaczynała świętowanie i kto został przez nią zaproszony: Jim Beam, Jos Cuervo czy Jack Daniel. Jeśli rok był wyjątkowo udany, Johnnie Walker zastępował godnie ich wszystkich.

Jako osoba dorosła Maggie próbowała – przynajmniej z początku – rozpocząć nową tradycję świąteczną ze swoim byłym już mężem Gregiem. Ale Gregowi, wschodzącej gwieździe prestiżowej firmy prawniczej, zawsze bardziej zależało na tym, by znaleźć się na właściwym świątecznym przyjęciu i kosztownymi prezentami wywrzeć niezatarte wrażenie. Potem oczywiście marudził, że go na nie stać. Nie było nastrojowej chwili ubierania choinki, pasterki z inspirującym przesłaniem nadziei ani rodzinnej uczty przy zatłoczonym stole. Po pewnym czasie Boże Narodzenie stało się czymś, co po prostu trzeba było jakoś przeżyć.

Ale niekiedy coś przypominało Maggie o świętach przed pożarem – szczęśliwym, cudownym okresie, który teraz, po dwudziestu latach wydawał jej się niemal tworem wyobraźni. Miała wrażenie, że na dole w zatłoczonym holu widziała mężczyznę podobnego do ojca, więc od razu zaczęła o nim myśleć.

Wsuwając kartę do czytnika przy drzwiach, usłyszała początek kolejnej piosenki:

– Moc radości życzę ci na święta, smutki przegoń precz.

Natychmiast jej się przypomniało, że ojciec śpiewał tę samą piosenkę i tamto szczególne Boże Narodzenie powróciło do niej na fali wspomnień jak żywe, więc nie mogła go sobie wymyślić.

Wszyscy troje – matka, ojciec i ona – spędzili popołudnie, brnąc w śniegu na farmie choinek w Wisconsin. Mieli znaleźć i ściąć najbardziej magiczne drzewko.

– Jak poznamy, że jest magiczne? – spytała.

Ojciec najpierw pokręcił głową, potem powiedział:

– Jak je zobaczymy, od razu je rozpoznamy.

W tamto Boże Narodzenie Maggie miała jedenaście lat. Była już za duża, żeby wierzyć w świętego Mikołaja albo czary. Kiedy ojciec w końcu przystanął i wskazał na jedno z drzewek, pomyślała, że wygląda podobnie jak wszystkie inne, które odrzucili. Ale ponieważ ojciec pragnął, by ta wyprawa była specjalnym wydarzeniem, Maggie i jej matka nie chciały go zawieść. Tamtego wieczoru ubrali choinkę, a potem popijali gorącą czekoladę i śpiewali kolędy. Nie mieli wówczas zielonego pojęcia, że to ich ostatnie wspólne Boże Narodzenie. Być może to właśnie było w tym magiczne.

Po wejściu do pokoju sprawdziła, która godzina. Odstawiła wiaderko z lodem. Lód był na siniaki, nie do wody. Wypiła połowę dietetycznej pepsi, zdejmując brudne ubranie. Walizka leżała otwarta na jednym z łóżek. Maggie żałowała, że przed konferencją prasową nie zdąży wziąć prysznica, ale postanowiła przynajmniej się przebrać.

Włączyła telewizor, żeby zagłuszyć ciszę, i zerkała na ekran. Nagle znieruchomiała.

To, co zobaczyła, przypominało jej odcinek reality show pod tytułem „Gliniarze”. A tak naprawdę były to lokalne wiadomości. Kamera pokazywała jej pościg za młodym Sudańczykiem. Przedstawiano to już po raz kolejny. Prowadzący pogram komentowali, jakby obejrzeli to już wiele razy, a teraz analizowali powtórkę.

– Oto jest – powiedziała dziennikarka, a Maggie patrzyła, jak wskakuje na maskę samochodu typu compact.

– Au! – zawołali zgodnie oboje prowadzący.

– To musiało boleć – dodała dziennikarka głosem dumnej matki. – Właśnie się dowiedzieliśmy, że agentka specjalna Margaret O’Dell jest psychologiem kryminalnym z Quantico i zajmuje się profilami przestępców. Przyjechała tutaj na prośbę gubernatora Williamsa.

W rogu ekranu pojawiło się oficjalne portretowe zdjęcie Maggie.

Prowadząca kontynuowała:

– Agentka specjalna O’Dell, współpracując z miejscowymi funkcjonariuszami i na podstawie przygotowanych przez siebie dotychczas profili terrorystów, stwierdziła, że ten nastoletni chłopiec nie jest jednym z tych, którzy podłożyli bomby w naszym centrum handlowym. Chłopiec...

Komórka Maggie zaczęła dzwonić.

Na ekranie telewizora obok zdjęcia Maggie pojawiła się podobizna chłopca.

– Maggie O’Dell.

– Mam dobrą i złą wiadomości – oznajmił Charlie Wurth bez zbędnych wstępów.

– Jaka jest ta dobra?

– Nie musi pani brać udziału w konferencji prasowej, ja dołączę do szefa policji Merricka i jego ekipy.

– Niech zgadnę. Zastępca dyrektora Kunze nie chce zbytnio eksploatować mojej eskapady.

– Ach, więc ogląda pani.

– Właśnie włączyłam. To chyba materiał lokalnej stacji.

– Au contraire, cheurie – powiedział z nowoorleańskim akcentem. – Sieci właśnie to podebrały. CNN i Fox też już nadają. Jest pani gwiazdą.

– Rozumiem, że to jest ta zła wiadomość.

– Nie nie. To nie to. Pamięta pani, jaki rozczarowany był pani zwierzchnik jakieś pół godziny temu? No to teraz będzie miał związane ręce. Prosił mnie, żebym pani przekazał, że spotkamy się wszyscy w Centrum Dowodzenia na parterze w pokoju sto dziewiętnaście. Pani obecność będzie mile widziana. Może odczeka pani jakieś pół godzinki i zejdzie na dół? Do tej pory powinienem uporać się z mediami i postaram się być jak najlepszym mediatorem.

Rozłączył się, zanim mu podziękowała. Sięgnęła po pilota do telewizora i zaczęła skakać po kanałach. Rozmaite stacje pokazywały różne etapy jej pościgu na parkingu.

Telefon znowu się odezwał. Co takiego Wurth zapomniał jej powiedzieć?

– Maggie O’Dell, słucham?

– Cześć, mówi Nick. Co teraz robisz? – Pytał tak zwyczajnie, jakby chciał umówić się na randkę. Najwyraźniej nie oglądał jeszcze telewizji.

– Robię manikiur, a potem wybieram się do spa.

Śmiał się serdecznie i dość długo. Jak ktoś, kto nie śmiał się kawał czasu i nie spodziewał się takiej reakcji w tym momencie. Śmiał się tak długo, że nie mogła się odezwać, aż w końcu sama się uśmiechnęła.

Potem jednak znowu spoważniał i spytał:

– Podobno czwarty terrorysta to fałszywy alarm? Nic ci nie jest?

– Mam kilka siniaków. Poza tym w porządku.

– Posłuchaj, Jerry i ja właśnie dowiedzieliśmy się paru rzeczy. Wiem, że spotykamy się wszyscy za chwilę w Centrum Dowodzenia, ale pomyślałem, że chętnie byś to usłyszała.

– To czego się dowiedzieliście?

Poinformował ją o znaleziskach specjalistki od bomb. To tylko potwierdzało jej hipotezę, że młodzi mężczyźni z plecakami nie mieli pojęcia, w co się wplątali.

Oznajmił też, że Jerry przegrał najlepsze ujęcia podejrzanych i zakończył pytaniem, czy chciałaby, żeby coś jeszcze z sobą przynieśli.

– Może burgera i frytki?

– Zobaczę, co da się zrobić.

Wyłączył się. Nie była pewna, czy poznał się na żartach. W przypadku Morrellego trudno to było stwierdzić. Łączyła ich jakaś chemia, ale poza tym niewiele, często nie

znajdowali wspólnego języka ani wspólnej płaszczyzny porozumienia, do której mogliby się uciec. A może Maggie po prostu przestała jej szukać.

Zdjęła resztę ubrań. O ironio, ten pościg dobrze jej zrobił fizycznie i psychicznie. Miesiąc temu nie miała pewności, czy jej organizm jeszcze kiedykolwiek podejmie podobne wyzwanie. Była słaba i męczyły ją nudności. Gorączka i krwawienie z nosa wywołały w niej panikę, bez końca zachodziła w głowę, czy wirus, którym się zaraziła, replikuje się w jej ciele. Chwilami wręcz czuła, jak rozsadza komórki krwi. A jednak szczęście jej dopisało. Minął okres inkubacji, a ona wciąż nie wykazywała charakterystycznych objawów choroby. Tak, zdołała uniknąć kolejnej kuli, w przeciwieństwie do Cunninghama.

Przyjrzała się siniakom z prawej strony, które przybierały niebiesko-fioletowy odcień. Obok blizn wyglądały niegroźnie. To nic wielkiego. Pogodziła się z tym, że jej ciało jest mapą spraw, nad którymi pracowała. Powtarzała sobie, że to nieodłączny element jej profesji. Kiedy zarabia się na życie, ścigając morderców, czasami bywa ciężko. Większość złych wspomnień udało jej się jednak bezpiecznie upchnąć do kolejnych szufladek. Strach i panika związane z wirusem też kiedyś znajdą swoją. Gdyby jeszcze potrafiła stosować tę metodę w prywatnym życiu.

Jej przyjaciółka Gwen Patterson, z zawodu psycholog, której lista klientów zawierała morderców oraz pięciogwiazdkowych generałów, nie wierzyła w szufladki. Często przypominała Maggie, że zamiatanie wszystkiego

pod dywan i zamykanie w wygodnych skrytkach pamięci czasami obraca się przeciwko nam.

– Któregoś dnia parę ścian może się skruszyć. I co wtedy? – mówiła.

Sugerowała, by Maggie przyjrzała się dobrym i złym wspomnieniom. Żeby nauczyła trzymać się tych dobrych. Ale co wtedy, gdy te dobre – na przykład wspomnienie ojca – przypominały jej tylko o tym, czego w jej życiu brak? Może Nick Morrelli też o tym przypominał? W jej życiu było zbyt wiele braków.

Spojrzała na zegarek. Pięciominutowy prysznic zdziała cuda. Potem musi się dowiedzieć paru rzeczy. Wyjęła laptop, włączyła go i ruszyła pod prysznic.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Henry Lee siedział przy łóżku żony, patrząc na rurki łączące ją z sześcioma różnymi urządzeniami. Jego uwagę przykuła ta największa, która wychodziła spod kołdry na wysokości stóp. Płynął nią żółty i czerwony płyn, tworząc mieszankę w kolorze różowym. Ilekroć pomyślał, że cały ten płyn był w rzeczywistości wypompowywany z Hannah, robiło mu się niedobrze.

Wlepiał oczy w te rurki, ponieważ nie był w stanie patrzeć na żonę. Była jakaś rozdęta, wręcz nie do poznania. Cienkie wargi zostały rozepchnięte przez rurki, które z kolei wsadzono do gardła. Mrugała, chwilami odnosił nawet wrażenie, że na niego spogląda. Czy zdawała sobie sprawę z jego obecności? Ujął jej dłoń, uścisnął.

– Dobrze pan robi – odezwała się pielęgniarka, wchodząc do pokoju oddziału intensywnej opieki. – Kiedy zobaczy tę rurkę wychodzącą z jej ust, poczuje się trochę nieswojo. Powoli zmniejszamy dawkę morfiny, więc się obudzi.

– Nieswojo? – Nie podobało mu się to. Nie chciał, żeby Hannah cierpiała. Wstał, wciąż trzymając jej dłoń.

– Wszystko w porządku. – Pielęgniarka zauważyła jego zdenerwowanie. – Chcemy, żeby była trochę bardziej przytomna. Jak wyjmiemy tę rurkę, powinna oddychać samodzielnie. Inaczej pacjenci po operacji serca śpią, a maszyny wykonują za nich całą pracę.

– Ale będzie cierpiała? – Nie usatysfakcjonowały go jej wyjaśnienia.

– Będzie się czuła nieswojo – poprawiła go pielęgniarka. – Zaraz po wyjęciu rurki znów zwiększymy dawkę morfiny. To nie potrwa długo.

Hannah zwróciła teraz na niego spojrzenie, oczy miała zamglone, ale wyglądała tak, jakby chciała mu powiedzieć, że ją boli. I chociaż ręce miała nakłute igłami, próbowała je unieść i dotknąć gardła, a szkliste oczy błagały męża o pomoc. Nie mógł na to patrzeć, to go zabijało.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała znów pielęgniarka. – Prosiłabym, żeby pan wyszedł teraz z pokoju, będziemy wyjmować rurkę.

Henry ani drgnął. Nie chciał jej opuszczać. Oczy żony prosiły go, by z nią został. Jak mógłby tak po prostu wstać i wyjść?

Pielęgniarka położyła mu rękę na ramieniu.

– To zajmie tylko parę minut. Zawołam pana, gdy tylko skończymy.

Starał się nie skrzywić, nie okazać obaw. Nie, to nie chodziło o niepokój. Kogo on oszukuje? To był lęk... najprawdziwszy lęk. Nie mógł stracić tej kobiety. Utrata córki to co innego, wtedy czuł, jakby ktoś odciął mu rękę. Ale Hannah? To tak, jakby ktoś wyrwał mu serce z piersi. Bez ręki da się żyć. To niełatwe, ale można sobie z tym poradzić. Ale bez Hannah? Nie, zabrakłoby mu sił, nie przeżyłby bez niej.

– Będę obok. Siostra się tobą zaopiekuje – powiedział ciepło i dodał, jakby sam musiał to usłyszeć: – Wszystko będzie dobrze.

Wyszedł z pokoju na miękkich nogach, musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi, opuszczając Oddział Intensywnej Terapii Kardiologicznej, i poczuł, że nie może oddychać. Poczekalnia wciąż świeciła pustkami. Opadł na jedno z winylowych krzeseł i rozejrzał się dokoła. Dixon jeszcze nie wrócił. Henry nie widział chłopca od momentu, kiedy ten poszedł gdzieś z jego telefonem komórkowym, żeby zadzwonić do przyjaciół. Wciąż nie mógł uwierzyć, że znaleźli sposób, by wykorzystać Dixona, wciągnęli go w to, jego wnuka w to wciągnęli. Mój Boże, posunęli się nawet do tego, że wyszukali i wzięli na cel jego przyjaciół. I dlaczego? Z powodu wątpliwości Henry'ego? Bo chcieli zagwarantować sobie jego milczenie?

Zamknął oczy, potrząsnął głową. Nadal nie mógł w to uwierzyć. Chciał raz jeszcze zadzwonić do Allana i zapytać go, czy o tym wie. Dowiedzieć się, co tak naprawdę, do diabła, się dzieje. Jak to możliwe, żeby coś, czemu początkowo przyświecał tak szlachetny cel, zamieniło się w obrzydliwą próbę przejęcia władzy i pieniędzy?

Nieobecność wnuka tylko wzmogła jego niepokój. Ucieszył się, kiedy Dixon cały i zdrowy dotarł do niego do szpitala, ale teraz zaczął się denerwować. To normalne, że chłopak martwił się o przyjaciół, ale jego babka właśnie

przeszła poważną operację serca. Powinien być tutaj, z nią... z Henrym.

Tak, Henry potrzebował kogoś, kto by mu towarzyszył, choć za skarby świata by się do tego nie przyznał. Przez czterdzieści lat wspinał się po szczeblach kariery i pracował na sukces w interesach, sukces o zasięgu ogólnokrajowym. Sukces odnotowany w rankingu Fortune 500, rankingu najbogatszych firm świata. Nawet po przejściu na emeryturę uparcie trwał na stanowisku prezesa, zachował decydujący głos, zawsze wszystko kontrolował i zawsze nad wszystkim panował. Tak przynajmniej sądził do tej pory.

Niespodziewana operacja Hannah z całą pewnością wytrąciła go z równowagi. Podobnie zresztą jak nagła śmierć córki. Ufał, że nie może się już przytrafić nic gorszego niż tamten koszmarny dzień w kwietniu 1995 roku. Różnica była taka, że wówczas Hannah była przy nim, u jego boku.

Teraz już nic prócz niej go nie interesowało. Nie obchodziło go, że tak bardzo zboczyli z właściwej drogi. A może jednak nie było mu to obojętne? Czy tego właśnie chcieli?

Henry zaczynał pojmować, że to, co on uważał za patriotyzm i honor, jego tak zwani biznesowi partnerzy postrzegali jako metody zwiększenia marży zysku i wywarcia nacisku na siły polityczne. Popełnił błąd. Teraz już to rozumiał. W życiu najważniejsza jest rodzina. Wszystko inne – ojczyzna, biznes, nawet honor – jest na

drugim miejscu. To tragiczna ironia losu, że to, w jaki sposób pojmował rodzinę, skierowało go na tę drogę. Tyle że za bardzo z niej zboczył. Zapomniał, co stanowiło jego oryginalną misję, pozwolił, żeby duma i ideały, przy których głupio się upierał, zniszczyły wszystko inne. Wszystko, także to, co zostało z jego rodziny. Jak, do diabła, zdoła to naprawić?

Lokalne kanały telewizyjne wciąż pokazywały na żywo zdjęcia z Mall of America. Trwała właśnie konferencja prasowa, a w rogu ekranu puszczano scenę pościgu na parkingu. Wciąż nie potwierdzono liczby ofiar, mówiło się, że zginęło od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu osób. Setki zostało rannych.

Henry przetarł oczy, a potem potarł ręce. Palce mu drżały. Spojrzał w dół korytarza. Gdzie podziewa się Dixon? Powiedzieli mu, że telefon w poczekalni służy tylko do rozmów miejscowych. Na początku trzeba wybrać dziewiątkę. Chwycił słuchawkę i wybrał numer swojej komórki.

Czasami trzeba chłopakowi przypomnieć o jego obowiązkach. Rodzina powinna trzymać się razem, do cholery. Potrzebował Dixona, żeby przy nim siedział, a nie sprawdzał, co dzieje się z jego przyjaciółmi.

Po czterech, może pięciu sygnałach odezwał się głos, którego Henry nie rozpoznał.

– Długo ci to zajęło.

– Kto mówi?

– Nieważne. Na pewno chciałbyś rozmawiać ze swoim wnukiem.

W tle rozległy się jakieś stłumione głosy, a potem Henry usłyszał:

– Dziadek? Co się dzieje?

Również głos Dixona był jakiś przytłumiony, jakby chłopak znajdował się z dala od telefonu. Potem Dixon krzyknął z bólu, a Henry Lee poczuł, że osuwa się na podłogę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Patrick dość długo krążył po hotelu. Był na górze i na dole, sprawdził każdy korytarz, każde piętro oraz schody, przejechał się windą bagażową, zajrzał nawet do pralni, gotów przeprosić, gdyby na kogoś tam trafił. Nie znalazł Rebecki w żadnym z tych pomieszczeń.

Na dworze panowało lodowate zimno. Szedł ruchliwą drogą, gdzie na poboczu nie było chodników i dla pieszych pozostało niewiele miejsca. Tej nocy nie był sam. Na parkingach firm graniczących z Mall of America ruch nie ustawał, samochody wjeżdżały i wyjeżdżały.

Czy Rebecca ryzykowałaby wejście do którejś z restauracji? Nie przypuszczał. Znalezienie wolnej taksówki graniczyło z cudem. Karetki ratowników i radiowozy policyjne stały rzędem wzdłuż krawężnika, migały czerwonymi i niebieskimi światłami, ale syreny miały wyłączone. Furgonetki rozmaitych stacji telewizyjnych z antenami satelitarnymi na dachach, dziennikarzami i kamerzystami zajmowały każde wolne miejsce, jakie jeszcze pozostało. Umundurowani policjanci kierowali ruchem, wpuszczając i wypuszczając samochody z hotelowego parkingu. Wszystkie wejścia do centrum handlowego wyglądały na zabarykadowane. Samochód należący do Czerwonego Krzyża stał w pobliżu frontowej ściany centrum obok kursujących wahadłowo furgonetek.

W tym chaosie nikt nawet nie zauważył, że Patrick tam krążył, wszedł do hotelu i wyszedł z niego. Podobnie jak nikt nie zauważyłby Rebecki.

Zatrzymał się na ruchliwym skrzyżowaniu, gdzie wciąż działały światła. Samochody jadące w stronę drogi międzystanowej mogły przyśpieszyć aż do zjazdu, w przeciwieństwie do tych z naprzeciwka. Te musiały czekać w korku, posuwając się w żółwim tempie w kierunku centrum handlowego i hotelu.

Patrick próbował już znaleźć numer Dixona Lee. Niestety bez rezultatu. Nie istnieją książki telefoniczne z numerami telefonów komórkowych. Dostał za to stacjonarny numer Henry'ego Lee. Przygotował sobie, co powie dziadkowi Dixona, gdy ten odbierze telefon.

Wybrał numer i czekał. Odezwała się tylko automatyczna sekretarka.

No jasne, pan Lee był pewnie w szpitalu. Patrick nie przygotował sobie wiadomości dla automatycznej sekretarki, a zatem się rozłączył. Zaczynało mu brakować pomysłów. Przemarzł, zgłodniał i martwił się o Rebeccę.

I wtedy ją zobaczył. Rozpoznał ją po drugiej stronie ulicy. Akurat wyszła ze sklepu przy stacji benzynowej. Z początku się wahała, wciąż trzymała za klamkę, jakby w obawie, że będzie zmuszona gwałtownie zawrócić.

– Rebecca! – krzyknął. Jego głos zginął w szumie czteropasmowej zatłoczonej szosy, która ich dzieliła. Próbował przebiec na drugą stronę na czerwonym świetle, ale powstrzymał go klakson. Na jednym pasie ruchu

pojazdy poruszały się powoli, ale ci na drugim nie musieli na niego czekać i dali mu to do zrozumienia. Najwyraźniej Dobrzy Samarytanie tracili cierpliwość.

Krążył nerwowo, przesuwał się to w lewo, to w prawo, wyczekując na moment zmiany świateł, by natychmiast pognać przed siebie. Zarazem bezradnie obserwował Rebeccę, która znowu się zawahała, ale potem puściła klamkę u drzwi sklepu. Nieśpiesznie podeszła do białego sedana, pochyliła się nad opuszczoną szybą od strony pasażera, po czym wsiadła do samochodu.

Patrick westchnął z ulgą. Znał ten wóz. Spędził w nim dwa dni jako pasażer i kierowca, jadąc z Connecticut do Minnesoty. Tak, teraz widział już także Batmana, kalkomanię na tylnej szybie. To był samochód Dixona.

Dzięki Bogu.

Zaczął przechodzić na drugą stronę ulicy w chwili, gdy samochód ruszył sprzed sklepu. Puścił się biegiem, a wiatr i śnieg uderzały go w twarz. Machał rękami, chociaż samochód się oddalał, opuszczając parking. Pędem obiegł dystrybutory paliwa, gnał zygzakiem na skróty między pojazdami. Samochód Dixona wyjechał na autostradę. W tym samym momencie jakaś furgonetka zatrąbiła, o mały włos nie potrącając Patricka. Była tak blisko, że poczuł ciepło silnika. Wskoczył na krawężnik, żeby zejść z drogi kobiecie za kierownicą. Teraz mógł tylko patrzeć, jak samochód Dixona dodaje gazu i rusza w stronę zjazdu na międzystanową, nawet go nie zauważając.

Zabrakło mu tchu. W sportowych butach miał pełno śniegu. Palce zesztywniały, a mokre włosy przykleiły się do głowy. Stał tam i patrzył na tylne światła samochodu Dixona, które rozpłynęły się w ciemności.

Wszystko gra, powiedział sobie. Teraz może być spokojny. Przynajmniej Rebecca była bezpieczna.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Maggie przepychała się przez tłoczny hol. Całe piętro sal konferencyjnych hotelu zamieniło się w tymczasowe Centrum Dowodzenia. Minęła jedno pomieszczenie, które rozpoznała jako pokój rannych, i drugie, gdzie ofiary spotykały się ze swoimi rodzinami. Pokój 119 znajdował się na końcu korytarza.

Przebrała się w niebieskie dżinsy, golf i skórzane mokasyny. Smitha & wessona zostawiła w sejfie w pokoju razem z odznaką. Przy sobie miała tylko smartphone'a. Dokument tożsamości, kartę kredytową, kartę magnetyczną do otwierania drzwi pokoju i banknot dwudziestodolarowy wsunęła do kieszeni spodni.

Nick i Jerry Yarden czekali na nią przed drzwiami, uśmiechnęli się na jej widok. Domyśliła się, że widzieli już w telewizji scenę pościgu, podobnie zresztą jak pozostali. Zrozumiała to, gdy tylko weszła do pokoju. Wszyscy odwrócili się w jej stronę i kiwali głowami. Patrzyli na nią, nie spuszczali z niej wzroku.

Nie było ich wielu. Może dwanaście osób. Zespół szefa policji, Daryla Merricka, zebrał się w innym pomieszczeniu. Merrick okazał się tu najważniejszy, to on kierował akcją. Miał ręce pełne roboty: szukał ciał ofiar, zajmował się rannymi, organizował centrum informacyjne dla ofiar i ich rodzin, nie wspominając już o koszmarze, którym były

kontakty z mediami. A jednak to agencje federalne – Departament Bezpieczeństwa Krajowego oraz FBI – prowadziły śledztwo, wydawały nakazy rewizji i ścigały sprawców. To właśnie ci ludzie siedzieli teraz w pokoju numer 119. Co prawda większość z nich wciąż przebywała na miejscu zdarzenia, przeglądała szczątki i rozmawiała ze świadkami. Jeszcze wiele dni, a nawet tygodni fachowcy będą katalogować dowody i rekonstruować wydarzenia, łącząc fragmenty w jedną całość.

Charlie Wurth wrócił właśnie z konferencji prasowej. Stał na przodzie i ustawiał dużą tablicę do rysowania i pisania. Obok niego technik CSI włączył komputer i przygotował ekran do projekcji. Nick przedstawił Mag- gie Davidowi Ceimo i specjalistce od bomb o imieniu Jamie. Yarden ruszył do przodu, niosąc jump-drive z ziarnistymi obrazami – najlepszymi, jakie znaleźli – przedstawiającymi podejrzanych. Maggie słuchała Nicka i Ceimo, którzy wyjaśniali jej, skąd się znają, a równocześnie patrzyła na Yardena i Charliego Wurtha. Sprawiali wrażenie, że dyskutują, a potem Wurth wskazał na komputer. Prawdopodobnie chciał, by Yarden z nim został i pomógł poprowadzić ten pokaz.

– No dobrze, moi państwo – zaczął zastępca dyrektora Kunze, wchodząc do pokoju. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. – Wiem, że wszyscy są zmęczeni. Zaczynajmy.

Wurth skinął na Yardena i podał mu bezprzewodowego pilota.

– Proszę mówić – powiedział do niego.

Yarden chwilę się wahał. Maggie widziała, że się denerwował. Koniuszki jego uszu spurpurowiały. Był mistrzem klawiatury komputerowej, ale w półmroku pokoju z monitorami, w innej sytuacji. Teraz, gdy stał przed grupą funkcjonariuszy organów ścigania, trochę go to przerastało. Spuścił wzrok, po czym zaczął po kolei pokazywać zdjęcia na ekranie. Na monitorze komputera Maggie dojrzała parę rzędów zdjęć, a w każdym rzędzie jakieś pięć fotografii. Obrazy, teraz w formacie jpg, zostały przegrane z aparatów cyfrowych, którymi rejestrowano miejsce zbrodni. Do tego dochodziły nagrania z kamer przemysłowych, które przyniósł Yarden.

Nacisnął kilka klawiszy, a potem wyciągnął rękę z bezprzewodowym pilotem i kliknął. Na ekranie pojawiło się zdjęcie jednego z kraterów po wybuchu. Kliknął ponownie i obok ukazał się kolejny obraz. Przyglądając się uważniej, Maggie spostrzegła, że jest to zdjęcie tego samego miejsca sfilmowanego przez kamerę przed eksplozją.

– Początkowo uważaliśmy, że terrorystów jest trzech – zaczął wyjaśniać Yarden. – Potem odkryliśmy, że miejscem wybuchu jednej z bomb była damska toaleta. – Kliknął pilotem i zdjęcie sprzed eksplozji zostało zastąpione powiększeniem tabliczki na drzwiach toalety.

Odczekał parę chwil, a potem wyświetlił trzy kolejne zdjęcia: ziarniste obrazy czterech młodych mężczyzn i jednej młodej kobiety. Kiedy Maggie wpatrywała się

w ekran, uderzyło ją to, jak bardzo te zdjęcia były nieczytelne. Nigdy nie zdołają zidentyfikować tych ludzi.

– Jaka jest pani opinia, agentko O'Dell? – z końca pokoju ryknął zastępca dyrektora Kunze. – Na pewno ma już pani profil przestępców. W końcu stwierdziła pani, że ten młody człowiek z parkingu nie należy do tej piątki.

Zapadła cisza. To byli doświadczeni śledczy. Wiedzieli, że słowa Kunzego są niesprawiedliwe, nawet jeżeli tym razem nie posłużył się protekcjonalnym tonem.

– Co najmniej jeden z nich może być studentem college'u – oznajmiła Maggie. – Udało nam się dojrzeć logo na jego czapce i kurtce.

Yarden wyświetlił zbliżenia, o których wspomniała.

– Cała piątka to przedstawiciele rasy białej, między osiemnastym a dwudziestym szóstym rokiem życia. Żaden z nich nie miał na sobie nic, co budziłoby kontrowersje. Poza baseballówką i kurtką zdobywcy odznaki sportowej nic w ich ubiorze nie wskazuje na przynależność do jakiejś konkretnej organizacji czy gangu. Nie mają kolczyków ani tatuaży. Niektórzy podejrzewali, że ci młodzi ludzie mogą być powiązani z grupą taką jak DA, ale na podstawie nagrań z kamer nie znalazłam na to żadnych dowodów.

– DA to Duma Ameryki – dodał Wurth gwoli wyjaśnienia. – Do biura senatora Fostera napłynęły pewne ostrzeżenia. – Wskazał na zdjęcia i rzekł: – My mamy trzy bomby, a wy pięciu podejrzanych.

– Racja – podjęła Maggie. – Wygląda na to, że dwójka z nich przyszła do centrum handlowego z jednym

z terrorystów. A ponieważ jeden z plecaków znalazł się ostatecznie w damskiej toalecie, podejrzewamy, że młoda kobieta jest w to zamieszana. Prawdopodobnie ten drugi młody mężczyzna także. Mogę dodać, że żaden z piątki podejrzanych nie sprawiał wrażenia podenerwowanego czy niespokojnego. I żaden nie zachowywał się jak ktoś, kto jest świadomy, że za chwilę wyleci w powietrze.

– Co potwierdza moją teorię – włączyła się Jamie, specjalistka od bomb. – Istnieją wstępne dowody na to, że wszystkie trzy bomby zostały zdetonowane za pomocą zdalnego sterowania. Żadna z tych osób, jak można przypuszczać, nie wiedziała, że w plecakach są ładunki wybuchowe. A jeśli nawet wiedzieli, nie przyszło im do głowy, że detonacja nastąpi w chwili, gdy będą je mieli na plecach. W innym wypadku nie widzę żadnego powodu, by je detonować z zewnątrz. Na podstawie odnalezionych fragmentów mogę już stwierdzić, że bomby skonstruował ktoś, kto zna się na rzeczy. Zawodowiec. To zdecydowanie ktoś, kto przeszedł szkolenie, jak sobie radzić z materiałami wybuchowymi i jak z nich korzystać.

– A wracając do sprawy, o której wcześniej nam pani wspomniała – odezwał się Nick. – Mówiła pani, że nasz detonator ma pewne cechy wspólne z projektem brudnej bomby, który kiedyś pani widziała. Powiedziała nam pani, iż tamten człowiek twierdził, że robił tylko projekt badawczy. Czy był studentem?

– Pamiętam tamten detonator – odparła Jamie. – Przykro mi, ale innych szczegółów nie pamiętam. – Rozejrzała się

i zauważyła, że nie wypadło to dobrze. – Mogę się dowiedzieć – dodała.

Wurth z zadowoleniem pokiwał głową.

Za to Kunze nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– A co z takimi grupami jak DA? – spytał, patrząc znów na Maggie. – To oczywiste, że nie możemy odrzucić ich zaangażowania tylko dlatego, że żaden z tych dzieciaków nie miał na sobie T-shirtu z napisem Duma Ameryki.

– Zgadzam się – odparła Maggie. – Sprawdziłam pewne rzeczy. Baseballówka i kurtka zdobywcy odznaki sportowej reprezentują Uniwersytet Stanowy w Minnesocie w tak zwanych Bliźniaczych Miastach. W ciągu minionego roku Duma Ameryki zorganizowała dwa wiece w tamtejszych kampusach, ostatni w zeszłym miesiącu. Ale na uniwersytecie wciąż odbywają się podobne imprezy o różnym zabarwieniu ideologicznym i politycznym.

– Więc nie jest niewykluczone, że ci smarkacze należeli do organizacji? – chciał wiedzieć Kunze.

– Jak już powiedziałam, nic na to nie wskazuje, ale tak – przyznała Maggie. – To niewykluczone.

Kunze nareszcie sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego. Wyszedł z pokoju, nim spotkanie zostało zamknięte. Maggie dziwiła się, dlaczego tak się uparł, by przypisać bomby akurat tej organizacji. Z jej krótkich poszukiwań przed spotkaniem wynikało, że z tą właśnie grupą nie kojarzono do tej pory żadnych aktów przemocy czy zachowań przestępczych. Owszem, członkowie Dumy Ameryki wygłaszali pewne szokujące

opinie, ale nawet tak zwane ostrzeżenia czy groźby, które otrzymało biuro senatora Fostera, brzmiały dosyć łagodnie. Poza tym członkowie DA nie przyznali się do ataku, co byłoby dziwne, gdyby to oni za nim stali.

Wurth i Yarden przedstawili kolejne zdjęcia miejsc wybuchu. Zrobili listę informacji, dowodów i tropów. Kiedy skończyli, David Ceimo zaproponował, że zabierze ich na burgera i piwo. Maggie zastanawiała się, na co oni właściwie patrzyli przez minioną godzinę i zdała sobie sprawę, zresztą nie po raz pierwszy, że tylko funkcjonariusze organów ścigania mogą po takim spotkaniu myśleć o jedzeniu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Nick wcisnął się na siedzenie obitego skórą boksu obok Davida Ceimo. Najchętniej naplułby sobie w brodę. Za długo się wahał. Przesadnie nadrabiał miną. Nie chciał, żeby było dla wszystkich oczywiste, że ma ochotę usiąść obok Maggie, a teraz Yarden go ubiegł. Co więcej, Yarden wpakował się między Maggie i Jamie, podczas gdy David Ceimo i Nick zajęli miejsca po przeciwnej stronie dużego narożnego boksu. Zastępca dyrektora Charlie Wurth obiecał później do nich dołączyć. Nick wiedział, że powinien był także zaprosić zastępcę dyrektora Kunzego, ale nigdzie nie mógł znaleźć tego gościa z FBI. Opuścił ich przed końcem spotkania i nikt nie miał pojęcia, dokąd się udał.

Nick cieszył się, że choć na godzinę czy dwie znalazł się z dala od miejsca zbrodni. Jako szeryf, a potem prokurator zaliczył mnóstwo takich okazji, ale nigdy nie miał do czynienia ze zbrodnią tego kalibru, z tak dużą liczbą ofiar. Czuł ogromny szacunek dla tych, którzy wciąż przebywali w centrum handlowym, chodzili wokół kraterów, zbierając i przesiewając dowody.

W piątkowy wieczór pub w angielskim stylu o wdzięcznej nazwie „Róża i Korona” był przepełniony. Przedsionek wypełniał tłum chętnych, okazało się jednak, że właścicielem tego pubu jest starszy brat Ceimo, Chris. Osobiście wpuścił do środka piątkę gości i zaprowadził ich

do spokojniejszej z dwóch sal. Właśnie wrócił z nakryciami, podał dużego formatu menu i przyjął zamówienia na drinki.

– Na koszt firmy – powiedział Chris.

– Nie – odparł David. – Nie zgadzam się.

– Dziś wieczorem nie przyjmę zapłaty od żadnego z funkcjonariuszy. – Starszy Ceimo był niższy od brata, przystojny, łatwo się uśmiechał, ale ciemne oczy miał poważne. – Wszyscy w jakimś stopniu zarabiamy na życie dzięki temu centrum handlowemu i lotnisku. Jak zdarza się coś takiego, musimy jakoś się włączyć. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Kiedy Chris się oddalił odprowadzany przez nich wzrokiem, David rzekł:

– Jego partner przyniósł do centrum mnóstwo żarcia. Musiałem mu pomóc przejść przez ochronę. Mało co, a byliby go nie wpuścili, dopóki szef policji Merrick nie zauważył kanapek z pastrami. – Uśmiechnął się, najwyraźniej dumny ze starszego brata. – Przytargał chyba ze cztery albo i pięć tuzinów kanapek.

– Tak, to był miły gest – powiedziała Jamie. – Ludzie zwykle nie myślą o tym, że my też musimy jeść. Mój chłopak nie może się nadziwić, że w ogóle chce nam się jeść, ale po sześciu czy siedmiu godzinach pracy człowiek robi się głodny.

– Jeśli chcecie, poproszę Chrisa, żeby wyłączył telewizor. – David wskazał na jeden z wielu ekranów wiszących na ścianie. Ten akurat znajdował się jakieś półtora metra od

nich, tuż nad prawym ramieniem Nicka. Głos był ściszony, a na dole ekranu biegł pasek z napisami.

Nick spojrzał na Maggie, David zrobił to samo. Kiedy czekali na jej odpowiedź, na ekranie pokazywano właśnie jej słynny już pościg.

– Mnie nie przeszkadza – odparła po chwili, gdy zdała sobie sprawę, że to ona ma podjąć decyzję. – Zresztą jak pojawi się coś nowego albo nastąpi jakiś przełom w sprawie, jak inaczej się dowiemy?

Wszyscy się roześmieli. Nick uświadomił sobie, że pewnie każdy z nich zna z doświadczenia jakąś historię o rewelacjach mediów, które udaremniły prowadzone przez nich sprawy. A jednak wątpił, by komukolwiek z nich stanął na drodze ktoś z bliskiej rodziny. Jego siostra Christine, dziennikarka, zrobiła mu to dwa razy. Raz nawet przy okazji naraziła bezpieczeństwo swojego syna Timmy’ego. Nick liczył, że dostała nauczkę, mimo to jej nie ufał. Zachowywała się tak, jakby nie mogła się powstrzymać, zapanować nad tym. Zupełnie jak narkoman. Zresztą również w tej chwili nie odpowiadał na jej telefony. Nie był pewien, czy martwiła się o niego, czy szukała sensacyjnego materiału.

Nagle uprzytomnił sobie, że Christine może dzwonić z wiadomością o ojcu, ale przecież ona tak czy owak tym właśnie by się wytłumaczyła. W ciągu paru minionych miesięcy stan zdrowia Antonia Morrellego pogorszył się, było coraz gorzej, bez nadziei na poprawę. Po wylewie, którego dostał cztery lata temu, był już tylko cieniem

samego siebie. Ale niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nick uważał, że ojciec trwa przy życiu na złość im wszystkim, żeby zepsuć Boże Narodzenie. Swoją drogą może w głębi duszy Nick liczył, że ojciec przeżyje. Czy chciał to przyznać, czy nie, nie był jeszcze całkiem gotowy na śmierć ojca, na to, by już na zawsze zniknął z jego życia.

Podrapał się w pokrytą zarostem brodę i przetarł oczy. Kiedy podniósł wzrok, napotkał oczy Maggie, która patrzyła na niego przez stolik. Pozostali rozmawiali o jedzeniu, skupieni na jadłospisie. Ale nie Maggie. Trzymając łokieć na półce dzielącej boks od ściany, wsparła policzek na ręce. David Ceimo siedział dokładnie na wprost niej, zaś Yarden obok niej, jednak ona patrzyła po przekątnej na Nicka.

Z początku odwrócił wzrok. Kiedy znów przeniósł na nią spojrzenie, wciąż się w niego wpatrywała. Tym razem już nie uciekał, pomimo rozpaczliwego ucisku w żołądku. Wyglądała na zmęczoną, ale lekko się uśmiechała. Patrzyła poważnie, z uwagą, którą tak dobrze znał. Od pierwszej chwili, gdy spotkał Maggie O’Dell, miał wrażenie, że jej oczy widzą każdego na przestrzał i nic im nie umknie.

W tym momencie przyniesiono drinki. Zanim Chris postawił je na stoliku, Yarden wskazał na ekran telewizora, machając ręką, żeby zwrócić ich uwagę.

– Jasna cholera – wypalił, unosząc się lekko, żeby lepiej widzieć. – Mają zdjęcia tych terrorystów.

Nick obejrzał się przez ramię. Na środku ekranu widniały zdjęcia trzech młodych mężczyzn. Pod zdjęciami pojawiły

się nazwiska, a na dole ekranu przesuwał się pasek wiadomości.

Chris pogłośnił odbiornik.

– ...ostatnio widziani. Dwa nieujawnione źródła potwierdziły tożsamość trzech mężczyzn rzekomo mających związek z eksplozjami w Mall of America. Wszyscy trzej są studentami, dwaj Uniwersytetu Stanowego w Minnesocie, a trzeci Uniwersytetu Stanowego w New Haven w Connecticut. Ci trzej młodzi ludzie to Chad Hendricks z St. Paul w stanie Minnesota, Tyler Bennett, także z St. Paul w stanie Minnesota oraz Patrick Murphy z Green Bay w stanie Wisconsin.

– O kurwa! – rzucił Ceimo. – Na podstawie jakich źródeł tak stwierdzili? Skąd, do diabła, zdobyli zdjęcia i nazwiska? – Wyjmował smartphone'a z kieszeni kurtki, wychodząc z boksu.

Nick nie wstał i nie przesunął się.

Siedząc wciąż przy stole, patrzył na twarze zgromadzonych. Yarden i Jamie wpatrywali się w ekran telewizora. Maggie pobladła, zaczęła nerwowo szukać komórki.

– O co chodzi? – spytał Nick.

Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

– Patrick Murphy.

Zauważył, że lekko drżą jej dłonie. Nacisnęła przycisk menu, po czym gorączkowo szukała numeru.

Podniosła wzrok na Nicka. Zdawało mu się, że przez moment dojrzał w jej oczach cień paniki, nim znowu się

odwróciła. Nie patrząc na niego, oznajmiła:

– Patrick Murphy to mój przyrodni brat.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Maggie przeprosiła kolegów, gdyż nagle, siedząc przy ścianie, poczuła się jak w klatce. Yarden i Jamie przesuwali się strasznie powoli, a ona pragnęła pilnie uwolnić się z tej klatki. Czuła, że musi natychmiast zostawić za sobą cały ten zgiełk, tłum i ciekawskie, a równocześnie zatroskane spojrzenie Nicka. Uciekła do toalety, gdzie z kolei zastała długą kolejkę do kabin. Ale tam przynajmniej było cicho, nie licząc rozmów prowadzonych przez telefony komórkowe.

Wyszukała numer Patricka. Dzwoniła do niego tydzień temu – no, prawie dziesięć dni temu, z zaproszeniem na Święto Dziękczynienia. Oznajmił, że ma inne plany. Wyjeżdżał gdzieś z przyjaciółmi. Udała, że nic się nie stało i nie jest jej przykro.

Teraz dręczyły ją wyrzuty sumienia. Była dorosła, dwanaście lat starsza od Patricka, a jednak nie miała pojęcia, jak wejść w rolę kogoś, to planuje i decyduje. Nie potrafiła być starszą siostrą, zachowywać się jak przystało starszej siostrze. Do diabła, życie rodzinne było dla niej kompletnie obcym terytorium.

Przeglądając menu telefonu, zastanawiała się, dlaczego nie nauczyła się numeru Patricka na pamięć. Zapamiętywała bez problemu wiele numerów i detali. Nawet robiąc notatki podczas oglądania nagrań z kamer,

wiedziała, że tak naprawdę ich nie potrzebuje. Kiedy przed dwoma laty odkryła, że ma przyrodniego brata, przeżyła szok. Nie tylko z powodu samego faktu jego posiadania, ale dlatego, że kompletnie zmieniało to obraz ojca. Ojca, którego kochała i za którym tęskniła, którego wspominała z podziwem. Tymczasem, jak się okazało, ten sam ojciec prowadził drugie potajemne życie. Przez dwie dekady matka ukrywała to przed nią. Patrick przypominał o tym Maggie z wyrzutem, ilekroć się spotykali czy rozmawiali. To było szalone, wiedziała, że musi znaleźć sposób na rozwiązanie tej sytuacji, jeśli w ogóle chce utrzymywać z nim bliskie stosunki. Fakt, że nie miała jego numeru w spisie kontaktów, uprzytomnił jej po raz kolejny, że nie jest na to gotowa. Teraz mogła tylko liczyć na to, że numer Patricka znajduje się w historii połączeń.

Jej palce trafiały w niewłaściwe klawisze. Musi się skupić, skoncentrować, nie zwracać uwagi na szum wody spuszczanej w toalecie ani małą dziewczynkę, która upierała się, że sama wejdzie do kabiny. Zza drzwi kabin dochodziły odgłosy rozmów. Czy nawet w toalecie ludzie nie są w stanie powstrzymać się od rozmów przez telefon, czy także i tam muszą opowiadać, co u nich słychać? Tego wieczoru rozmowy okraszone były niepokojem i poruszeniem związanym z wybuchami bomb i ujawnieniem nazwisk podejrzanych.

W końcu Maggie odnalazła połączenie. Już chciała nacisnąć „Oddzwoń”, gdy rozejrzawszy się dokoła, jednak zrezygnowała. Jak właściwie ma to zrobić? Odsunęła się od

kolejki, stając w drugim rogu obok umywalki, nad którą na lustrze widniał napis „Nieczynna”. Nacisnęła przycisk, zamknęła oczy i czekała. Patrick odezwał się po pierwszym sygnale.

– Becca? – Był zdyszany i zdenerwowany.

Nie miała pojęcia, kim jest Becca. Oczywiście, że nie znała nawet przyjaciół swojego brata.

– Patrick, mówi Maggie.

Cisza trwała tak długo, że bała się, iż Patrick się rozłączył.

– Patrick, jesteś w to zamieszany?

Chciała, żeby zapytał: „W co?”. Może nawet udał, że nie wie, o co jej chodzi.

– Nie byłem z Chadem i Tylerem, jeśli o to pytasz.

Maggie oparła się o wykafelkowaną ścianę. Boże! On ich zna, mówi o nich po imieniu. To jego kumple. A ci kumple są podejrzani.

– Znasz ich?

– To byli znajomi jednego z moich przyjaciół, z którym tam byłem. – Wypuścił powietrze. – Kiepski argument, co?

Mówił jak dzieciak. Czy była kiedyś taka młoda i naiwna? Zauważyła, że powiedział „byli”. Czas przeszły. Czy miał świadomość, że ci dwaj młodzi mężczyźni nie żyją?

– Jesteś poszukiwany – oznajmiła, wściekła na siebie, że mówi jak agentka FBI, a nie jak siostra. Dlaczego jej to kompletnie nie wychodzi?

– Tak, widziałem.

– Gdzie jesteś?

Cisza.

– Patrick, musisz mi zaufać, inaczej nie będę w stanie ci pomóc.

– Muszę to przemyśleć.

Coraz bardziej rozdygotana krążyła nerwowo, chodziła tu i tam na tyle, na ile kąt toalety jej pozwalał. Nad czym się tu zastanawiać? Czy może jej zaufać? Czy chce jej pomocy?

– Dam ci znać – rzekł w końcu w wyraźnym pośpiechu, a potem się rozłączył. Ciszę zastąpił ciągły sygnał.

– Niech to szlag!

Ten wybuch złości ją samą zaskoczył i przyciągnął uwagę innych. Ucichły nawet rozmowy w kabinach. Jakby nigdy nic ruszyła w stronę drzwi. Tym razem kolejka się rozstąpiła. Maggie nie musiała przepraszać ani się przepychać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Asante zjadł cheeseburgera i frytki i zostawił rozsądny napiwek. Zwyczajny posiłek, który niczym się nie wyróżniał, i normalny napiwek, który nie zrobi ani negatywnego, ani pozytywnego wrażenia. Zwyczajność, jak przekonał się dawno temu, to klucz, by stać się niewidzialnym.

Zawracając w stronę swojego wyjścia, przy wszystkich innych wyjściach zauważył grupy ludzi zebranych przed monitorami telewizorów. Zatrzymał się tak jak inni, ci przed nim i ci za nim, chociaż już wiedział, co wywołało takie zainteresowanie. Lokalna stacja telewizyjna postanowiła ujawnić zdjęcia, które jej pracownicy zdobyli nielegalnie. Przez chwilę się przyglądał, a potem ruszył dalej, po drodze zerkając na mijane telewizyjne ekrany. Należało przynajmniej udawać zaciekawienie i zaskoczenie, a także właściwe tej sytuacji oburzenie.

Przy jego wyjściu było już pełno, nie znalazł ani jednego wolnego siedzącego miejsca. Stali klienci, którzy chcieli wejść na pokład jako pierwsi, czatowali przy drzwiach. Duże bagaże podręczne postawili na podłodze, uniemożliwiając innym zajęcie ich pozycji czy choćby przejście.

Asante nie znosił podróżować samolotem. W ostatnich latach standard podróży się pogorszył. Gdzieś zapodziały się dobre maniery i etykieta. Ludzie traktowali poczekalnie

jak własne mieszkanie, rzucali płaszcze i torby na krzesła, które powinny służyć innym pasażerom. Z telefonami komórkowymi w ręce zajadali fast foody, prowadząc głośne rozmowy, nieprzeznaczone dla obcych uszu. Pozwalali dzieciom krzyczeć, raczkować na podłodze i biegać. Na lotniskach było niemal tak źle jak w centrach handlowych. I chociaż do każdego ze swoich projektów podchodził z pełnym profesjonalizmem, musiał przyznać, że wysadzenie w powietrze największego centrum handlowego w Ameryce sprawiło mu pewną przyjemność. Ogromnie miło będzie też podłożyć ładunek wybuchowy na jednym z najbardziej oblężonych przez podróżnych lotnisk, i to w dniu, gdy przemieszcza się tam największa liczba osób.

Zbliżając się do informacji, z zadowoleniem stwierdził, że nie będzie zmuszony zadawać wielu pytań ani też podsłuchiwać innych, którzy wypytują pracownika linii lotniczych. Obok numeru jego lotu i celu podróży widniał czas odlotu. Pozostała mu jeszcze godzina, ale informacja świadczyła o tym, że samolot wyleciał z Chicago, a w każdym razie został już odprawiony.

Usadowił się w pobliżu jednego z monitorów telewizyjnych. Została mu tylko godzina. Przez godzinę może udawać zainteresowanie tą tragedią.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Patrick wsadził ręce głęboko do kieszeni kurtki. Wciąż ściskał w dłoni telefon komórkowy. Jak może jej ufać? Ledwie ją zna. Przecież całkiem niedawno dowiedział się o jej istnieniu. Mieli wspólnego ojca. Ona była legalną córką z legalnego małżeństwa, on zaś nieślubnym dzieckiem. Ich matki trzymały to w tajemnicy, jedna i druga kryła przed swoim dzieckiem, że ma przyrodnie rodzeństwo. Jakiś pokręcony pakt, który matka Patricka nazwała potem „poważnym błędem”. Oczywiście powiedziała tak dopiero wtedy, gdy sprawa wyszła na jaw.

Teraz Patrick stał w przedsionku restauracji sąsiadującej z centrum handlowym. Wszedł tutaj, żeby się ogrzać, usiąść i może coś zjeść. Restauracja była pełna, mimo to znalazł wolny stołek barowy i zamówił Sama Adamsa. Popijając pierwszy łyk, przeglądał menu. Wtedy zobaczył najnowsze wiadomości.

Monitory telewizyjne znajdowały się za barem, wysoko na ścianie, wszyscy na nie patrzyli i wskazywali palcem.

Patrick omal się nie zakrztusił. Wciąż nie wierzył, że to jego zdjęcie, podpisane jego nazwiskiem. Właśnie upił pierwszy łyk piwa. Ledwie go przełknął. Dlaczego policja uważa, że on ma coś wspólnego z tymi bombami? A teraz jeszcze Maggie. Nie znał Chada ani Tylera. Nigdy ich

osobiście nie spotkał. Dziś rano Dixon jedynie pokazał mu ich w centrum handlowym. To wszystko.

Znów stał na zimnie, trząsł się i szczękał zębami. Był przemoknięty od stóp do głów. Zawrócił do hotelu, nikomu nie patrząc w oczy, ze spuszczoną głową, choć miał poważne wątpliwości, czy ktoś rozpoznałby go w takim stanie.

Zdał sobie sprawę, że zna hotel lepiej niż wszystkie inne miejsca, a jeśli miałby się gdzieś ukryć, hotel wydał mu się najlepszy. Ruszył schodami na trzecie piętro, wiedząc już, że tam jest najspokojniej. Zanim wszedł do pomieszczenia pralni, upewnił się, czy nikogo tam nie ma. Wziął ręczniki, żeby się powycierać i wysuszyć. Znalazł nawet czysty roboczy kombinezon.

Zdjął mokre ubrania, zrolował je w ręcznikach i wrzucił do jednej z suszarek. Kombinezon był rozmiar za duży, więc Patrick musiał podwinąć mankiety. Ale za to był ciepły i suchy. Postanowił zdjąć także przemoczone buty i skarpetki i również wrzucił je do suszarki. Gdyby przyłapała go któraś z pokojówek, znał na tyle język hiszpański, żeby wymyślić wiarygodną historyjkę. Zresztą o tej porze, wieczorem, nie spodziewał się spotkać zbyt dużo personelu.

Nagle usłyszał odgłosy windy bagażowej. Zatrzymała się na trzecim piętrze. Rozpoznał dźwięk rozsuwających się drzwi. Wyjrzał na korytarz, ale natychmiast schował głowę, widząc wysiadającego z windy mężczyznę. Potężnego mężczyznę w niebieskim uniformie. Przycisnął się do

ściany, częściowo schowany za półkami z poskładanymi ręcznikami, i wstrzymał oddech.

Nie przypuszczał, by po raz drugi zdołał nabrać ochroniarza o imieniu Frank.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Maggie nie uszła daleko, kiedy jej telefon zaczął dzwonić. Nie rozpoznała numeru. Kierunkowy był miejscowy. Czy to możliwe, żeby Patrick dzwonił z automatu? A może z telefonu przyjaciela?

– Maggie O’Dell, słucham.

Cisza.

Potem odezwał się męski chropawy głos:

– Agentka specjalna Margaret O’Dell?

Tak mówiono o niej w telewizyjnych wiadomościach. Przestąpiła z nogi na nogę, skrzyżowała ramiona na piersi, zmęczenie ustąpiło panice. To był ktoś, kto widział jej niesławny pościg. Ktoś, kto miał dostęp do zastrzeżonego numeru jej telefonu komórkowego.

– Kto mówi? – spytała niezbyt grzecznie.

– Mam pewne informacje o tym incydencie... w centrum handlowym. O tym, co tam się stało.

Mężczyzna był zadyszany, zmęczony, pełen wahania. Maggie domyśliła się z jego głosu, że był starszy od tych studentów college’u, których media obwiniały za ów „incydent”.

– Chce pan powiedzieć, że widział pan to?

– Nie.

– Ale był pan w centrum handlowym.

– Nie... nie było mnie tam.

Denerwował się. Musiała odczekać. Ludzie wyznają więcej, kiedy zapada cisza, niż wtedy, gdy są wypytywani.

– Mam pewne informacje.

Znowu zamilkł.

– Słucham – odezwała się wreszcie, bo już myślała, że straciła połączenie.

– Mam pewne informacje. To wszystko, co powinna pani wiedzieć w tej chwili. – Był już bliski złości, poirytowany, fizycznie wyczerpany. – Proszę posłuchać, moja żona właśnie przeszła operację. Jestem trochę zmęczony – rzekł nie w ramach przeprosin, ale raczej po to, żeby się uspokoić. – Powiem pani wszystko, co wiem. Tylko pani, nikomu innemu. Pani jest agentką, która uratowała tego chłopca, prawda?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy podjął:

– Ale pani musi do mnie przyjechać. Musi pani przyjechać tam, gdzie powiem, żebym miał pewność, że nie będą mnie podsłuchiwać.

– Okej – odparła Maggie. Czy rzeczywiście coś wiedział? Czy to tylko jakiś szaleniec, który stara się zwrócić na siebie uwagę? I jak zdobył numer jej telefonu?

– Oni mają mojego wnuka – wybuchnął nagle. – Tutaj dranie przekroczyli granicę.

Wiedziała, że pytanie, kim są „oni” prowadzi donikąd. Nie podał jej nawet swojego nazwiska. Powiedział za to dokładnie, gdzie mają się spotkać. Nie miała problemu ze zlokalizowaniem tego miejsca ani z długą listą instrukcji,

chociaż nie była pewna, jak to urządzić. Z całą pewnością nie włączy w to zastępcy dyrektora Kunzego.

Kiedy mężczyzna się rozłączył, Maggie uświadomiła sobie, że zna tylko jedną osobę, do której może się zwrócić. Zaczęła szukać prawej ręki gubernatora.

Znalazła Davida Ceimo w restauracyjnej kuchni, rozmawiał przez telefon komórkowy, który zostawił już czerwony ślad na jego policzku.

– Chcę wiedzieć, skąd mieli informacje, przestańcie mi pieprzyć o anonimowych informatorach! – wrzasnął, przekrzykując stukot garnków i patelni. – Gówno mnie to obchodzi. Dowiedzcie się!

Ceimo wzruszył ramionami i uśmiechnął się na jej widok. Oparła się o stalowe półki, żeby przepuścić szefa kuchni.

– I co?

– Zdjęcia zostały przesłane anonimowym e-mailem do pracownika stacji telewizyjnej. – Odgarnął z czoła kosmyk gęstych brązowych włosów, a ten zaraz opadł z powrotem. Ponowił próbę bez sukcesu. – Mówią, że mają potwierdzenie z dwóch źródeł.

– Źródeł zbliżonych do śledztwa?

– Z tego, co słyszałem, raczej nie. Tylko tyle, że z dwóch niezależnych źródeł. – Zaznaczył palcami w powietrzu cudzysłów. – Jak do tego doszło, że media, zamiast obiektywnie przekazywać informacje, robią ze wszystkiego sensację?

Musieli zejść z drogi kelnerowi, który usiłował wyjąć tacę z lodówki. Kuchnia, choć idealnie czysta, była dość ciasna.

Maggie przeniosła się na drugą stronę wąskiego długiego stołu, który przypominał rozbudowaną wersję tacy z deserami.

– Właśnie otrzymałam intrygujący telefon – oznajmiła, zerkając na tiramisu i sernik. – Oraz interesującą prośbę.

Ceimo zmrużył oczy i spojrzał na nią. Lepiej niż ona potrafił odciąć się od kuchennych działań. Maggie rozglądała się dokoła, zawsze czujna, usiłowała widzieć wszystko naraz. Żołądek przypominał jej, że nic nie jadła i kierował jej wzrok na desery.

– Co to za prośba? – zniecierpliwił się Ceimo.

– Rozmówca twierdzi, że ma jakieś informacje.

– Jakie informacje?

– Powie to tylko osobiście, i tylko mnie.

– Widział panią w telewizji – stwierdził ku jej zaskoczeniu. Nick Morrelli przedstawił jej Davida Ceimo jako byłego rywala z drużyny piłkarskiej. Męska uroda i urok sprawiły, że Maggie nie doceniła jego intelektu, co zresztą przytrafiło jej się również w przypadku Nicka.

– A jeżeli to jakiś wariat?

– Wariaci to moja specjalność. – Przekazała mu szczegóły rozmowy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Nick żałował, że nie znajduje pretekstu, by zostać w suvie Ceimo i pojechać dalej z nim i Maggie. Ci dwoje najwyraźniej coś przed nim ukrywali. Poczuł nawet ukłucie zazdrości. To idiotyczne. Oczywiście, że idiotyczne. Maggie zwróciła się do Ceimo wyłącznie ze względu na jego znajomości. Nick zastanawiał się, czy miało to coś wspólnego z jej przyrodnim bratem. Chciał ją o to zapytać. Zapytałby, gdyby znowu nie znalazł się w fatalnym miejscu, ściśnięty na tyle suva między Yardenem i Jamie.

– Dajcie mi znać, gdybym mógł w czymś pomóc – powiedział tylko, kiedy Ceimo wyrzucił ich przed hotelem.

Nick ruszył za Yardenem i Jamie do Centrum Dowodzenia. Wydawało się, że dopiero co stąd wyszli. Charlie Wurth wciąż tam siedział, a Kunze właśnie skądś wrócił.

Nick nalał sobie kawę i dodawał śmietankę, gdy Kunze rzekł do niego:

– Charlie mówi, że była z wami O’Dell.

– Była.

Kunze spojrzał na drzwi.

– Pojechała gdzieś z Ceimo – wtrącił Yarden.

– Gdzie dokładnie?

– Nie mówili. – Nick wzruszył ramionami, sącząc kawę.

Kunze przeklął pod nosem, wygrzebując z kieszeni kurtki telefon komórkowy. Głośno stąpając, wybierał numer w tym samym momencie, gdy zastępca dyrektora Charlie Wurth poprosił wszystkich o zajęcie miejsc.

Wurth zaczął pisać na dużej tablicy.

– Tutaj jest to, co wiemy do tej pory. Nie mieliśmy dużo czasu. Informacje wciąż napływają. Proszę mi śmiało przerywać, jeśli macie państwo jakieś pytania albo chcecie coś dodać. Nie musimy przestrzegać żadnego protokołu.

Na tablicy pod „Podejrzani” wypisał imiona i nazwiska trzech młodych mężczyzn, które rozpowszechniły już media:

Chad Hendricks, lat 19, St. Paul, Minnesota

Tyler Bennett, lat 19, St. Paul, Minnesota

Patrick Murphy, lat 23, Green Bay, Wisconsin.

Połączył Chada i Tylera nawiasem, a potem dopisał:

Mieszkają w jednym pokoju w akademiku.

– Dwóch agentów z nakazem rewizji jest w drodze do kampusu, gdzie mieszkali ci dwaj młodzi mężczyźni. Prawdopodobnie chodzili też razem do szkoły podstawowej i średniej.

Zastępca dyrektora Kunze rozdał kopie zdjęć trzech podejrzanych. Zatrzymał się przy stoliku Nicka i Yardena.

– Czy nagrania z kamer mogą potwierdzić, że ci trzej to właśnie ludzie z czerwonymi plecakami?

Przyjrzeli się zdjęciom. Nick, czemu trudno się dziwić, nie lubił, gdy ktoś stawiał go w niezręcznej sytuacji. Yarden też za tym nie przepadał.

– Widział pan, jakiej jakości są te nagrania. Trudno powiedzieć – odparł Nick. – Hendricks na pewno. – Wskazał na zdjęcie Chada. Było to zdjęcie portretowe, prawdopodobnie z jakiegoś serwisu sportowego. To on był bez wątpienia tym chłopakiem w czapce baseballówce Golden Gopher. Oglądali nagrania z kamer wystarczającą liczbę razy, żeby go zidentyfikować.

Yarden kiwał głową, jakby zamiast szyi miał sprężynę.

– Ten to może być Bennett. – Nick postukał palcem w fotografię Tylera. – Ale Patrick Murphy... Nie dysponujemy dostateczną ilością nagrań, żeby mieć absolutną pewność. – Chciał wrócić do pokoju z monitorami. Zastanawiał się, czy gdyby raz jeszcze przejrzał materiał z uwagą, byłby w stanie stwierdzić, który z mężczyzn jest przyrodnim bratem Maggie.

– Tak, zdecydowanie Hendricks i Bennett – rzekł Yarden z przekonaniem. Nie chodziło mu o to, by poprzeć Nicka. Być może był nieśmiały, ale znał się na tej robocie. – Nie zdołaliśmy dobrze się przyjrzeć trzeciemu terroryście ani dwójce osób, która mu towarzyszyła. Wszyscy zniknęli w barze.

– Co to znaczy zniknęli? – spytał zastępca dyrektora Kunze.

– W miejscu, gdzie są samoobsługowe bary, nie ma kamer.

– Ani jednej?

– Ani jednej, sir.

Nick już zamierzał wystąpić w obronie przestarzałego systemu zabezpieczeń, który miał służyć do śledzenia

sklepowych złodziei, a nie terrorystów, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Ochrona centrum handlowego nie obejmuje tego terenu... – zaczął wyjaśniać Yarden.

– Nie przewidzieliśmy – przerwał mu Charlie Wurth – że nasze centra handlowe staną się celem terrorystów. Z tego samego powodu funkcjonariusze ochrony nie są uzbrojeni. Już dawno należało wprowadzić pewne zmiany.

– Ciekawe, że stacja telewizyjna nie dysponuje zdjęciem dziewczyny – zauważył Nick.

Wszyscy przenieśli na niego uwagę. Nawet zastępca dyrektora Kunze zamilkł.

– A co to może znaczyć? – spytał Charlie Wurth.

– Na przykład że osoba, która przekazała mediom te zdjęcia, nie wiedziała, że dziewczyna miała przy sobie plecak z jedną z bomb. – Kunze splótł ręce na piersi. – Przynajmniej nie był to wyciek z naszej grupy. Zróbmy wszystko, żeby tak pozostało.

– Czy istnieje jakikolwiek dowód na to – Charlie Wurth spojrzał na Jamie – że terroryści zginęli podczas wybuchów?

– Wstępnie mogę to potwierdzić, jeśli chodzi o dwóch z nich. W ładunku, który eksplodował w damskiej toalecie, nie znaleźliśmy ludzkich szczątków.

– Jest pani w stanie to określić? – Nick nie wyobrażał sobie, co czuje człowiek, który przesiewa szczątki i dochodzi do podobnego wniosku.

– Nie będę wchodzić w drastyczne szczegóły. – Jamie chyba czytała mu w myślach. – Ale tak, jesteśmy w stanie to zrobić.

– Więc istnieje prawdopodobieństwo, że troje z nich uciekło – rzekł Kunze, jakby to była zniewaga.

– Proszę nie zapominać o tym dupku z pilotem – przypomniał mu Wurth. – On także przeżył. Założę się o wszystko, że to on dostarczył mediom zdjęcia.

Rozległo się pukanie. Zebrani odwrócili głowy. Kunze znajdował się najbliżej drzwi, ale zamiast je po prostu otworzyć i wpuścić intruza, wyszedł na zewnątrz. Po chwili wrócił. Nikt się nie ruszył, idąc za przykładem Wurtha, który stał nieruchomo.

– Morrelli, Yarden. – Kunze przywołał ich gestem.

W żaden sposób nie zdradził im, o co chodzi. Bez słowa wyprowadził ich z pokoju. Dał jeszcze tylko Wurthowi znak ręką, żeby kontynuował.

Kunze zaprowadził ich do czekającej z boku pary. Mężczyzna miał na sobie długi kaszmirowy płaszcz. Równie kosztowny płaszcz kobiety był ze skóry.

Jerry Yarden chyba ich rozpoznał, zanim Kunze dokonał prezentacji. Jego uszy znowu poczerwieniały, szeroko otworzył oczy. To nie zapowiadało nic dobrego.

– Państwo Champan przyjechali, kiedy was tutaj nie było. Prosiłem, żeby jeszcze do nas zaszli. Pani Chapman, panie Chapman, to jest Nick Morrelli i Jerry Yarden z United Allied Security. Państwo Chapman są większościowymi udziałowcami Mall of America.

Nick odetchnął. Ci świetnie ubrani ludzie pragną zapewne wyrazić im swoje uznanie. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się mylił do momentu, gdy pani Chapman zmarszczyła brwi i zapytała:

– Co, na Boga jedynego, nawaliło?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Rebecca powinna była zaufać swojemu instynktowi. Zanim wsiadła do samochodu Dixona, czuła, że coś nie gra. Dixon nie odwrócił się do niej, nie spojrzał na nią, a do tego ukrywał przed nią lewą stronę twarzy. Chociaż gdyby zobaczyła jego podbite oko, i tak by wsiadła. Zmartwiłaby się i chciałaby wiedzieć, co takiego się stało.

Nie, nie chodziło nawet o to, że unikał jej wzroku. To raczej coś innego, jakaś atmosfera napięcia, niemal dotykalny strach.

Mimo wszystko jej instynkt nigdy by nie przewidział, że na tylnym siedzeniu kryje się człowiek z bronią. Nie przewidziałby także, że kobieta z furgonetki, która nazwała ją Becky i proponowała podwiezienie, pchnie ją twarzą w śnieg i zwiąże nadgarstki plastikową taśmą.

Teraz Rebecca siedziała całkiem sama w jakiejś ciemnej, śmierdzącej benzyną zimnej norze. W jej głowie kłębiły się myśli. Kim są ci ludzie? O co im chodzi? Czy Dixon ma jakiś związek z wybuchami w centrum handlowym? A Patrick? Czego od niej chcą? Nie znała odpowiedzi. I nic nie widziała.

Jej oczy z wolna przywykały do ciemności. To była chyba jakaś piwnica albo tunel. Na suficie znajdującym się niecałe półtora metra nad podłogą widniały drewniane krokwie. Podłogę tworzył zimny twardy beton. Ściany były

z betonowych bloków. Żadnych okien. W suficie klapa, jakiś metr na metr, bez prowadzących do niej schodków. Nie zamykała się szczelnie albo też ktoś w pośpiechu jej nie domknął. Przez szparę sączyło się światło, padające na lewą stronę tej nory. Wrzucili tutaj Rebeccę z rękami związanymi w nadgarstkach. Upadła na zranione ramię. Poczuła strużkę krwi i wiedziała, że puścił jakiś szew. Ból nie był najważniejszy. Nic nie mogło przebić jej strachu.

Do tej pory była razem z Dixonem. Opuścili jego samochód na długoterminowym parkingu na lotnisku. Nadal padał śnieg. Rebecca szukała wzrokiem jakichś znaków życia, samochodów ochrony, autobusów, jakichś innych zmotoryzowanych osób, ludzi wracających do swoich aut. Nie widziała kompletnie nikogo. Nawet gdyby odważyła się krzyknąć, nikt by jej nie usłyszał.

Kobieta w furgonetce jechała tuż za nimi. Na parkingu wyciągnęła Rebeccę z samochodu i pchnęła na ziemię, na śnieg, po czym związała jej ręce w nadgarstkach tak mocno, że plastikowa taśma wrzynała się w skórę. Później wsadzili Rebeccę i Dixona na tył furgonetki. Mężczyzna z bronią przykucnął obok nich.

Dixon w dalszym ciągu nie patrzył jej w oczy. Wyglądał okropnie. Z tej samej strony twarzy, gdzie miał podbite oko, krwawiła warga. Musieli go ciągnąć za włosy, bo wciąż mu sterczały. W światłach mijających samochodów Rebecca dojrzała podartą kurtkę i brudne na kolanach dżinsy.

Chciała go zapytać, co się dzieje. Chciała, żeby na nią spojrzał i powiedział, czy maczał palce w tych eksplozjach.

Ale panika zatkała jej gardło. Wszystkie siły wkładała w to, by w ogóle oddychać, nie dopuścić do hiperwentylacji. Pulsujący ból w ramieniu nie ustawał.

Zaparkowali w długiej wąskiej uliczce, gdzieś w śródmieściu. I znowu nie było w pobliżu nikogo, kto widziałby, jak popychani biegną do tylnego wejścia czteropiętrowego budynku z czerwonej cegły, a może pięciopiętrowego, z długimi, ciemnymi korytarzami, wyłożonymi linoleum jak w biurowcu, i białymi gołymi sterylnymi ścianami. Rebecca, o ile tylko mogła, dokładnie się wszystkiemu przyglądała. Czy nie tak robią w filmach? Nawet zakneblowani i z zawiązanymi oczami filmowi bohaterowie bez trudu zapamiętują, ile razy samochód podskoczył na torach kolejowych i ile razy słyszeli szum wody, przejeżdżając przez most. Skupiła się i zapisywała sobie w pamięci wszystkie szczegóły otoczenia, dzięki czemu nie myślała o walącym ze strachu sercu.

Teraz, sama w ciemności, starała się robić to samo. To przynosiło jej ukojenie.

Jej uszu dobiegały stłumione głosy. Na górze dudniły czyjeś kroki. Nie tylko kroki. Ten hałas kojarzył jej się z przesuwaniem mebli. Z pomieszczenia znajdującego się nad jej głową zapamiętała metalowe biurka, krzesła na kółkach, szafki na dokumenty i półkę z komputerami. Kilka komputerów było włączonych, gdy tam weszli, i jedynie ekrany oświetlały ten pokój. Wszystko wyglądało na nowe, ściany były świeżo pomalowane na biało, czyste i sterylne jak na korytarzu.

Ale, co dziwne, nie dostrzegła tam śladu bytności ludzi, nic osobistego. Żadnych kubków po kawie, żadnych marynarek na oparciu krzesła, żadnego pojemnika z ołówkami, żadnych plakietek czy zdjęć. Zupełnie jakby ktoś w pośpiechu pozbierał to wszystko do kupy, żeby stworzyć tymczasowe prowizoryczne biuro.

Rebecca podniosła wzrok na klapę w suficie, czekając, aż ktoś się w niej pojawi. Czas mijał, a ona wciąż patrzyła, zastanawiając się, czy specjalnie nie domknęli klapy, żeby wpadała do niej choć odrobina światła. A potem pomyślała, że może klapa w ogóle nie jest zamknięta. Czy zdołałaby ją otworzyć? Pojawił się cień nadziei, do chwili, gdy zdała sobie sprawę, że ręce ma związane za plecami i nie jest w stanie pchnąć klapy ani wyjść.

Zaczęła rozglądać się po cuchnącej stęchlizną norze, szukając czegoś ostrego, czym mogłaby przeciąć krępującą ją taśmę. Na pewno coś tutaj znajdzie. W tym momencie zauważyła, dlaczego zapach benzyny był tak silny. Na betonowej podłodze stały kałuże benzyny. Musiała wpaść w jedną z nich, bo czuła mokre śmierdzące plamy na dżinsach i płaszczu. Na półce zobaczyła dwie otwarte puszki z napisem „Benzyna”. Ale stały normalnie, nie do góry nogami.

I nagle uświadomiła sobie, że tej nory nie polano benzyną przez przypadek. Ktoś celowo ją wylał na podłogę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Szpital St. Mary
Minneapolis, Minnesota

Henry Lee nie mógł usiedzieć w miejscu. Przemierzał bufet na dole, rozglądał się i szukał agentki FBI, udając, że popija kawę. Spalał nadmiar nerwowej energii, lecz niezbyt skutecznie, bo wciąż był zdenerwowany, niespokojny, zły. Przechadzanie się nie pomagało.

Pomimo rozczarowania, wróciwszy do pokoju żony, siedząc znowu przy jej łóżku, poczuł się odrobinę spokojniejszy. Trzymał ją za rękę, słuchając szumu i rzężenia maszyn. Hannah wciąż była podłączona do zbyt wielu urządzeń. Ale spała, odpoczywała, i po wyjęciu rurki z gardła oddychała samodzielnie.

Henry zerknął na zegarek. Czekał w bufecie dziesięć minut dłużej, niż zamierzał, chociaż cały ten czas myślał tylko o tym, żeby wrócić na oddział. Nie powinien się dziwić, że agentka FBI nie wysłuchała jego prośby. Pewnie doszła do wniosku, że dzwoni do niej jakiś szaleniec i uznała jego informację za głupi kawał.

Może i dobrze. Szpitalny bufet to nie był dobry pomysł. Chyba nie myślał racjonalnie. To byłoby ryzykowne. Niewykluczone, że go obserwują. On ich nie widział, nie wypatrzył, ale zastanawiał się, czy ich tam przypadkiem nie

ma. W końcu to z pewnością oni porwali Dixona ze szpitala. Gdyby rozpoznali agentkę FBI z telewizyjnych wiadomości i zobaczyli, że ona z nim rozmawia, zabiliby Dixona.

Henry nie był pewny, jak powinien teraz postąpić. Dopiero za pięć godzin pozwolą mu znowu porozmawiać z wnukiem. Mimo to zadzwonił do niego na komórkę. Po pięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa i usłyszał swój głos, który pytał, czy chce zostawić wiadomość. Wybrał ten numer jeszcze trzy razy. Za każdym razem było to samo. To znaczy, że nie wyłączyli telefonu, pewnie leżał gdzieś i dzwonił, ale poza zasięgiem Dixona. Drażnili się z nim, przypominali mu, kto tutaj rządzi.

Śmiertelnie zamartwiał się o wnuka. Starał się odsuwać od siebie obrazy podsuwane przez wyobraźnię i nie myśleć o tym, co mogą zrobić chłopcu. Ci bezlitośni ludzie nie zawahali się wysadzić w powietrze niewinnych kobiet i dzieci w centrum handlowym. Mieli swój własny program daleko wykraczający poza to, do czego zostali wynajęci. Bał się, że zabiją Dixona niezależnie od tego, czy on będzie „grzeczny”, czy też nie.

Może to zmęczenie, może czyste szaleństwo, a może świadomość, że nie ma nic do stracenia. Niech sobie zawłaszczą ten projekt, niech go przerobią zgodnie ze swoimi egoistycznymi celami, ale, na Boga, nie pozwoli, żeby wciągnęli w to jego wnuka. Przekroczyli nieprzekraczalną granicę, więc teraz on pośle ich do diabła, nawet jeżeli to oznacza, że trafi tam razem z nimi.

Kiedy Henry wrócił do pokoju żony, pielęgniarka wyszła. Pogubił się już i nie wiedział, kto wchodzi, a kto wychodzi. Właśnie pojawiła się lekarka w białym fartuchu, w ubraniu z sali operacyjnej. Henry nie zwracał na nich wszystkich uwagi, dopóki nie odezwali się do niego pierwsi. Nie chciał, by zakłócali mu myśli.

Lekarka sprawdziła urządzenia monitorujące, podobnie jak wszyscy pozostali, którzy tu zaglądali. Potem przysiadła po drugiej stronie łóżka i zrobiła coś, co zdziwiło Henry'ego. Wzięła ligninę z szafki przy łóżku i delikatnie wytarła cienką strużkę śliny cieknącej po brodzie chorej.

Uniósł brwi i spotkał się z nią wzrokiem.

– Witam, panie Lee.

Henry skinął głową. Z początku pomyślał, że to kolejna lekarka, na tyle dobrze wychowana, że go pozdrowiła. Ale ona wciąż patrzyła mu w oczy przez okulary w czarnych prostokątnych oprawkach. Po chwili Henry ją rozpoznał pomimo tych okularów i chirurgicznego czepka, który zakrywał jej włosy. W tym stroju, w białym fartuchu i niebieskich papierowych ochraniaczach na butach wyglądała na drobniejszą. Odgrywała rolę lekarki z wdziękiem i pewnością siebie, która go zmyliła.

Było już za późno, by ukryć zdziwienie czy westchnienie ulgi.

A jednak przyszła.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

– Skąd pani wie, jak się nazywam? – spytał Henry Lee, ale Maggie widziała, że był raczej zadowolony, niż zaniepokojony. – Jak mnie pani znalazła?

– Obok znajduje się gabinet. Otwiera się go tylko za pomocą karty magnetycznej – oznajmiła spokojnym głosem, jakim mogłaby mówić, gdyby rzeczywiście była lekarką jego żony i przekazywała mu najnowsze wiadomości, pocieszała go. – Sprawdzono, że nie ma tam podsłuchu. Mamy go dla siebie na dwadzieścia minut, licząc od tej chwili.

Patrzył na nią, jakby mówiła w obcym języku, a on potrzebował tłumacza. W końcu skinął głową. Chwilę czekała, podczas gdy on schował pod kołdrę rękę Hannah. Trzymał ją nadal i wyglądał, jakby wcale nie chciał wstać i wyjść. Ale potem ruszył za Maggie bez dalszego wahania.

– Przykro mi z powodu pańskiej żony – powiedziała Maggie, kiedy usiedli w wygodnych fotelach w sąsiednim pokoju. – Ale chyba dobrze zniosła operację.

– Tak mówią – odparł, jakby nie dawał temu wiary.

Przypomniała sobie, że nie przyszła tu w trosce o jego żonę, choć podziwiała mężowską miłość i oddanie.

W krótkim czasie, który minął od jego telefonu, Maggie dowiedziała się co nieco o Henrym Lee. David Ceimo jako szef personelu gubernatora dzięki swoim znajomościom był w stanie wyśledzić anonimowego rozmówcę Maggie.

Dzwoniono do niej z poczekalni oddziału intensywnej opieki kardiologicznej szpitala Saint Mary.

Podczas krótkiej rozmowy mężczyzna, który do niej dzwonił, rzucił mimochodem, że jego żona właśnie przeszła operację. Dzień po Święcie Dziękczynienia nie wykonywano planowych zabiegów. Maggie dowiedziała się, że tego dnia wykonano tylko dwie ratujące życie operacje. Jedną z nich było usunięcie wyrostka robaczkowego, drugą wszczepienie potrójnych bajpasów. Jeszcze jeden telefon na oddział intensywnej opieki – tym razem trochę naciągany – i Maggie poznała nazwisko pacjentki. Stąd wiedziała już, kim był jej anonimowy rozmówca. Podczas gdy David Ceimo załatwiał listy uwierzytelniające i wszystkie pozwolenia na wejście do szpitala, Maggie szukała informacji na temat Henry'ego Lee, korzystając z internetu w swoim smartphonie.

Okazało się, że człowiek ten cieszy się ogromnym szacunkiem jako potentat biznesowy. Przejął kilka firm i zamienił je w sukces na miarę Fortune 500. Teraz był już na emeryturze, ale pozostał prezesem swojego imperium. Wykorzystywał wpływy, lobbując w sprawie środków wzmacniających bezpieczeństwo kraju. W niczym nie przypominał szaleńca, jakiego się spodziewała.

– Powiem pani to, co wiem, pod warunkiem, że zapewni mi pani nietykalność – wyrecytował, jakby nauczył się tego na pamięć, a może nawet powtarzał to sobie w myśli. W jego prośbie nie było nic z wcześniejszej gorączkowej nerwowości.

– Nie mam takiej władzy, żeby składać panu podobne obietnice. – Dawniej zastępca dyrektora Cunningham wspierał ją, ilekroć uważał to za słuszne. Była pewna, że zastępca dyrektora Kunze nie poszedłby w jego ślady. – Zapewniam pana, że porozmawiam z odpowiednimi władzami o pańskiej współpracy, ale to wszystko, co mogę obiecać.

Przyglądał się jej szklistymi niebieskimi oczami, powieki mu opadały ze zmęczenia. Maggie zgadywała, że Lee ocenia swoje położenie. Spuścił wzrok na palce, które nerwowo wykręcał, a potem wrócił do niej spojrzeniem.

Czekała cierpliwie.

– Oni mają mojego wnuka. – Odchrząknął, nieskutecznie ukrywając, że głos więźnie mu w gardle. – Czy może pani przynajmniej spróbować go uratować?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. – Maggie usiadła prosto. Nie chciała zarzucać go pytaniami, bo mógłby poczuć się osaczony.

– Jestem patriotą – oznajmił.

Była zaskoczona, ale tego nie okazała. Jedna z firm Henry’ego Lee była związana z branżą ochroniarską. Na podstawie krótkich poszukiwań w internecie Maggie spodziewała się, że kiedy tutaj przyjdzie, otrzyma informacje dotyczące tej właśnie branży, a może popełnionego w centrum handlowym błędu ochrony.

Kompletnie nie spodziewała się zwierzeń.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Nick stał obok Yardena, który obszernie i żywo przedstawiał, co takiego zrobiła ochrona, by udaremnić atak. Chapmanowie kiwali głowami z zaciśniętymi wargami, bez mrugnięcia. Kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy, Nick odetchnął z ulgą.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Uciekł na drugi koniec korytarza, nawet nie patrząc, kto do niego dzwoni. – Morrelli, słucham – powiedział dość oficjalnie i z odrobiną irytacji z powodu Chapmanów.

– Wreszcie! Nie wierzę, że w ogóle odebrałeś.

To była jego siostra Christine. Rzeczywiście, wcześniej, kiedy do niego telefonowała, nie odbierał i nie odpisywał na SMS-y. Nie był gotowy ujawnić żadnych szczegółów, które, jak podejrzewał, Christine, rasowa reporterka, chciała od niego wyciągnąć.

– Przepraszam. Straszne tu zamieszanie.

Niespokojnie spojrzał w głąb korytarza. Chapmanowie już o nim zapomnieli, skupieni na biednym Jerrym. Nick przeniósł się jeszcze dalej, szukając spokojniejszego miejsca.

– Oglądaliśmy to w telewizji – rzekła Christine. – Trudno sobie nawet wyobrazić. Nie będę udawać, że wiem, jak to jest być w samym środku tego wszystkiego.

Nick znalazł mały pusty pokój w pobliżu wind i tam się schował. Na stoliku poniewierały się brudne filiżanki po kawie. Składane krzesła stały, gdzie popadnie. Usiadł na jednym z nich przy ścianie.

– Właśnie przed chwilą właściciele centrum robili wyrzuty mnie i szefowi miejscowej ochrony.

– Żartujesz. Uważają, że można było temu zapobiec? Ciekawe jak?

Nick usłyszał w głosie Christine zainteresowanie i natychmiast przestraszył się, że niepotrzebnie podzielił się z nią tą informacją.

– Robi się późno – rzekł, zerkając na zegarek. Pragnął uniknąć kolejnych pytań. – U was wszystko w porządku?

– Nie chcę cię bardziej denerwować, ale wiem, że wolałbyś to wiedzieć.

Nie spodobała mu się zmiana jej tonu.

– Karetka zabrała tatę na oddział intensywnej terapii szpitala Lakeside.

Nick aż skoczył na równe nogi, ściskając telefon przy uchu.

– Jak on się czuje? – Jedną ręką wsparł się o ścianę.

– Ustabilizowali go.

– Co się stało?

– Mama zauważyła, że oddycha jakoś tak... chrapliwie. Tak to opisała. – Nastąpiła długa pauza. – Nick, moim zdaniem ona już nie będzie w stanie nim się opiekować. Jest coraz gorzej.

Musiał usiąść. Opadł znów na krzesło.

– Okej – rzucił, wyrażając w ten sposób zgodę. – Co myślicie?

Nigdy nie brał udziału w takich rozmowach. Decyzje w sprawie opieki nad ojcem podejmowały Christine oraz matka. Jeszcze kilka miesięcy temu, zanim wrócił do Omaha, mieszkał w Bostonie, ponad dwa tysiące kilometrów dalej. Teraz zdał sobie sprawę, jakie miał szczęście przez te wszystkie lata, i zastanowił się, dlaczego tym razem Christine postanowiła zrzucić to na niego.

Jest niesprawiedliwy. Wiedział, jak bardzo jest niesprawiedliwy. Ale był wyczerpany, przytłoczony i ponad sześćset kilometrów od domu. Jak mógł tutaj rozwiązać ten problem?

– Wiesz, że ona nie zgodzi się przenieść ojca gdziekolwiek – podjęła Christine. – Upiera się nawet, że w domu nie potrzebuje pomocy. Oczywiście twierdzi, że to tata nie chce, żeby jakiś obcy pomagał mu sikać. To idiotyczne.

Nick rozejrzał się po pokoju. Chciał zapytać, dlaczego trzeba te wszystkie decyzje podjąć akurat w tym momencie? Ojcu jak na razie nic nie zagrażało, jego stan był stabilny, tak mu przecież powiedziała. Christine zawsze martwiła się na zapas.

– Jak długo zatrzymają go w szpitalu?

– Lekarz chce zrobić jakieś badania. Pewnie potrzymają go przez weekend.

– Możemy o tym pomówić po moim powrocie do domu?

Cisza. Czy powiedział coś złego?

– Jasne, w porządku – odezwała się w końcu.

Nick znał ten ton. Oznaczał, że czekanie nie jest w porządku. Pasywnie agresywny. Tak to się chyba nazywa. Oboje wykazywali symptomy tej choroby. Najbardziej charakterystyczną jej cechą jest niechęć do otwartej konfrontacji.

– Chodzi o to, że w tej chwili jestem zawalony robotą – próbował wyjaśnić, wiedząc, że to kiepska wymówka.

– Chciałam tylko o tym z tobą porozmawiać, Nick. – Była zdenerwowana, ale robiła, co mogła, żeby tego nie okazać. – Mam pełną świadomość, że kiedy przyjdzie co do czego, zostanę z tym kompletnie sama.

Zatkało go. Czuł się, jakby zadała mu cios. Czuł się jak dupek.

– Muszę kończyć – oznajmiła Christine i zanim Nick zareagował, rozłączyła się.

Zamknął oczy i oparł głowę o ścianę. Życie rodzinne go przerastało, nie był w tym dobry. Właśnie dlatego nigdy wcześniej siostra ani matka nie zwracały się do niego o pomoc. Ale skoro Christine wiedziała, że żaden z niego pożytek, dlaczego tym razem oczekiwała, że będzie inaczej? Dlaczego akurat teraz?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Maggie starała się nie przerywać Henry’emu Lee. Nie skrzyżowała też ramion na piersi, nie wykonała żadnego gestu, który by go powstrzymał. Studiując psychologię, nauczyła się, że należy słuchać, nie okazując żadnych uprzedzeń. Czasami bierny słuchacz pozna więcej cennych informacji niż wytrawny, dociekliwy śledczy. Ludzka natura dyktuje pewne zachowania, na przykład każe wypełniać słowami długie chwile ciszy czy zadowolić pilnego słuchacza.

– Moja córka, matka Dixona, była jedną ze stu sześćdziesięciu ośmiu osób zamordowanych dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Ponad dwa tysiące kilogramów azotanu amonowego i paliwo do odrzutowców podłożono od frontu budynku federalnego im. Alfreda P. Murraha w Oklahoma City. – Wciąż to przeżywał, świadczyły o tym załzawione nagle oczy. Otarł je zirytowany i podjął: – Nie wierzyłem, że coś takiego mogło się zdarzyć. Pomyślałem wtedy, że nie dopuścimy do tego, by podobna historia się powtórzyła. Ale my, Amerykanie, mamy krótką pamięć. Jesteśmy pełni samozadowolenia. Sześć lat później był jedenasty września.

Henry to opierał plecy, to znowu pochylał się do przodu, nie mógł usiedzieć spokojnie. Wydawało się, że nie wie, co

zrobić z rękami.

Maggie przeczekała jego milczenie i nerwowe gesty.

– I znowu popadliśmy w samozadowolenie – podjął. – A to miało nas obudzić. Wyrwać z tego samozadowolenia. Obecna administracja niweczy naszą politykę walki z terrorem, osłabia nasz system bezpieczeństwa. Zostawia nas bezbronnych w razie kolejnego ataku. Niech pani zapamięta moje słowa. Nastąpi kolejny atak. – W jego głosie powoli pojawiała się złość. – To może się stać podczas ważnych zawodów sportowych albo w jednym z centrów handlowych czy na lotnisku. Ta administracja zniosła bariery, które tak długo i z takim trudem budowaliśmy. Jak można zamknąć więzienie Guantanamo? To szaleństwo. Dają tym potworom trzy posiłki dziennie, podczas gdy oni myślą tylko o tym, żeby wyjść i zabijać niewinnych Amerykanów.

– Dzisiaj zginęło trzydziestu dwóch niewinnych Amerykanów – wtrąciła, bo nie mogła się powstrzymać. Nie miała ochoty wysłuchiwać jego tyrady ani pozwolić mu wierzyć, że jej milczenie oznacza akceptację czy zrozumienie dla jego słów.

– Dobry Boże, trzydzieści dwie osoby? – Zakrył twarz drżącymi dłońmi. – To nie miało się zdarzyć – rzekł, patrząc przez palce, którymi przecierał zdumione oczy. – Przysięgam pani, to się nie miało zdarzyć!

– Więc co takiego miało się zdarzyć, panie Lee?

– Drobne zakłócenia, nic więcej. – Potrząsnął głową i pochylił się do przodu, wykręcając ręce. – Nasza grupa...

a jest to wpływowa grupa prawych, szlachetnych osób...

– Duma Ameryki?

Z gardła Henry'ego dobył się dźwięk, który brzmiał jak coś między prychnięciem a parsknięciem ze śmiechu.

– DA? To tylko zasłona dymna, dla odwrócenia uwagi. Ta organizacja nie ma z tym nic wspólnego.

– W takim razie nie rozumiem, o jakiej grupie pan mówi?

– Nikt o nas nie wie. Udało nam się działać w sekrecie przez prawie piętnaście lat. Mieliśmy wpływ na kontrakty biznesowe opiewające na miliardy dolarów, dbaliśmy o interesy amerykańskich firm. Oddziaływaliśmy na politykę rządu. Nie robiliśmy nic innego niż lobbyści, tyle że nasi członkowie są... powiedzmy, trochę bliżej rządu.

– Sugeruje pan, że to ugrupowanie tworzą między innymi kongresmani?

Wzruszył ramionami, a ona zrozumiała, że Lee kontrolował wszystkie informacje, które jej przekazywał, może nawet w trakcie dokonywał pewnych wyborów.

– Nie jesteśmy przestępcami – rzekł. – Tyle mogę powiedzieć. Czasami nasze metody mogą wydać się trochę niekonwencjonalne. Robiliśmy to, co uznaliśmy za konieczne, żeby na kogoś wpłynąć, żeby coś wytłumaczyć, żeby Ameryka nie zboczyła z właściwego kursu. Tak, byliśmy nowatorscy. Ale nie zabijaliśmy niewinnych ludzi. Zapewniam panią. – Rozejrzał się po pokoju, jakby sprawdzał, czy rzeczywiście są tam bezpieczni. – To miało tylko otworzyć ludziom oczy. W plecakach miały znajdować się pewne elektroniczne urządzenia, zaprojektowane

specjalnie do tego, żeby zakłócać pracę komputerów i system satelitarny. Sam przyłożyłem rękę do ich stworzenia. Miała to być wyłącznie elektroniczna blokada zastosowana w odpowiednio wybranym czasie, w dniu, który handlowcy nazywają Czarnym Piątkiem. Dzień kolosalnych zysków zostałby przewrócony do góry nogami, żeby pokazać, jak łatwo terroryści mogą wejść do centrum handlowego i zrobić to samo, a może coś gorszego.

– Z całą pewnością udowodniliście najgorsze.

Maggie przygryzła dolną wargę. Powinna zachować spokój, obojętność, bierność, przecież potrafi panować nad emocjami. Siłą woli powstrzymała się przed zaciśnięciem pięści i nie odrywała stóp od podłogi, chociaż najchętniej poderwałaby się i krążyła w tę i z powrotem.

– Ma pani rację. Ktoś to udowodnił. Ktoś, kto miał jakiś własny cel. Ci chłopcy nie mieli z tym nic wspólnego.

– Zna pan tych chłopców?

– To koledzy mojego wnuka. Chad, Tyler i mój wnuk Dixon zostali oszukani i zgodzili się nosić te plecaki. A Patrick? Nie wiem nawet, skąd mają jego zdjęcie. Ten chłopak w ogóle nie był w to zaangażowany. Patrick i Becca jedynie towarzyszyli Dixonowi.

– Zna pan Patricka Murphy’ego?

– Patrick i Becca spędzili w moim domu Święto Dziękczynienia, spali u nas dwie noce. Studiują na Uniwersytecie Stanowym w New Haven, tak jak Dixon. Przyjechali razem z Connecticut. Jechali tutaj dwa dni. To dobre dzieciaki. Dobre, przyzwoite dzieciaki.

Kręcił głową i nie zauważył, że Maggie z trudem przełknęła ślinę.

A więc Patrick jej nie okłamał. Nie ma żadnego związku z tymi bombami. Nie powinna była traktować go tak ostro, należało mu zaufać, zamiast prosić, by on obdarzył ją zaufaniem. Teraz siedziała z mężczyzną, z którym Patrick spędził Święto Dziękczynienia i który chyba wiedział o jej przyrodnim bracie więcej niż ona. Nagle coś sobie uświadomiła i poczuła skurcz w żołądku.

– Czy Patrick był z Dixonem, kiedy go porwano?

– Nie, Becca też nie.

Trudno było jej ukryć ulgę, ale Henry Lee wlepił wzrok w swoje dłonie i nie zwracał na nią uwagi.

– Dixon powiedział, że zostawił im plecak. Czy Patrick i Becca żyją? – spytał.

Maggie dojrzała w jego oczach, że on też nagle coś sobie uprzytomnił. Do tej pory nie przeszło mu przez myśl, że przyjaciele Dixona mogli zginąć podczas wybuchu w centrum.

– Patrick żyje. Co do Rebecki nie wiem.

Henry Lee potrząsnął głową.

– Dixon przyjechał do mnie do szpitala. Tak się ucieszyłem, że jest cały i zdrowy, ale potem ci dranie go stąd wyciągnęli. Musieli nas obserwować. – Urwał, odetchnął kilka razy dla uspokojenia. – Dixon martwił się o przyjaciół. Pożyczył ode mnie smartphone’a. Rozmawiał z nimi. – Znowu zawiesił głos i zmrużył oczy, szukając właściwego słowa. – Wysyłał im SMS-y, żeby dowiedzieć się,

czy nic im nie jest. W ten sposób ci dranie kontaktują się ze mną, kontrolują mnie. Za pomocą mojego cholernego telefonu.

– Kim dokładnie są ci oni, panie Lee? Kto porwał pańskiego wnuka? Kto zamienił urządzenia zagłuszające w plecakach na bomby?

– Ten, który tym wszystkim zawiaduje, nazywa siebie Kierownikiem Projektu. – Odwrócił wzrok, odetchnął kilka razy, jakby zbierał siły na wypowiedzenie kolejnych słów. – On się szykuje do następnego ataku w niedzielę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Co za pech. Wyglądało na to, że ochroniarz o imieniu Frank korzysta z tej pralni podczas przerwy w pracy.

Patrick schował się w jednej z dużych przemysłowych suszarek, skulił się w jej wnętrzu. Ledwie zamknął za sobą drzwi suszarki, kiedy ten potężny mężczyzna wolnym krokiem wszedł do środka. Patrick przylgnął do metalowego bębna z nadzieją, że przez okrągłe oszklone drzwiczki można dojrzeć tylko stertę ubrań, które czekają, aż ktoś je posortuje. Sam widział jedynie fragment Franka i pewnie trzydniowy zapas kanapek z automatu. Ochroniarz zasiadł przy jednym ze stolików, otworzył puszkę wody sodowej i paczkę chipsów, a następnie położył przed sobą jakąś powieść w broszurowej oprawie.

No świetnie, zapowiada się długa, miła przerwa.

Patrick starał się nie zwracać uwagi na ścierpnięte nogi. Znajdowały się w nienaturalnej pozycji, a na domiar złe- go jedna przyciskała drugą. Lepiej, żeby do tego przywyknął. Frank się rozsiadł. Suszarka obok postukiwała, odwirowując ręczniki i ubrania Patricka, waląc go w tył głowy jego własnymi butami. Chętnie rozprostowałby kości. W szumie pozostałych pracujących suszarek i tak pewnie nic nie byłoby słychać. Wolał jednak nie ryzykować, że metalowy bęben zaskrzypi.

Potem uprzytomnił sobie, że nie wyłączył komórki. Miał nadzieję, że Becca ani Maggie nie zadzwonią do niego akurat w tym momencie.

Co mu przypomniało, że Becca się do niego nie odezwała, on zaś nie mógł się z nią skontaktować, nie znając numeru Dixona. Ale ona znała jego numer. Dlaczego milczała? Zwłaszcza teraz, kiedy była już bezpieczna z Dixonem. Dlaczego przynajmniej nie upewniła się, czy z nim wszystko w porządku? Czy uciekając z prowizorycznego szpitala, także od niego chciała uciec?

Od ciągłych stuków rozbolała go głowa. Zerknął ostrożnie przez oszklone drzwi suszarki. Frank ledwie napoczął swoją porcję śmieciowego jedzenia.

Kiedy chwycił go kurcz w nodze, z bólu zacisnął zęby. Oparł się plecami o metalowy bęben, próbował się wyciągnąć. Bęben jęknął, a Patrick zamarł. Zamienił się w słuch, żeby wychwycić cokolwiek prócz wibracji stojącej obok suszarki. Nie słyszał żadnych kroków. Nie dojrzał ani skrawka niebieskiego uniformu. Może ten jęk metalu brzmiał głośniej wewnątrz suszarki niż na zewnątrz.

To jakieś szaleństwo. W szkole średniej i w college'u ciężko pracował, starał się robić, co należy, trzymał się z dala od kłopotów. Nie umawiał się na randki, nie sięgał po narkotyki, nie brał udziału w popijawach, nie szukał z nikim zwady. A jeśli nawet cokolwiek z tego mu się przydarzyło, to sporadycznie, nie wpadł w żaden nałóg. Jego życie i tak nie było łatwe. Musiał sam opłacać sobie studia, zarabiać na utrzymanie, benzynę do samochodu i czynsz za mieszkanie.

Jak to się, do diabła, stało, że jego zdjęcie pokazywały wszystkie sieci i kablówki? Jakim cudem został sam, kompletnie sam, i musiał uciekać? I czemu trafił do tej pieprzonej suszarki?

Zamknął oczy i zacisnął zęby. Mógł polegać wyłącznie na sobie, a to było męczące. Pomyślał, że może Becca czuła to samo. Nie chciał przyznać, jak bardzo jest rozczarowany, że zostawiła go bez słowa, nie zadzwoniła ani nie wysłała mu SMS-a. Gdyby to przyznał, wówczas musiałby dopuścić do siebie myśl, że Becca jest dla niego ważna. Wierzył, że jest jego przyjaciółką. Ale czy przyjaciele nie powinni się o siebie troszczyć?

Maggie prosiła, żeby jej zaufał.

Pamiętał, jak do niego zadzwoniła z zaproszeniem na Święto Dziękczynienia. Zaproponowała nawet, że opłaci mu podróż samolotem albo pociągiem. Mówiła, że mógłby u niej zostać cały weekend, gdyby miał ochotę. Ma duży dom z ogrodem. Bardzo chciała mu pokazać Harveya, swojego białego labradora. Patrick mógłby policzyć na palcach jednej ręki, ile razy widzieli się czy rozmawiali przez dwa lata, od chwili, gdy się odnaleźli. Nie znał tej kobiety, która tak nagle chciała być jego starszą siostrą.

Potem wpadło mu do głowy, że ona przynajmniej się starała. A co on zrobił w tym kierunku? Bardzo niewiele.

Na podstawie tego, co wiedział o Maggie, a jego wiedza była ograniczona, stwierdził, że ciężko pracowała na swój obecny status. Zarabiała na siebie podczas studiów, wypracowała stypendium w Quantico. Wyglądało na to, że

jej życie wcale nie było łatwiejsze niż jego życie po śmierci ich ojca. Ledwie napomknęła o alkoholizmie matki, ale Patrick wystarczająco długo pracował w „Champs”, by poznać różnicę między kimś, kto nie sięga po alkohol, i kimś, komu nie wolno po niego sięgnąć.

Gdy po raz pierwszy zobaczył Maggie, przyszła właśnie do „Champs” w nadziei, że go tam spotka. Nie miała zielonego pojęcia, jak wygląda jej przyrodni brat. Pamiętał kobietę siedzącą przy barze, która rozgląda się, jakby kogoś szukała. To był studencki bar. Nie pasowała tam. Nie z powodu wieku, ale dlatego, że jak na „Champs” była zbyt szykowna, tam nie bywały takie kobiety z klasą. Potem, co jeszcze gorsze i co jeszcze bardziej świadczyło o tym, że znalazła się tam przez pomyłkę, zamówiła dietetyczną pepsi.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Stojąca obok suszarka nagle się wyłączyła. Koniec wibracji i stukotów. Koniec walenia w tył głowy.

Patrick trwał przyciśnięty do bębna, nie śmiał się ruszyć. Cisza okazała się gorsza od dudnienia. Zaryzykował i wyjrzał na zewnątrz, poruszył tylko głową, żeby bęben nie jęknął. Stół był pusty. Nie widział na nim żadnego jedzenia ani powieści w miękkiej oprawie.

Wyciągnął szyję. Nie dostrzegł też Franka. Czy to możliwe, żeby już sobie poszedł?

Patrick zdecydował się lekko przesunąć łokcie pomimo cichego jęku bębna, żeby mieć widok na pozostałą część pralni. Tam również nikogo nie zobaczył. W końcu może

wyjść. Zwinięty w precel marzył o tym, by nareszcie się wyprostować.

Pchnął drzwi suszarki, lecz te ani drgnęły. Przyłożył do nich ramię i napierał z całej siły.

Drzwi suszarki pozostały zamknięte.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Henry domyślał się, że agentka FBI nie darzy go sympatią. Pomimo współczucia, które mu wcześniej okazała z powodu żony, było jasne, że wysłuchiwanie jego argumentacji nie przychodzi jej łatwo. Miał to w nosie. Gdyby przejmował się tym, co ludzie o nim myślą, nigdy nie stworzyłby swojego imperium.

Ta agentka, ta kobieta wyglądała, jakby była od niego o połowę młodsza. Co ona wie o podejmowaniu decyzji, które mają szansę zmienić świat? Nic go nie obchodziło, czy go lubiła, czy też wręcz przeciwnie. Może go osądzać, jak chce. Jedyne, na czym mu teraz zależało, to żeby odzyskać Dixona. Nic innego się nie liczyło.

– Gdzie ma być ten następny atak? – spytała.

Widział, że się niecierpliwiła. Nie zdawała sobie sprawy, że dostrzegał to w jej oczach, zauważał te przelotne błyski emocji, których nie była w stanie ukryć. Henry zatrudnił i zwolnił więcej osób, niż Margaret O’Dell pewnie spotkała w swoim życiu. Stwierdził, że agentka nie tylko traci cierpliwość, ale jeszcze się denerwuje, niepokoi, jest zmęczona, ostrożna, podejrzliwa. Mało, że go nie lubiła, to jeszcze mu nie ufała.

– Nie znam dokładnej lokalizacji. – Ręce przestały mu się trząść. To dobry znak. Lubił mieć wszystko pod kontrolą. Margaret O’Dell uniosła brwi. Wiedział, że po raz pierwszy

pozwoliła sobie na ten gest. – Najbliższa niedziela to drugi w kolejności dzień w roku, kiedy najwięcej ludzi odbywa podróże – wyjaśnił. – To będzie lotnisko. Ale mówię szczerze, naprawdę nie wiem które. My tylko dostarczyliśmy listę, wybór należał do Kierownika Projektu.

– Dlaczego lotnisko? Myślałam, że chodziło o handel i kupców, że te urządzenia miały tylko zakłócić pracę ich komputerów? Pokazać im, że pogoń za zyskiem to nie wszystko?

– Nie, nie, nic pani nie zrozumiała. – Potrząsnął głową. A zdawało mu się, że wyrażał się jasno. – Tu nie chodzi o pieniądze. Chodzi o bezpieczeństwo Ameryki. O to, żeby powstrzymać terrorystów przed kolejnym uderzeniem w nasz kraj. Obecna administracja zaprzepaściła wszystkie zabezpieczenia, nad wprowadzeniem których tak ciężko pracowaliśmy. Czy jest lepsze miejsce i pora, żeby przypomnieć o tym Amerykanom, niż centrum handlowe w najbardziej handlowy dzień w roku? Albo lotnisko w drugim w kolejności dniu w roku, gdy jest najbardziej oblegane przez pasażerów? Wystarczy uniemożliwić im powrót do domu.

– Wiedział pan, że celem będzie Mall of America?

– Tak, oczywiście. To największe centrum handlowe w Ameryce.

– To dlaczego nie wie pan, które to lotnisko?

Skinął głową. Była inteligentna, ale nadal niezupełnie to pojmowała.

– Największe centrum handlowe w Ameryce miało sens, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale gdy- byśmy wiedzieli, które to lotnisko, moglibyśmy się jakoś zdradzić albo obciążyć.

– Da mi pan tę listę. – To nie było pytanie.

Zawahał się, ale potem przypomniał sobie, że to jest bez znaczenia. To tylko drobna wymiana za życie Dixona.

– Oczywiście. Nie znam jej na pamięć. Muszę ją pani przesłać e-mailem.

Maggie wyjęła smartphone'a.

– Wyśle mi ją pan, zanim stąd wyjdę. – Jej ton, taki spokojny, a zarazem... No i ten refleks. Może jednak źle ją ocenił. Była bystra, szybka... odważna. – Proszę mi opowiedzieć o tym człowieku, który nazywa siebie Kierownikiem Projektu.

– To nie ja go wynająłem – odparł.

– Został wynajęty?

Znowu dopuściła do głosu emocje. Widział to, co prawda tylko ulotny ślad w jej oczach. Zdziwienie? Nie, Henry uznał, że był to raczej cień zniesmaczenia.

– Żaden z nas nie spotkał się z nim osobiście. Zależało mu na tym, żebyśmy nie wiedzieli, kim jest, jak wygląda, skąd pochodzi.

– To na jakiej podstawie mu zaufaliście?

Wzruszył ramionami. Dobre pytanie.

– Miał znakomite referencje od osoby, której ufamy.

– Chce mi pan powiedzieć, że ten człowiek, wynajęty do tego, by zakłócić pracę komputerów w centrum handlowym

i spowodować opóźnienia w ruchu powietrznym, ma jakiś swój cel?

– Albo ma jakiś własny cel, albo wypełnia rozkazy kogoś z naszej grupy. Kogoś, kto wierzy, że bomby skuteczniej obudzą Amerykę z letargu niż urządzenia zakłócające pracę innych urządzeń elektronicznych. – Jakoś nie przechodziło mu przez gardło, że grupa, której bronił i którą przysiągł chronić, posunęła się o krok za daleko, ignorując jego ostrzeżenia, zdradzając przekonania i honor, którym był wierny od lat. I w zamian za co? Władzę? Bogactwo?

– Zdaje pan sobie sprawę, że mogę pana zabrać na przesłuchanie – powiedziała. – Mogę pana zmusić do tego, żeby nam pan powiedział, kto to jest.

– Znam swoje prawa, agentko O'Dell. Zatrudniam najlepszych adwokatów w tym kraju. Przestałbym mówić, a pani zostałaby z niczym. Pani potrzebuje tej informacji, a ja chcę odzyskać żywego wnuka.

Już mu nie współczuła.

– Skoro chce pan odzyskać wnuka, musi mi pan coś powiedzieć. Nie wiem, czy jest pan tego świadomy, ale Chad Hendricks i Tyler Bennett nie żyją.

Skrzywił się, zamknął oczy. Potwierdziła jego podejrzenia.

– Ładunki w ich plecakach eksplodowały, kiedy mieli je przy sobie. Zostały zdetonowane przez kogoś, kto znajdował się poza centrum handlowym. – W jej głosie dało się wyczuć napięcie. – Oni tylko spacerowali po centrum, myśląc, że wywołają drobne zakłócenia, jak pan się wyraził. Że zepsują kilka komputerów, każą ludziom czekać dłużej

w kolejkach, zirytują chciwych właścicieli sklepów. Nie mieli zielonego pojęcia, że rozerwie ich na kawałki.

Spojrzał jej w oczy, widząc, jak powoli odsuwa od siebie złość, udając, że to tylko element gry zwanej przesłuchaniem.

– W porządku – rzekł. – Skoro pani znajduje przyjemność w atakowaniu mnie, proszę bardzo.

Kompletnie ją zaskoczył. Miała ochotę spleść ramiona na piersi, ale się powstrzymała. Poruszyła palcami jednej ręki, by nie zacisnąć ich w pięść.

– Niech pani o mnie myśli, co pani chce – ciągnął. – Zasłużyłem sobie na to. Ale mój wnuk nie powinien płacić za moje błędy.

– Wróćmy do Kierownika Projektu, panie Lee. Z pewnością wie pan o nim coś, co mógłby mi pan przekazać.

– Jest jedna rzecz. Chociaż nie wiem, czy to ma znaczenie. Nazywał siebie Johnem Doe Numer Dwa. Podobno mówił to tak, jakby to podnosiło jego wartość.

– Chyba nie rozumiem.

– Moja córka zginęła podczas wybuchu bomby w Oklahoma City. Kierownik Projektu wiedział o nas więcej, niż my wiedzieliśmy o nim. Sądzę, że w jakiś pokręcony sposób chciał nawiązać do domniemanego trzeciego terrorysty z Oklahoma City. Z myślą o mnie, być może. Pamięta pani, że nadano mu ksywkę John Doe Numer Dwa? A może po prostu nim jest.

– Sugeruje pan, że człowiek, którego zatrudniliście jako Kierownika Projektu, to John Doe Numer Dwa z Oklahoma City?

Henry wzruszył ramionami.

– Samo jego istnienie to tylko spekulacje, co najwyżej plotka.

Zauważył, że agentka O’Dell wygląda, jakby rozważała, czy John Doe Numer Dwa nie jest jednak rzeczywistą postacią.

– To wszystko, co wiem – rzekł. – Chce pani, żebym pani przegrał tę listę? – Wskazał na jej smartphone’a.

Przez sekundę czy nawet dwie patrzyła na niego, jakby musiała przyswoić sobie usłyszane informacje. Był ciekaw, czy miała pojęcie, jak wiele ryzykował, mówiąc jej to wszystko.

– Umowa stoi? – spytał, czekając, aż spojrzy mu w oczy. – Wyrwie pani mojego wnuka z rąk tego drania?

Wiedział, że nie mogła nic więcej powiedzieć. Skinęła tylko głową.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Sobota 24 listopada
Lotnisko międzynarodowe McCarran
Las Vegas, Nevada

Asante nie chciał tracić więcej czasu, ale czekał cierpliwie w kolejce za trzema innymi pasażerami pierwszej klasy. Nie mógł pierwszy wyjść z samolotu. Gdyby tak zrobił, zwróciłby na siebie uwagę stewardes. Ten, kto się niecierpliwi i wychodzi pierwszy, wyróżnia się z tłumu.

Większość pasażerów, nawet ci, którzy wyglądali, jakby byli natychmiast gotowi wyruszyć do kasyn, odczuwała zmęczenie z powodu długiego opóźnienia. Asante starał się wmieszać w ten tłum, chociaż nie zamierzał stawiać nogi w kasynie. W każdym razie podczas tej wycieczki.

Las Vegas to był doskonały wybór, zwłaszcza ze względu na nieoczekiwane opóźnienie. Większość lotnisk zamyka się po północy, ale nie w Las Vegas. Tutaj o tej porze było równie gwarno, co o każdej innej godzinie. Zanim opuścił wyjście, słyszał już brzdęk i szczęk automatów do gry. Spojrzał na nie i miał chęć pokręcić głową. Zajmowały sam środek hali przylotów. Przy większości z nich stali pasażerowie czekający na swój samolot, oddając się nałogowi hazardu tak długo, jak długo było to możliwe.

Przepychał się przez tłum, idąc za strzałkami wskazującymi drogę do miejsca odbioru bagażu. Włączywszy bezprzewodową słuchawkę, którą już założył za ucho, poprawił worek na ramieniu. Potem nacisnął kilka klawiszy w swoim telefonie i po paru sekundach uzyskał połączenie.

– Jak minął lot? – spytała kobieta na powitanie.

– Trochę opóźniony, ale już wszystko w porządku.

– Becky ucieszyła się ze spotkania z kolegą z college'u.

Znów rozmawiali jak żona i mąż, którzy na bieżąco informują się, co u nich słychać. Dobrze ich wyszkolił, kazał im ograniczać informacje do minimum i nigdy nie używać pełnych nazwisk czy imion, zwłaszcza tak znaczącego imienia jak Dixon.

– To świetnie. A co z naszym przyjacielem Hankiem? Jak on się ma?

– Jest na miejscu, chyba wszystko u niego dobrze.

– Cieszę się. Więc jutro zabieramy się do domowych porządków?

– Nie mogę się doczekać – rzekła ze śmiechem.

Miły akcent, pomyślał Asante.

– Prawdę mówiąc – ciągnęła – właśnie kończymy ostatnie przygotowania.

– Zadzwoń do mnie, gdybyście mieli jakieś problemy. Odezwę się później.

Znalazł ruchome schody prowadzące do miejsca odbioru bagażu i wszedł na nie razem z tuzinem innych osób.

To tylko drobne zakłócenia, uśmiechnął się pod nosem. A drobne zakłócenia mają to do siebie, że można je naprawić, wprowadzić jakieś zmiany albo po prostu usunąć.

Zjechawszy na dół, podczas gdy wszyscy inni ruszyli w stronę taśmociągu bagażowego, Asante udał się w przeciwnym kierunku, do małego pomieszczenia na boku, gdzie wzdłuż każdej ze ścian stał rząd szafek. Znalazł szafkę numer 84 i fachowo otworzył szyfrowy zamek z kłódką: jeden obrót w lewo, dwa obroty w prawo i drzwi się uchyliły.

W szafce, przyklejona taśmą do wewnętrznej strony drzwi, znajdowała się zaklejona szara koperta z większą sumą pieniędzy, niż była mu potrzebna. Stały tam też dwie nieduże walizki z czarnego płótna, jedna na drugiej, obie powycierane na rogach, jakby należały do osoby, która często podróżuje. Asante wyjął walizki i rzucił worek na jedną z nich. Potem odkleił kopertę i schował ją do kieszeni walizki. Następnie powiesił w szafce kurtkę, zamknął drzwiczki i założył nową kłódkę.

Teraz musiał już tylko załatwić sobie środek transportu.

Skierował się do wyjścia. Ciepłe powietrze uderzyło go w twarz. Co za różnica po kilku godzinach lotu i przebyciu ponad półtora tysiąca kilometrów. Nieważne, że z jednych ekstremalnych warunków pogodowych trafił w drugie i już zaczął się pocić, ciepło i tak było przyjemne.

Rozglądał się za postojem autobusów lotniskowych. Złapie następny, który jedzie na parking długoterminowy.

O tej godzinie w nocy na pewno znajdzie tam dla siebie odpowiedni samochód.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Szpital Saint Mary
Minneapolis, Minnesota

Maggie, wciąż ubrana w lekarski fartuch, wsiadła do suva. Ceimo czekał na nią na parkingu dla karetek przy drzwiach oddziału ratunkowego, jedynych, którymi można było po północy wejść do szpitala i wyjść z niego. Na szczęście włączył ogrzewanie. Teraz nacisnęła przycisk, który uruchamiał dodatkowo ogrzewanie jej fotela. To wszystko i tak nie wystarczało, by pozbyć się uczucia dojmującego zimna, które zostawił po sobie Henry Lee.

Zanim usiadła wygodnie, Ceimo powiedział:

– Kunze i Wurth dzwonili. Powiedziałem im, że pojechaliśmy śladem pewnego tropu, nic więcej.

Maggie skinęła głową z wdzięcznością.

Gdy tylko zwróciła się z prośbą o pomoc do Davida Ceimo, wyznała mu, że prócz niego nie poinformuje o tym nikogo innego, dopóki nie porozmawia z Henrym Lee. Zastępca dyrektora Kunze nie pozwoliłby jej jechać do szpitala. To był jeden z tych przypadków, kiedy musiałaby prosić raczej o wybaczenie niż o pozwolenie.

Tak, od czasu do czasu naginała przepisy, ale z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Tego przynajmniej nauczyło ją doświadczenie. To fakt, że sposób, w jaki

pojmowała przezorność, nie zawsze zgadzał się z tym, jak rozumieli to słowo jej szefowie. Zdarzyło się raz czy nawet dwa, że Cunningham się na nią zirytował. Ale kiedy chodzi o życie, a czas ucieka, przestrzeganie reguł jako sztuka dla sztuki nie ma sensu. Zastępca dyrektora Kunze nie przytaknąłby takiemu twierdzeniu. Właśnie dlatego, gdy tylko Maggie weszła do szpitala, natychmiast wyłączyła komórkę, przerywając ten stan tylko na moment, żeby Henry Lee ściągnął dla niej tę listę.

– Więc? – zaczął Ceimo. – Dowiedziała się pani czegoś?

– Niedziela – odparła. – Zaplanowali kolejny atak na niedzielę.

– Niedziela to znaczy ta niedziela? Jutro?

Zerknęła na świecące na zielono cyferki i literki na desce rozdzielczej, szukając wzrokiem zegara. Straciła poczucie czasu. Oczywiście, Ceimo miał rację. Był już prawie sobotni ranek. Zostały im niecałe dwadzieścia cztery godziny.

– Tak, niedziela po Święcie Dziękczynienia, drugi pod względem liczby podróżnych na lotniskach dzień w roku.

– Skurwysyn.

– Mam listę ewentualnych lotnisk. Jest ich siedem. Nie wiemy, które zostanie ostatecznym celem.

– Minneapolis?

– Nie ma go na liście.

Usłyszała, że odetchnął z ulgą.

– Przepraszam – rzekł, przyłapując się na tym.

– Nie ma za co.

Wyglądała przez okno. Śnieg przykrył dosłownie wszystko, ławki na przystankach autobusowych, latarnie, automaty z gazetami. Gnane wiatrem płatki śniegu wirowały w światłach reflektorów. Białe lampki mrugały na zmrożonych gałęziach udekorowanych już świątecznie choinek. Przypominało to pejzaż zimowej krainy czarów.

– Co mogę zrobić?- spytał Ceimo.

Maggie poważnie zastanawiała się, o co go poprosić, a jeszcze poważniej, co mu w ogóle przekazać. Doszła do wniosku, że najlepiej unikać niedopowiedzeń, bo prowadzą tylko do zbędnych spekulacji. Podała mu tyle, ile mogła faktów i szczegółów na temat uprowadzenia Dixona Lee. Do spełnienia obietnicy uwolnienia chłopca potrzebowała pomocy, choć w obecnej chwili, posiadając tak zdawkowe informacje, przypuszczała, że to niewykonalne.

Ceimo zapewnił ją, że gubernator chętnie zrobi wszystko, co konieczne. Henry Lee i jego imperium z Fortune 500 liczyły się w stanie Minnesota. Zatrudniał ponad sześć tysięcy ludzi, a suma płaconych przez niego stanowych podatków była nie do przecenienia. Ceimo zgodził się, że należy działać szybko i dyskretnie. Im mniej osób będzie w to zaangażowanych, tym większa szansa, że znajdą Dixona Lee żywego.

A jednak Maggie nie wspomniała mu o szokującym przypuszczeniu, że Kierownik Projektu, człowiek odpowiedzialny za eksplozje w centrum handlowym, może być owym niesławnym Johnem Doe Numer Dwa, tak zwanym trzecim terrorystą, który, jak głosiły pogłoski,

razem z Timothym McVeighem i Terrym Nicholsem podłożył ładunki wybuchowe w Oklahoma City. Według pewnych teorii spiskowych to on kierował tamtą akcją. Maggie uznała ten pomysł za szalony. A może nie był szalony?

Kiedy Ceimo wysadził ją przed hotelem, nie było tam już takich tłumów. Tym razem, gdy poszła po lód i dietetyczną pepsi, nie musiała torować sobie drogi łokciami i przepychać się przez stojących w kolejkach ludzi. Kilku pracowników hotelu w niebieskich blezerach uśmiechało się do niej. Jeden powiedział, gdzie znajdzie napoje, a potem spytał, czy może coś jeszcze dla niej zrobić. Dopiero gdy wsiadła do windy i ujrzała swoje odbicie w lustrzanych ścianach, zrozumiała, skąd ta nadzwyczajna troska. Wciąż miała na sobie biały lekarski fartuch.

Tym razem starała się nie słuchać świątecznych melodii, które towarzyszyły jej od wejścia do windy do drzwi pokoju. Nie znajdowała w nich żadnej pociechy. Padała z nóg. Posiniaczony bok, którym uderzyła o kratownicę samochodu pchnięta przez młodego Sudańczyka, wciąż dawał się we znaki. Żołądek przypominał jej, że nadal jest pusty. Miała też wrażenie, że dźwiga na swoich barkach kolejny ciężar, który znalazł się tam za sprawą wyznania Henry’ego Lee.

Gdy tylko weszła do pokoju, otworzyła puszkę z dietetyczną pepsi i przytknęła ją do ust. Potem wyjęła telefon i zaczęła wybierać pierwszy z wielu numerów, z którymi zamierzała się połączyć.

Odetchnęła głęboko. Nadeszła pora, by zadzwonić do zastępcy dyrektora Kunzego i do Charliego Wurtha. Musi ich o wszystkim poinformować. Wcześniej postanowiła nie prosić Kunzego o pozwolenie, za to teraz będzie zmuszona prosić go o przebaczenie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Patrick z trudem łapał oddech. Przecież w tych urządzeniach jest jakaś wentylacja, prawda? Był o tym przekonany. To oczywiste, że jest. Powtarzał sobie, że jego sytuacja w niczym nie przypomina przebywania pod wodą albo w hermetycznie zamkniętej komorze. Przecież nie wessał całego powietrza. Wystarczy mu tlenu. Musi się tylko uspokoić i po prostu oddychać.

Mówił sobie, że strażacy podczas akcji często przeciskają się przez bardzo wąskie przejścia. Prawda? Przecież o tym czytał. Czego go nauczyli podczas tych seminariów z pożarnictwa? Czy zdoła sobie przypomnieć jakąś istotną informację, jakąś przydatną radę albo sztuczkę? Na przykład jak sobie poradzić, nie mając pod ręką kilofa? Jakiego kilofa? On nie miał nawet śrubokrętu.

Kogo próbował oszukać? Żaden profesjonalny strażak nie wszedłby do przemysłowej suszarki i nie zamknąłby za sobą drzwiczek.

Pot ciekł mu strużkami po plecach i twarzy. Musiał go wciąż wycierać z oczu. Kombinezon przykleił się do ciała. W suszarce było potwornie gorąco. Ile czasu już tu tkwił? Odnosił wrażenie, że wiele godzin, choć wiedział, że nie trwa to tak długo. Dwadzieścia minut? Czterdzieści? Może godzinę.

Panika, z którą zmagał się na początku, kompletnie go wyczerpała. W ramieniu, którym pchał i uderzał w zamknięte na amen drzwi, odezwał się ból. Przed wołaniem o pomoc powstrzymywało go jedynie to, że znów musiałby stanąć naprzeciw Franka o mięsistych policzkach i wyjaśnić mu, dlaczego utknął w tej suszarce.

Skupił się na gumowej uszczelce wokół drzwi, próbował ją oderwać. Jeszcze jeden kawałek. Tyle że niczego to nie zmieniło. Nie powstała najmniejsza nawet szpara. Cholerne drzwi ani drgnęły. Bolały go opuszki palców, które wciskał w miejsce po uszczelce, licząc, że odchyli czy wyważy drzwi. Kontuzjowana dłoń jeszcze nie krwawiła, ale pulsowała z bólu. Zaczynało mu brakować pomysłów. I w końcu zaczynało mu też brakować powietrza, niezależnie od zbawczej teorii o otworach wentylacyjnych.

Okej, więc jest kiepsko, ale na szczęście nie zamknął się w zamrażarce.

Gdy po raz pierwszy spotkał Maggie, pracowała nad jakąś sprawą w Connecticut. Morderca, o którym rozpisywano się na pierwszych stronach dzienników o krajowym zasięgu, okazał się psychopatą, który wycinał swoim ofiarom chore organy i przechowywał je w słoikach. Ciała upychał do dwustulitrowych beczek ukrytych w opuszczonym kamieniołomie. Ten gość wrzucił Maggie do zamrażarki i zostawił ją tam, żeby zamarzła na śmierć. Kiedy ją odnaleziono, zdążyła nabawić się poważnej hipotermii. Tak fatalnej, że lekarze musieli wypompować z niej całą krew, ogrzać ją i z powrotem wpompować. To zdumiewające, co

potrafi współczesna medycyna. Zdumiewające, że Maggie przeżyła. Prawdę mówiąc, sama Maggie była zdumiewająca. Dlaczego uprzytomnił to sobie akurat w tej chwili?

Kiedyś była dla Patricka zupełnie obcą osobą. Współczuł jej, ale nic poza tym. Mimo to odwiedził ją kilka razy w szpitalu, siedział przy jej łóżku i dotrzymywał towarzystwa. Ale co więcej mógł zrobić? Poza tym tamtej jesieni miał wiele innych spraw na głowie.

Później parokrotnie umawiał się z Maggie na lunch czy kolację. Lubił słuchać, jak opowiadała o ojcu, chociaż, podobnie jak Maggie, Thomas O'Dell był dla niego obcym człowiekiem. Patrick nie posiadał żadnych konkretnych namacalnych dowodów jego obecności, żadnych wspomnień czy zdjęć. Żadnych pamiątek. Nie nosił nawet jego nazwiska.

Co gorsza, matka oznajmiła kiedyś, że temat jego ojca nie istnieje. Nie chciała o nim rozmawiać i życzyła sobie, by syn uszanował jej wolę. Powiedziała, że wie, iż Patrick nie zrobi z tego problemu. Jak mogła nie zdawać sobie sprawy, że odmawiając mu rozmowy na „ten temat", tak naprawdę odmawiała synowi wiedzy o nim samym, o jego korzeniach? Dlatego wolał spędzić Święto Dziękczynienia z przyjaciółmi, którzy uważali, że znają go tak dobrze, iż mogą go zostawić samemu sobie, zamiast spędzać je z rodziną, która wcale go nie zna.

Wszyscy postrzegali go jako dojrzałego, niezależnego dwudziestotrzyletniego mężczyznę, który poradzi sobie

w każdej sytuacji, skoro już tyle czasu tak świetnie sobie radził. A może miał już tego serdecznie dosyć? Może dla odmiany pragnął na kimś się oprzeć?

Temperatura w suszarce rosła. Patrick oparł głowę o metalowy bęben. To nie był właściwy moment, żeby na kogoś liczyć. Skoro wszyscy uważali, że jest taki zaradny, to, do cholery, powinien wydostać się z tej pieprzonej suszarki. Trzeba spokojnie pomyśleć i spojrzeć na to świeżym okiem.

Nie pamiętał, gdzie znajdują się zawiasy, z której strony. Czy otwierając drzwi suszarki, pociągał za rączkę? Był tak spanikowany, kiedy się tutaj chował. Czy to możliwe, że walił ramieniem z tej strony, gdzie były zawiasy?

Może należy spróbować z drugiej strony.

Przekręcił się, aż metalowy bęben jęknął. Usadowił się w taki sposób, że plecami opierał się o tył suszarki. Kolana przyciągnął do siebie, a stopy położył na drzwiach. Nie zastanawiał się, czy stłucze szkło albo skaleczy się w nogę. Potrzebował powietrza. Chciał stąd wyjść. Oderwał stopy od drzwi, a potem uderzył w nie piętami tak mocno, jak się dało.

Drzwi ustąpiły.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Nick naciskał klawisze i przyciski, przewijając taśmy w pokoju z monitorami. Starał się wykonywać wszystko po kolei, tak jak go nauczył Jerry Yarden. Wtedy właśnie zadzwoniła Maggie. Chwilę wcześniej Nick w końcu przekonał Yardena, żeby poszedł do domu, posiedział z rodziną i odpoczął. Wyobrażał sobie, że Jerry mieszka w kawalerce, a jego rodzina to kot, no, może dwa koty. Starał się ukryć zaskoczenie, gdy Yarden – nieśmiało, ale z dumą – otworzył swój portfel i pokazał Nickowi zdjęcie swojej rodziny: pięknej brunetki, trzech przystojnych synów i małego białego psa skulonego na kolanach żony. Nick pomylił się nawet co do kota.

– Na pewno da pan sobie radę? – spytał na pożegnanie, zerkając na panel klawiszy i monitory.

Nick zastanawiał się, czy Yarden martwi się o niego, czy też boi, że zostawia swój sprzęt na łasce i niełasce szefa.

– Wszystko będzie dobrze. Niech pan idzie uściskać żonę i dzieciaki, Jerry. Zrobił pan dobrą robotę, naprawdę dobrą. Gdybym pana potrzebował, zadzwonię.

Nick czuł, że niewiele już dokona. Był zmęczony, ale nie miał ochoty wracać do hotelu. Przed przyjazdem do Minnesoty zarezerwował pokój w tym samym hotelu, gdzie znajdowało się teraz centrum dowodzenia, ale nie miał jeszcze okazji tam wrócić choćby po to, by otworzyć

walizkę. Wciąż zerkał na zegarek. Dzwonił już do swojego szefa, Ala Banoffa, żeby mu przekazać najświeższe informacje. Było za późno albo raczej zbyt wcześnie, by telefonować do Christine z pytaniem o ojca.

Zamiast wracać do hotelu, Nick udał się do centrum handlowego. Poszedł z powrotem do pokoju z monitorami i zaczął oglądać fragment po fragmencie nagrania, na których występował trzeci z młodych terrorystów. Miał w pamięci zdjęcie Patricka Murphy'ego, a teraz pragnął się przekonać, czy ten trzeci terrorysta albo jego przyjaciel to może być właśnie on. Ale na wszystkich nagraniach, które znalazł, gdy tylko dwaj młodzi mężczyźni i towarzysząca im młoda kobieta wjechali ruchomymi schodami na trzecie piętro, od razu znikali w barze i z zasięgu kamer.

Potem zadzwoniła Maggie.

Tak, to głupie, lecz gdy usłyszał jej głos, skoczyła mu adrenalina. A kiedy poprosiła go o pomoc, poczuł się jeszcze lepiej. Zaprosiła go do swojego pokoju w hotelu... Chodzi o sprawę, skarcił się. Pracowali nad sprawą – tragiczną, przerażającą sprawą. Dlaczego zatem serce zabiło mu mocniej? Dlaczego porywy wiatru rozwiewające poły płaszcza nie wydawały mu się już lodowato zimne? Kiedy wszedł do holu, pokonawszy drogę z centrum handlowego na piechotę, zdjął skórzane rękawiczki i przekonał się, że ma spocone ręce. Dłonie wprost były mokre od potu. To idiotyczne, jest po prostu żałosny.

Wstąpił jeszcze do swojego pokoju po laptop, o który prosiła go Maggie. Zrzucił płaszcz, przejrzał się w lustrze,

a następnie zdjął buty, skarpetki, spodnie, koszulę i krawat. Spóźni się parę minut, ale musi się odświeżyć. Musi wziąć prysznic.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Henry Lee wlepiał wzrok w zegar na ścianie poczekalni oddziału intensywnej opieki kardiologicznej. Siedział tak już dobrych piętnaście minut, śledząc wzrokiem nieznośnie powolny ruch wskazówek. Czekanie nadwerężyło jego i tak już napięte nerwy. Jeszcze tylko pięć minut i będzie mógł po raz kolejny zadzwonić do Dixona.

Ktoś zostawił „Saturday Tribune” na pustej ladzie recepcji. Kolorowe zdjęcia i nagłówki na pierwszej stronie dotyczyły eksplozji w centrum handlowym. Nie chciał tego oglądać. Nie mógł nawet na to patrzeć.

Starał się siedzieć spokojnie. Obgryzł już paznokcie do połowy, tak jak jego wnuk. Dawno tego nie robił, zastąpił to szklaneczką słodowej whisky, ale od Święta Dziękczynienia nie miał okazji się napić. A teraz była już sobota rano.

W ciągu dwudziestu czterech godzin nastąpi kolejny atak.

Potrząsnął głową. Nikt ich nie powstrzyma. Nie bardzo wierzył w możliwości agentki specjalnej Margaret O’Dell. Przypuszczalnie ostrzeże lotniska i Departament Bezpieczeństwa Krajowego. On zrobił swoje, więcej już nie mógł.

Henry chciał ufać, że młoda agentka FBI znajdzie sposób, by uratować Dixona, ale gdzieś w głębi duszy wiedział, że wymusił na niej obietnicę nie do spełnienia. To on musi się tym zająć. Jeśli chce jeszcze zobaczyć wnuka, tym razem

musi z nimi pertraktować, odstawić na bok złość i wynegocjować jakąś ugodę.

Ludzie, którzy przetrzymywali Dixona, byli najemnikami, sługusami tego Kierownika Projektu. Można ich kupić. Starał się sam siebie o tym przekonać. Pieniądze nie miały dla niego znaczenia, on je ma albo zdobędzie. Już zaczął w myśli prowadzić rachunki i sprawdzać konta, by stwierdzić, gdzie są jakieś płynne aktywa. Świąteczny weekend trochę to utrudni, ale nie jest to niemożliwe.

Wreszcie nadeszła pora. Teraz może zadzwonić.

Ręce znowu mu się zaczęły irytująco trząść, co wcale nie ułatwiało wybrania numeru w automacie telefonicznym w poczekalni.

W słuchawce rozległ się sygnał. Pierwszy... drugi... trzeci... czwarty... Muszą odebrać. Odczekał przecież wyznaczonych przez nich pięć godzin. A jednak nikt nie podniósł słuchawki z tamtej strony, Henry usłyszał tylko po piątym sygnale swój głos nagrany na automatyczną sekretarkę, który oznajmił mu, że może zostawić wiadomość.

– Nie! – Trzasnął słuchawką.

Jego telefon komórkowy wciąż był włączony. Nie słyszałby pięciu sygnałów, gdyby go wyłączyli albo gdyby bateria się rozładowała. Dlaczego nie odbierają? Poza tym muszą z nim rozmawiać. Jak zdobędą jakikolwiek okup, jeśli z nim nie pogadają? Czy nie o to im chodzi? Tak, muszą z nim pomówić. Ta rozmowa leży w ich najlepszym interesie.

Raz jeszcze wybrał numer, naciskając przyciski tak szybko, jakby chciał oszukać drżące palce. Odetchnął głęboko, ignorując kwas podchodzący z żołądka do gardła. W słuchawce rozlegał się sygnał za sygnałem, a potem usłyszał kliknięcie i:

– Mówi Henry Lee, proszę zostawić wiadomość po sygnale.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Kiedy na odgłos pukania Maggie otworzyła drzwi, powściągnęła uśmiech. Nick Morrelli wyglądał świetnie i pachniał tak, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Włosy miał wciąż wilgotne i nieuczesane. Nie zdążył się ogolić, ale ciemny zarost tylko dodawał mu urody, podkreślał urocze dołeczki w policzkach. Przebrał się w niebieskie dżinsy i zamienił koszulę z krawatem na błękitny sweter z wycięciem pod szyją, który pasował do koloru oczu i przydawał im blasku. Pomyślała, bo nie mogła się powstrzymać, że Morrelli potrafi każdą sytuację obrócić na swoją korzyść.

Wciąż była w szpitalnym stroju. Nie przebrała się, miała zbyt wiele do zrobienia. I ani chwili do stracenia. Poza tym to bawełniane lekarskie ubranie było całkiem wygodne.

– Obsługa kończy pracę o pierwszej – oznajmiła, wpuszczając Nicka do środka – ale recepcjonista przyniósł jakieś resztki. – Wskazała na tacę na biurku z rozmaitością owoców, serów i krakersów. – Poczęstuj się. – Wzięła kilka zielonych gron.

– No no, miło z ich strony.

– Tak, to zdumiewające, jak świetnie traktowani są lekarze – rzekła, pociągając za niebieską bluzę.

– Bardzo sprytnie. Zapamiętam to sobie. Jak człowiek wygląda na prawnika, niczego nie dostaje za darmo.

Uśmiechnęła się i wróciła na swoje miejsce w kącie, gdzie stały obok siebie dwa wygodne fotele rozdzielone lampą. Przysunęła jeden z nocnych stolików przed swój fotel, żeby położyć na nim laptop. Poza tym niemal wszystko w tym pokoju pozostało bez zmian. Walizka leżała nietknięta na nietkniętym łóżku.

Nick nałożył sobie na papierowy talerz plasterek melona, winogrona, truskawki, kawałki różnych serów i parę krakersów. Maggie udała, że na niego nie patrzy, kiedy zachwiał się, idąc przez pokój w stronę drugiego fotela. Zerknął na nią z zażenowanym uśmiechem.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłem. – Wypuścił laptop spod pachy na miękki fotel.

Maggie zrobiła na stoliku miejsce dla drugiego talerza.

– Wiem. Musieliśmy wyjść z „Róży i Korony”, zanim zdążyliśmy zamówić.

– A właśnie, gdzie zostawiłaś Ceimo?

– Prosiłam go o przysługę.

– Naprawdę?

Maggie popatrzyła mu w oczy. Znała to spojrzenie. Był zazdrosny. Nick zauważył, że się tego domyśliła.

– Twój brat się odezwał? – spytał.

Dobrze, że zmienił temat. Wspominając wizytę w pubie, Maggie przypomniała sobie o Patricku.

– Nie, i nie odpowiada na moje telefony. Mam nadzieję, że jest bezpieczny w jakimś ciepłym miejscu.

Jeśli nawet Nick oczekiwał dłuższego wyjaśnienia, nie naciskał.

– Więc o co chodzi? – spytał, wskazując na jej laptop i wkładając do ust kawałek sera.

Przez telefon powiedziała mu bardzo niewiele, poza tym, że otrzymała pewne informacje od jakiegoś informatora, a teraz potrzebuje pomocy i chce, żeby Nick wziął w tym udział.

– Mamy dwie godziny do spotkania z Kunzem i Wurthem na dole. Opracowują już detale, ja zaś mozolę się nad sądowymi dokumentami i pomyślałam, że nikt lepiej niż prokurator nie pomoże mi przez to przebrnąć.

– Zwłaszcza kiedy przekupisz go darmowym żarciem.

– No właśnie.

Nick odłożył talerz, przesunął laptop i usiadł na fotelu obok Maggie, skąd widział ekran jej komputera.

– Sądzisz, że to ma coś wspólnego z wybuchem bomby w Oklahoma City?

– To nie mój pomysł. Ktoś mi to zasugerował. Prawdę mówiąc, mój informator powiedział, że mózg tych eksplozji w centrum handlowym dawał do zrozumienia, że jest Johnem Doe Numer Dwa. Wiem, że to absurd. Najprawdopodobniej facet chciał zrobić wrażenie, mimo wszystko muszę to sprawdzić. Szukam osób podejrzewanych o to, że są Johnem Doe Numer Dwa, by przekonać się, czy któryś z nich mógłby być naszym terrorystą. Co wiesz na temat wybuchu w Oklahoma City?

– Pamiętam, że byłem wówczas strasznie wkurzony. Chodziły słuchy, że McVeigh brał pod uwagę budynek federalny w Omaha, zanim ostatecznie zdecydował się na

Oklahoma City. Poza tym Junction City w stanie Kansas dzieli od Omaha tylko kilka kilometrów.

– Więc znasz niektóre szczegóły. – Ucieszyła się, że wciąż je pamiętał. W Junction City w stanie Kansas McVeigh i Nichols wynajęli ciężarówkę, którą przewozili swoje ładunki.

– Zacząłem wykładać prawo na Uniwersytecie Nebraska-Lincoln rok przed tym, jak McVeigh został stracony. Cała ta sprawa stanowiła znakomite studium przypadku. Facet był koszmarem dla adwokata.

– Ponieważ przyznał się, że zaplanował tę zbrodnię i przeprowadził swój plan? – Maggie stukała w klawisze, szukając dokumentu, który dopiero co czytała.

– Jego pierwszy obrońca... Jones, zdaje się, nie pamiętam imienia. – Nick podrapał się w brodę.

– Stephen Jones.

– Więc ten Jones twierdził, że McVeigh nie był z nim szczery. Zmieniał swoją wersję wydarzeń nawet podczas ich prywatnych rozmów. Jones wielokrotnie powtarzał, że były w to zaangażowane jeszcze inne osoby, nie tylko Terry Nichols.

– A McVeigh je chronił?

– Albo chciał pokazać, że odgrywał większą rolę niż w rzeczywistości. To by pasowało do pomysłu, że chciał być męczennikiem.

– Tutaj nikt nie twierdzi, że chce być męczennikiem. Nikt w ogóle nie przyznał się do tego ataku. – Maggie wzruszyła ramionami. – Przejrzałam wiele dokumentów. Jeśli to ten

sam człowiek, to działał zupełnie inaczej. Nie znajduję nic, co przypominałoby eksplozję w Oklahoma City. Już same bomby różnią się radykalnie. Ponad dwa tysiące kilogramów azotanu amonowego i paliwo do odrzutowców wpakowane w wypożyczoną furgonetkę to zupełnie co innego niż trzy plecaki.

Przeczesała palcami włosy, powstrzymując się przed tym, by za nie pociągnąć. Miała wrażenie, że tracą czas. Henry Lee tak naprawdę nie zdradził jej nic, na czym mogłaby się oprzeć.

– Technologia produkcji bomb zmieniła się. Ile to czasu minęło od Oklahoma City? Piętnaście lat? Może tym razem furgonetka nie była mu potrzebna.

Maggie podniosła wzrok na Nicka. W pewnym sensie miał rację. Po 11 września trzy plecaki wypakowane ładunkami wybuchowymi w samym środku zatłoczonego centrum handlowego mogą równie fatalnie podziałać na psychikę Amerykanów co dawniej ponad dwa tysiące kilo azotanu amonowego i paliwo do odrzutowców.

– Muszę ci to powiedzieć – zaczął znowu Nick i urwał na moment. – Nigdy nie uważałem, że John Doe Numer Dwa to jakaś fikcja, zwykły absurd.

– Naprawdę?

– Za dużo zbiegów okoliczności. Wiem, że naoczni świadkowie są notorycznie niewiarygodni, ale zbyt wiele osób przysięgało, że McVeigh pokazywał się z kimś jeszcze, kto nie odpowiadał rysopisowi Terry’ego Nicholsa. Mnóstwo pytań pozostało bez odpowiedzi.

– Nigdy nie uważałam Nicka Morrellego za wyznawcę teorii spiskowej.

– Jeśli sprawa jest taka jednoznaczna, dlaczego zawracasz sobie głowę tym, co powiedział ten facet? Dlaczego tego nie odrzucisz?

Oparła plecy, westchnęła zirytowana. Oczy ją piekły, stłuczony bok nie przestawał boleć.

– Bo nic innego nie mam. Zastępca dyrektora Kunze sprawdzi naszego informatora. Wurth dowie się, czy któreś z lotnisk otrzymało ostrzeżenia lub groźby ataku bombowego. Jedyne, co przekazał mi informator, to ostrzeżenie. O kolejnym ataku. Jutro.

Pozwoliła, żeby te słowa dotarły do Nicka, który po chwili potarł szczękę, jakby ktoś mu ostro przywalił. Tak, tak właśnie się poczuł. Jakby ktoś dowalił mu bez uprzedzenia.

– Powiedział mi, że to będzie lotnisko – podjęła Maggie, przesuwając się znów na skraj fotela i szukając listy, którą Henry Lee przesłał na jej adres e-mailowy. Czytała ją już chyba dwanaście razy, szukając ukrytej wskazówki, która naprowadziłaby ją na to, dlaczego wybrano właśnie tych siedem lotnisk i które zostanie ostatecznym celem.

– Przekazał mi listę – oznajmiła – ale nie dał żadnej podpowiedzi, który port lotniczy zaatakują. Wurth próbuje ostrzec je wszystkie, ale dokąd mamy wysłać dodatkowe posiłki?

Nie zauważyła, że Nick przesunął się, by spojrzeć z bliska, ściągnął brwi, oparty ramieniem o jej ramię.

– Skąd to masz?

– Czemu pytasz?
– Widziałem już tę listę. Dokładnie tę samą listę.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Na górze ktoś potwornie tłukł się i hałasował. Rebecca nie miała pojęcia, co robią porywacze. Te dźwięki przypominały burzowe grzmoty. Wyobraziła sobie młoty dwuręczne walące o metal i tłuczone szkło. Ciężkie przedmioty spadały z hukiem na podłogę, która była jej sufitem. Nie zdziwiłaby się, gdyby coś przebiło drewniane krokwie i wylądowało na jej głowie. Zresztą nie obchodziło jej, co oni tam wyprawiają. Dopóki są na górze, nie skrzywdzą jej. Przeszukała dokładnie całą tę piwnicę, pochylona, z rękami wciąż związanymi na plecach. Starała się opanować strach, który wywoływał nudności. Wszechobejmujący zapach benzyny palił jej płuca i także przyprawiał o mdłości. Bała się, że zwymiotuje, chociaż w żołądku nie czuła nic prócz kwasów. Szukała czegoś ostrego – porzuconego narzędzia, nożyczek, czegoś o ostrym wyszczerbionym brzegu, czegokolwiek, czym mogłaby przeciąć plastikową taśmę krępującą dłonie w nadgarstkach.

Niczego takiego nie znalazła. Były tam tylko puste puszki po benzynie. Jakieś półki. W jednym rogu stał ohydny stary piec. Rebecca mu się przyjrzała. Dno dużego metalowego korpusu było zardzewiałe. Wychodziły z tego ustrojstwa rozmaite chaotycznie połączone rury. Przypatrywała się temu, szukając wzrokiem wystających śrub czy bolców, aż

w jednym z rogów piecyka dojrzała zagiętą metalową blaszkę. Ktoś przybił ją młotkiem na miejsce, a jednak blaszka odstawała, sfatygowana, z poszarpanymi brzegami... i ostra.

Rebecca była tak bardzo podniecona, że zapomniała o mdłościach.

Blaszka znajdowała się trochę za wysoko. Żeby się do niej dostać, musiała wykonać kilka sprytnych manewrów. Kiedy ból przeszył zranioną rękę, zrobiła sobie przerwę. Usiadła, przeczekała zły moment, złapała oddech. Po chwili ponowiła próbę, stopniowo unosząc ręce za plecami. Musiała unieść nadgarstki dość wysoko, nad wystającą blaszkę. Da radę, ale jak długo wytrzyma w tej pozycji? Trzeba przecież pocierać taśmą o ostry kant aż do skutku.

Jeszcze odrobinę wyżej. Już prawie trafiła, kiedy cały ten hałas na górze raptownie ucichł.

Rebecca opuściła ręce i czekała, nasłuchiwała. Może znowu zaczną. Może przerwali tylko na moment. Albo wyszli. Czy to możliwe, żeby sobie poszli? Usłyszała jakieś podniesione głosy. Kłócili się. Potem nagle otworzyła się klapa nad jej głową.

Rebecca czmychnęła w kąt, chociaż wiedziała, że tak naprawdę nie ma dokąd uciec. Jeszcze kilka minut, a przecięłaby pętającą jej ręce taśmę i przynajmniej mogłaby się bronić. Tym razem kopałaby i krzyczała. Nieważne, czy ktoś by ją słyszał.

Światło wpadające przez otwór w suficie było niebieskawe, nie tak jasne, jak się spodziewała, lecz mimo

to musiała zmrużyć oczy. Starała się zwolnić oddech, żeby lepiej słyszeć, ale serce tak jej waliło, że zagłuszało wszystkie inne dźwięki.

Ktoś wybierał się na dół. Widziała jakieś cienie wi- szące nad otworem. Ci ludzie znów mówili głośniej, ale nie rozumiała słów. Dobiegły ją odgłosy szarpaniny, a potem skrzypienie gumowych podeszew na linoleum, jakby ktoś je po nim ciągnął. Później bez uprzedzenia przez otwór kogoś wrzucono, jakieś ciało spadło z hukiem na betonową podłogę.

Klapa zamknęła się z trzaskiem, tym razem szczelnie, odcinając wszelki dopływ światła. Ale zanim to się stało, Rebecca rozpoznała nieruchomą postać. To był Dixon.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Nick zdawał sobie sprawę, że to głupie – no dobrze, nawet dziecinne – ale pomimo stresu i krytycznej sytuacji wciąż czuł się zawiedziony. Maggie prosiła go o pomoc nie dlatego, że chciała mieć obok siebie przyjaciela, nie dlatego, że pragnęła się na nim oprzeć, a wyłącznie z tego powodu, że był prawnikiem i mógł szybko i sprawnie przejrzeć rozmaite sądowe dokumenty i zorientować się w nich. No cóż, wydawało się, że jego pomoc może nawet przejść jej najśmielsze oczekiwania.

– Widziałeś dokładnie tę samą listę lotnisk? – spytała takim tonem, jakby mu nie dowierzała.

– Dwa tygodnie temu. UAS, to znaczy United Allied Security wysłało mnie na seminarium na temat ataków terrorystycznych w ramach przygotowania do mojej nowej pracy. Poruszano tam głównie podstawowe kwestie. No wiesz, czego szukać, jak lepiej zabezpieczyć te miejsca, którym UAS zapewnia ochronę albo które zaopatruje w specjalistyczny sprzęt.

Nick sporo nauczył się na tym seminarium, a jednak nie podobało mu się, że przypominało szkolenie dla akwizytorów. Łącznie z tym, że dawano im wskazówki, jak przekonać klienta do unowocześnienia starego systemu. Wówczas myślał, że niektóre z prezentowanych tam scenariuszy są nieco na wyrost i zastanawiał się, czy nie

tworzą atmosfery zagrożenia, żeby zwiększyć dochody i premie dla UAS.

– Widziałeś tę listę podczas seminarium?

– To lista lotnisk wybranych do modernizacji.

– Co takiego ma zostać zmodernizowane?

– W centrach handlowych UAS zapewnia personel ochrony oraz sprzęt. Ochroną wszystkich lotnisk zajmuje się obecnie Administracja do Spraw Bezpieczeństwa Transportu, ale nasza firma, przynajmniej jeśli chodzi o te lotniska, które podpisały z nami umowę, dba o sprzęt, konserwuje go i wymienia.

– Na przykład skanery?

– Skanery, kamery, wykrywacze metalu. Ale tutaj nie chodziło wyłącznie o modernizację wykorzystywanego już sprzętu. W planie był cały nowy pakiet dotyczący ochrony hal przylotów i odlotów.

Maggie patrzyła na niego, jakby go nie zrozumiała.

– W tej chwili większość lotnisk nie ma dobrej ochrony w miejscach sprzedaży biletów oraz nadania bagażu – wyjaśnił. – Aż do stanowiska odprawy pasażerów nie ma żadnej kamery.

– Chronimy pasażerów w powietrzu, ale nie na ziemi. – Pokiwała głową.

– No właśnie. UAS naciskał na lotniska, żeby zaopatrzyły w wykrywacze metalu i kamery także te miejsca, na obrzeżach.

– Dlaczego wybrano akurat tych siedem lotnisk?

– Tego nie wiem.

Maggie przemierzała nerwowo długość pokoju. Nick już zapomniał, że miała taki zwyczaj.

– Od kogo dostałaś tę listę? – spytał, chociaż zdawał sobie sprawę, że pewnie nie może mu tego wyjawić i nie wyjawi.

– Kto jest właścicielem United Allied Security? – spytała w odpowiedzi.

– Zdaje się, że holding HL Enterprises.

– HL, czyli Henry Lee Enterprises? – Przystanęła, ale nie patrzyła na Nicka. Sprawiała wrażenie, jakby nagle ją olśniło.

– Tak, zgadza się. HL Enterprises jest właścicielem kilku firm związanych z ochroną i systemami bezpieczeństwa. Jedna produkuje sprzęt, inna zajmuje się strukturami organizacyjnymi. O ile mnie pamięć nie myli, przejęli UAS jakieś dwa lata temu. Wiesz, jak to działa. W zamian za większość decydujących o władzy głosów Lee wpakował w to kupę kasy.

Maggie znowu zaczęła krążyć. Tym razem Nick ją obserwował. Starał się odgadnąć jej myśli.

– Sądzisz, że to UAS stanowi cel tej grupy terrorystów? – Zadając to pytanie, od razu uznał je za pozbawione sensu.

Maggie jednak najwyraźniej sądziła inaczej. Nie odrzuciła tego. Znów się zatrzymała i usiadła, żeby widzieć listę na ekranie komputera. Potem położyła rękę na ramieniu Nicka. Czekała, aż spojrzy jej w oczy.

– Zwróciłam się do ciebie, ponieważ potrzebuję kogoś, kto pomoże mi to rozwiązać i komu mogę ufać.

Zaskoczyła go. Wiedział, że zdradza go wyraz twarzy, nie panował nad tym.

– Nie ufam zastępcy dyrektora Kunzemu. Musiałam mu wszystko powiedzieć, ale nie ufam mu, nie wierzę, że zrobi coś z tą informacją, i to tylko dlatego, że usłyszał ją ode mnie.

– O co mu chodzi?

– Obwinia mnie i Tully'ego o śmierć Cunninghama.

– To idiotyczne.

– Tak, ale on jest tymczasowym zastępcą dyrektora i naprawdę może nam uprzykrzyć życie. Myślę, że to jedyny powód, dla którego się tutaj znalazłam. Wiedział, że to będzie zadanie nie do wykonania. Chciał, żebym nie zdała tego egzaminu. Spodziewał się nawet, że na tym parkingu noga mi się powinie. Widziałeś nagrania z kamer. Jest bardzo mało prawdopodobne, żebyśmy na ich podstawie zidentyfikowali tych młodych ludzi, tak samo jak na podstawie profilu, który zdołam przygotować. I o to właśnie chodzi. – Ścisnęła jego rękę. – To nie ma żadnego znaczenia.

– Co masz na myśli?

– Nie ma żadnego znaczenia, kim są ci młodzi ludzie z plecakami. To przypadkowe osoby. Równie dobrze mogło paść na innych. – Jej oczy płonęły jak w gorączce, wyrzucała z siebie słowa w szalonym tempie, jakby głośno myślała, a Nick siedział tam tylko po to, by jej słuchać. – Kiedy sprawdzą komputery w ich pokojach w akademiku, znajdą w pamięci strony internetowe z instrukcją, jak

skonstruować bombę – kontynuowała. – Może nawet trafią na ślady materiału, którego użyto do produkcji tych bomb. Ale niezależnie od tego, ile czasu i wysiłku włożymy w próbę dowiedzenia się, kim byli Chad Hendricks i Tyler Bennett, albo czy Patrick był w to zamieszany, to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Ci młodzi ludzie zostali tylko wynajęci i na pewno nie doprowadzą nas do osoby, która za tym stoi, ponieważ nie wiedzieli, kto to zaplanował. Nie wiedzieli nawet, jaki los dla nich zaplanowano. Kierownik Projektu nie zostawił żadnych tropów. Zadbał o każdy drobiazg.

– Chwileczkę. Kim, do diabła, jest ten Kierownik Projektu?

– Właśnie na to pytanie musimy odpowiedzieć. Jeśli nie znajdę nic, co by go łączyło z którąkolwiek z osób podejrzewanych, że są Johnem Doe Numer Dwa, wówczas muszę spróbować odgadnąć, gdzie zaatakuje w następnej kolejności.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Zaproponowała, żeby włączyli telewizor. Potrzebowała jakiegoś hałasu w tle, byle tylko nie kolejnego pokazu jej pościgu na parkingu albo wywiadów z sąsiadami Chada i Tylera. Nick spełnił jej prośbę, wybierając kanał, na którym przez cały weekend nadawano filmy o tematyce bożonarodzeniowej, dla zaznaczenia, że to początek sezonu świątecznego.

– Jeden z moich ulubionych – oświadczył.

Maggie podniosła wzrok i zobaczyła Ralphiego z „A Christmas Story”. Dlaczego wcale jej nie zaskoczyło, że ulubionym filmem Nicka była historia o małym chłopcu, który chciał dostać strzelbę z kompasem i zegarem?

Do spotkania na dole z Kunzem i Wurthem została im godzina. Maggie wciąż liczyła na to, że coś znajdzie, coś, co mogłoby pokierować ich we właściwą stronę. Przeglądali dostępne w internecie sądowe dokumenty i kartoteki FBI, a Maggie starała się dodatkowo odgadnąć, które czynniki mogą zadecydować o wyborze lotniska przez Kierownika Projektu.

Nick zrobił słuszną uwagę na temat skutków tego ataku. Liczba ofiar może wcale nie być tutaj priorytetem. Czy Kierownika Projektu bardziej interesuje wpływ, jaki eksplozja wywrze na psychikę Amerykanów? Wybuch bomby w zatłoczonym centrum handlowym w samym

środku kraju w dzień po Święcie Dziękczynienia to coś, co może spotkać każdego, i z tego powodu jest jeszcze bardziej przerażające. Nie zaatakowano drogiego kurortu, pięciogwiazdkowego hotelu, nocnego klubu ani kasyna. Eksplozja w centrum handlowym w samym sercu kraju poruszyła każdego Amerykanina, który pomyślał: „To mogło się mnie przydarzyć”.

Maggie otworzyła znów w komputerze listę lotnisk. Czy któreś z nich czymś się wyróżniało? Lista – według Henry’ego Lee – nie została sporządzona według żadnego porządku.

Międzynarodowe lotnisko McCarran, Las Vegas, Nevada

Międzynarodowe lotnisko General Mitchell, Milwaukee, Wisconsin

Międzynarodowe Lotnisko Salt Lake City, Salt Lake City, Utah

Międzynarodowe Lotnisko Sky Harbor, Phoenix, Arizona

Międzynarodowe Lotnisko Cleveland-Hopkins, Cleveland, Ohio

Krajowe Lotnisko Reagan Washington, Washington, Dystrykt Kolumbii

Okręgowe Lotnisko Detroit Metropolitan Wayne, Detroit, Michigan

– Wierz mi lub nie, ale Las Vegas jest najbardziej zatłoczonym lotniskiem podczas świątecznego weekendu. – Nick wyrwał Maggie z zadumy, zerkając na ekran jej komputera.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Atak w Las Vegas spotkałby się z żywym oddźwiękiem.

Zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby wybrał Las Vegas.

– Instynkt ci to podpowiada? – spytał Nick.

– Pomyśl, sam zacząłeś od „wierz mi lub nie”. To niewykluczone, ale większość osób spędza Święto Dziękczynienia w domu swojej babci, a nie w kasynie. A jemu zależy na tym, żeby wszyscy pomyśleli, że im też może się to przytrafić.

Nick wycelował pilotem w telewizor i wyłączył głos Ralphiego tuż przed tym, jak chłopiec dostał kawałek specjalnego mydła.

– Co powiesz na inny cel na Środkowym Zachodzie? Czy to możliwe, żeby szukał czegoś w pobliżu? Milwaukee jest jakieś pięć, sześć godzin jazdy stąd. Detroit trochę dalej, może dziesięć godzin.

– W tej śnieżycy nie da się jechać samochodem. Moim zdaniem on dotarł na lotnisko, zanim zaczęto przenosić rannych do karetek.

– Ale z powodu śniegu loty też były opóźnione. Ceimo wspominał, że Stanowy Inspektor Pożarnictwa utknął w Chicago, a szef Yardena ugrzązł w New Jersey.

– Aha... Z jakim wyprzedzeniem ostrzegano o burzy śnieżnej?

Nick zmarszczył czoło w namyśle.

– Mówili o tym na początku tygodnia. Pamiętam to, bo obiecałem Christine, że w piątek pojadę z nią kupić choinkę. Miałem nadzieję, że śnieżyca wybije jej z głowy

ten pomysł. – Wzruszył ramionami. – W ten dzień wszyscy oglądają rozgrywki studenckiej ligi futbolu.

– No tak... – Skinęła głową z uśmiechem, przypominając sobie swoje plany na piątek. Czy to było wczoraj?

– W każdym razie ostatecznie śnieżyca ominęła Omaha. Sądzisz, że on brał pod uwagę burzę śnieżną?

Tym razem ona wzruszyła ramionami.

– Szukam jakiegoś logicznego sposobu eliminacji. Ile z tych lotnisk jest portami tranzytowymi?

Nick pochylił się i rzucił okiem na ekran. Palcem wskazującym przesunął wzdłuż listy, punkt po punkcie.

– Milwaukee obsługuje Midwest Airlines, Salt Lake City i Cleveland – Delta, Sky Harbor – Southwest i US Airlines. Detroit to częściowo port przesiadkowy dla Northwest. Czemu pytasz? Przypuszczasz, że to może lotniczy port tranzytowy?

– Nie, akurat myślę coś wręcz przeciwnego. Powiedziałeś, że UAS starał się namówić lotniska na modernizację hali przylotów i odlotów, tak? W porcie tranzytowym większość pasażerów tylko się przesiada, prawda? – Dojrzała błysk w jego oczach, kiedy śledził jej tok rozumowania. – A zatem większość pasażerów nie przechodzi przez miejsca, gdzie kupuje się bilety czy nadaje bagaż, więc atak nie zrobiłby wielkiego wrażenia. A znów na Reagan National w niedzielę po świętach będzie całkiem sporo polityków wracających na Kapitol.

– Właśnie wyeliminowałaś wszystkie lotniska z tej listy.

– Las Vegas i Phoenix to byłyby lotniska docelowe? – spytała, głośno myśląc i nie spodziewając się odpowiedzi od Nicka. – Miasta, gdzie amerykańska rodzina pojechałaby na Święto Dziękczynienia, gdyby chciała zrobić sobie przyjemność czy choćby uciec przed zimą.

– Właśnie coś sobie przypomniałem – rzekł Nick. – Lotniska są uzależnione od stanowych i federalnych środków, więc zwykle bierzemy to pod uwagę, kiedy rozmawiamy z nimi o modernizacji. Mówi się, że Phoenix dostanie sporo pieniędzy z kasy federalnej. Ma to coś wspólnego z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego. Phoenix to numer dwa na świecie, po Mexico City, jeśli chodzi o liczbę porwań.

Maggie z kolei wróciła pamięcią do tego, co Henry Lee mówił o swojej grupie wpływającej na politykę rządu.

– To musi być Phoenix.

Uściskała go, podniecona i odprężona równocześnie. Pocałowała go w policzek, ale Nick znalazł jej usta. Pozwoliła mu na ten pocałunek... chwilę za długo. Kiedy się odsunęła, brakowało jej tchu.

– Nick, to nie jest dobry pomysł. Oboje ledwie żyjemy.

– Ja jestem w świetnej formie.

Pogłaskał jej ramię, pieszczotliwie dotknął karku. Drugą ręką objął ją w talii, delikatnie przytulając do siebie, na tyle jednak mocno, by Maggie poczuła, że naprawdę jest w formie. Muskał wargami jej kark, koniuszek ucha... może też wcale nie była tak wyczerpana, jak jej się wydawało.

Nagle ktoś zastukał do drzwi, podejmując za nich decyzję, co z tym dalej zrobić.

– Cholera jasna. Możemy nie odpowiadać? – spytał Nick, a jednak wypuścił ją z objęć.

– Może to sprzątaczka?

– Za wcześnie – stwierdził. – Obsługa nie zaczyna przed szóstą rano, sprawdziłem.

Przeszła przez pokój, automatycznie przypominając sobie, gdzie leży jej smith & wesson.

Wyjrzała przez judasza, ale musiała to powtórzyć. A jednak była wykończona. Czy to możliwe, żeby wyobraźnia płatała jej takie figle?

Otworzyła zamek i szeroko otworzyła drzwi.

– Cześć – rzekł Patrick z zażenowaniem. Włosy miał potargane, ubranie pogniecione.

Maggie nie powiedziała ani słowa. Tym razem poszła za głosem instynktu i po prostu go uściskała.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Rebecca była przekonana, że Dixon nie żyje.

Nie widziała go w tych ciemnościach. Klapa na górze została szczelnie zamknięta, nie przepuszczała ani trochę światła. Nasłuchiwała jęków lub oddechu, ale słyszała tylko pomruki pieca.

Skuliła się w kącie, sparaliżowana ze strachu. Nadal miała związane ręce, nie mogła pomóc Dixonowi, jeśli żył i tylko był ranny.

– Dixon? – odezwała się po raz drugi czy trzeci. Jej głos brzmiał jakoś obco, był dziwnie spięty i cichy.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Zaczęła znów szukać w ciemności i znalazła tę wystającą blaszkę w rogu piecyka. Wyciągnęła się i dotknęła jej. Utrzymanie rąk tak wysoko i pod tym kątem było uciążliwe. Zaczepiła o blaszkę taśmą między nadgarstkami i przesuwała ręce do przodu i do tyłu. Zranione ramię pulsowało bólem, jednak nie ustawała, ostrą krawędzią metalu próbując przeciąć taśmę. Nie miała przy tym pojęcia, jak jej idzie.

Ale wzrok już przywykł do ciemności, a było ciemno choć oko wykol. Dojrzała zarys sylwetki Dixona. Wciąż leżał nieruchomo. Znajdowała się zbyt daleko, by sprawdzić, czy oddycha. Była przerażona. Najmniejszy dźwięk i kamieniała, nadstawiając ucha. Cisza na górze powinna ją

uspokoić. Cisza oznaczała, że nikt nie zejdzie na dół i nie skrzywdzi jej tak, jak skrzywdzili Dixona. Tymczasem nerwy miała napięte jak postronki. Dlaczego mieliby ją zostawić w spokoju? Żeby ją ktoś znalazł albo żeby uciekła?

Nadal walczyła z taśmą. Ramię potwornie bolało. W płucach czuła ogień od oparów benzyny. Miała ochotę krzyczeć, wrzeszczeć. Chciała się wściekać, bo wściekłość jest lepsza niż strach.

– W co ty nas wpakowałeś, do diabła, Dixonie Lee? – krzyknęła.

– Becca?

Omal nie podskoczyła, opuszczając nagle ręce. Usłyszała charakterystyczny dźwięk. Taśma puściła.

– Dixon?

– Gdzie jesteś?

Słyszała, że się poruszył, niewyraźny tłumok leżący na betonowej podłodze.

– Tutaj. – Po omacku ruszyła do niego. Przyjrzawszy mu się z bliska, zobaczyła, że także miał ręce związane za plecami. Kręcił się i wiercił, próbując usiąść. – Jesteś ranny? – spytała.

– Nie, tylko obolały. Chyba stłukłem kostkę. A ty? W porządku?

Gdy dotknęła jego ramienia, szarpnął się przestraszony.

– Masz wolne ręce.

– Twoje też uwolnimy. Sprawdzę tylko, czy nie masz żadnego złamania – powiedziała, przesuwając palce wzdłuż jego rąk.

– Nie ma czasu, Becca, musimy się stąd wydostać.

Próbował wstać i wpadł na nią. Chwyciła go w pasie, a on osunął się na kolana. Jej palce były mokre i śliskie.

– Mój Boże, Dixon, ty krwawisz.

– Becca, musimy się stąd wynosić. Oni podłożyli tutaj ładunki, zaraz wylecimy w powietrze.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Maggie zbierała siły na spotkanie z zastępcą dyrektora Kunzem. Po rozmowie z Patrickiem uznała, że przypuszczalnie brat posiada cenne informacje. Nie była pewna, czy Kunze spojrzy na to tak samo. Charlie Wurth znowu ją uratował. Zadzwonił do szefa policji Merricka i poprosił go, żeby przysłał policyjnego rysownika zamiast funkcjonariusza, który miałby aresztować Patricka.

– Nie wiem, czy to ma sens – powiedziała Maggie. – Jeśli Patrick faktycznie widział Kierownika Projektu, to tamten już z pewnością zmienił wygląd.

– Nigdy nie zapomnę jego oczu – rzekł Patrick. – Ani sposobu, w jaki się poruszał.

– Niestety obie te rzeczy da się zmienić.

– Zresztą może go tam wcale nie być, może wykorzystuje inną grupę młodych ludzi – uświadomił im Kunze.

– Nie sądzę, żeby tym razem kimś się posłużył – stwierdziła Maggie, spodziewając się protestu szefa. Tymczasem Kunze przekrzywił tylko głowę, zachęcając ją, by kontynuowała. – Nie ma takiej potrzeby. On już przygotował grunt. Skoro kolejna eksplozja ma nastąpić tak szybko po pierwszej, i tak wszyscy będą szukali białych studentów college'u.

Było ich pięcioro: Maggie, Patrick, Nick, Kunze i Wurth. Zebrali się w pokoju przeznaczonym dla śledczych. Ceimo

miał później do nich dołączyć. Tego dnia wyszło słońce, sączyło się przez okno. Miły wyczekiwany widok. Chcąc nie chcąc, Maggie zauważyła wyjątkową urodę rozświetlonego słońcem śnieżnego krajobrazu.

– Więc co on zamierza pani zdaniem? – spytał Wurth.

Kiedy odwróciła się od okna i podeszła do nich, wszyscy patrzyli na nią wyczekująco.

– Specjalistka od bomb – kontynuował Wurth – mówiła, że detonator, którego użył w centrum handlowym, przypominał jej widziane kiedyś plany brudnej bomby. Czy mam przekazać moim ludziom, żeby tego właśnie się spodziewali?

Maggie skrzyżowała ręce na piersi. Przebrała się w spodnie i sweter, ale blezer zostawiła w pokoju. Teraz tego żałowała. Chcieli usłyszeć od niej instrukcje, chcieli, żeby im powiedziała, co mają robić. A jeśli się myliła? Nawet Kunze czekał na jej wskazówki.

– Nie przypuszczam, żeby to była brudna bomba. Jemu nie zależy na totalnej jatce, on chce raczej oddziaływać na psychikę i emocje. Przecież w centrum handlowym miał okazję, by dokonać prawdziwej masakry. Mógł zabić setki ludzi. – Przerwała, dając im czas na komentarze. Nikt się nie odezwał. – Domyślam się, że będzie to bomba w walizce. Sam ją zawiezie i zostawi gdzieś obok zatłoczonych kas biletowych albo w miejscu nadania bagażu.

– Jeśli postawi ją na taśmociągu bagażowym, nie ma mowy, żebyśmy ją znaleźli w odpowiednim czasie – rzekł

Wurth, podciągając rękawy koszuli. – Boże wszechmogący, niedobrze.

– Właśnie dlatego musimy go złapać, gdy tylko dostanie się na teren lotniska.

– Przecież sama pani powiedziała, że zmieni wygląd. Nawet portret rysunkowy nam nie pomoże – stwierdził Kunze.

– Wiem, że go rozpoznam – zaskoczył wszystkich Patrick. Zapomnieli już o nim, czekał w kącie na przyjazd policyjnego rysownika. – Tylko postawcie mnie gdzieś, skąd będę go widział.

– Nie pojedziesz z nami do Phoenix – oświadczyła Maggie i natychmiast pożałowała, że przemawia jak nadopiekuńcza starsza siostra.

Wyjaśniła już, dlaczego jej zdaniem to Sky Harbour będzie kolejnym celem terrorysty. Wurth zgadzał się z jej argumentami, ale uprzedził, że na każdym lotnisku z listy umieści generała dywizji sił powietrznych.

– Przed chwilą zauważyłaś – odparł na to Patrick – że on już nie musi nikim się wysługiwać, bo wie, że będziecie szukać białych studentów. Więc może jednak nie zmieni swojego chodu, sposobu poruszania się. Może nie uzna za konieczne, żeby się maskować. Mówię ci, że nigdy nie zapomnę tych oczu.

– Nie zaszkodzi – rzekł Wurth – zabrać chłopaka.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Klapa w suficie stawiała opór. Rebecca szukała czegoś, czym mogłaby ją podważyć, podczas gdy Dixon walczył z krępującą mu ręce taśmą. Przy okazji, ku swej uldze, Rebecca znalazła kontakt. Pojedyncza słaba żarówka umieszczona między krokwiami oświetlała jednak tylko bardzo ograniczoną przestrzeń.

Dixon uspokajał ją, żeby nie przejmowała się jego krwawiącą raną.

– To tylko powierzchowne cięcie.

Tak to nazwał, a Rebecca pomyślała, że mówi jak jeden z bohaterów uwielbianych przez niego komiksów.

– Skąd wiesz, że podłożyli tutaj ładunki wybuchowe?

– Sami mi powiedzieli. Nawet się z tego śmiali. – Zdawało się, że brak mu tchu. – To było zaraz po tym, jak zadzwonił mój dziadek, a oni nie odbierali. Telefon dzwonił i dzwonił. Obiecali mu, że jak oddzwoni o określonej godzinie, będzie mógł ze mną porozmawiać. Ale nie pozwolili mi odebrać. Do diabła, telefon wciąż dzwonił, kiedy rzucili go na jedną z półek, gdzie nie mogłem go dosięgnąć.

Potrząsnął głową i wrócił do przecinania taśmy.

Nagle Rebecca poczuła jakiś inny zapach, poza benzyną. Sączył się przez otwory odpowietrzające.

– Dixon? Czujesz coś?

Pociągnął nosem.

– Cholera, to dym! – Zaczął szybciej poruszać rękami.

Rebecca znów uderzyła w klapę nad głową. Ręce już ją bolały. A jeśli ogień zajął pomieszczenie na górze? Tamci nie musieli wcale podkładać bomby. Przy takiej ilości rozlanej benzyny wystarczyło zapalić zapałkę i wszystko wyleci w powietrze, gdy tylko płomień dotrze na dół. Sytuacja była beznadziejna.

Rebecca usłyszała, że plastikowa taśma Dixona wreszcie pękła. Pośpieszył do niej, by jej pomóc. W tym samym momencie z góry dobiegły ich jakieś krzyki, tupot stóp i trzask drewna. Może tamci postanowili jednak wrócić i zabić ich, a potem zostawić na pastwę płomieni. Rebecca z Dixonem skulili się w kącie.

Klapa na górze powoli się uchyliła i pokazało się w niej metalowe ostrze siekiery. Zapach dymu był coraz bardziej duszący. Krzyki przybrały na sile. Jeszcze więcej par butów stukało nad ich głowami. Kiedy klapa wreszcie się uniosła, do środka wpadło jasne światło.

– Dixonie Lee! – krzyknął ktoś. – Jesteś tam?

Rebecca trzymała się jego ręki, kiedy zaczął czołgać się naprzód. Nad nimi, wokół bijącego blaskiem otworu w suficie, pochylali się trzej mężczyźni w mundurach brygady antyterrorystycznej.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Nick ledwie poznał Davida Ceimo, który wszedł do sali konferencyjnej hotelu w skórzanej lotniczej kurtce i lotniczych okularach przesuniętych na czubek głowy, na gęstą czuprynę. Na twarzy miał uśmiech.

Patrick właśnie skończył pracę z grafikiem policyjnym, który tak naprawdę nie rysował, tylko tworzył twarz zamachowca na ekranie komputera za pomocą specjalnego programu. Wurth bez przerwy rozmawiał przez telefon, korzystając z jednej ze stałych linii w hotelu zamiast ze swojej komórki. Kunze i Maggie przeglądali kolejne dokumenty. Wszyscy jednak przerwali swoje zajęcia, gdy Ceimo wkroczył do pokoju.

– Mamy go – rzekł do Maggie. – Jest cały, zdrowy i bezpieczny.

– Dzięki Bogu.

Nick rozejrzał się. Maggie była chyba jedyną osobą w tym gronie, która wiedziała, o co chodzi.

– Część kohorty tego terrorysty porwała dzisiaj wnuka Henry’ego Lee – wyjaśnił Ceimo.

– Dixona? – Patrick poderwał się na nogi. – Becca była z Dixonem.

– I nadal z nim jest. Są bezpieczni – oznajmił Ceimo. – Zamknęli ich w piwnicy opuszczonego biurowca. Pewnie urządzili tam tymczasowe centrum zarządzania. Mieli

komputery, kable, sprzęt bezprzewodowy, pełen zestaw, wszystko, co trzeba.

– Czy znaleźliście coś, co mogłoby nam wskazać, gdzie zaplanowali kolejny atak? – spytał Wurth.

– Wszystko zniszczyli. Ten chłopak, Dixon, mówił, że posługiwali się przenośną pamięcią, podłączali ją do komputerów i odłączali. W piwnicy śmierdziało benzyną. Zapalili już ogień w jednym z korytarzy. Pewnie liczyli na to, że budynek wyleci w powietrze. I tak by się stało, gdyby brygada antyterrorystyczna nie wkroczyła tam parę minut później.

Nick patrzył na Maggie. Nic z tego, co mówił Ceimo, nie było dla niej zaskoczeniem. Pewnie to była ta przysługa, o którą go prosiła.

– Skąd wiedzieliście, gdzie są? – spytał Nick.

Zauważył, że Ceimo i Maggie wymienili spojrzenia, zanim Ceimo mu odpowiedział, jakby prosił ją o pozwolenie.

– Dixon miał z sobą telefon dziadka. Porywacze nie wyłączyli go, żeby Lee mógł do nich dzwonić. Udało nam się namierzyć ich za pomocą wewnętrznego sygnału GPS komórki.

– Skurczysyny – mruknął Kunze.

– Przechytrzyliśmy drani – rzekł Ceimo z takim samym uśmiechem, z jakim wszedł do pokoju. – Myśleli, że Henry Lee będzie chodził jak na pasku, więc nabrali pewności siebie i nie wyłączyli telefonu. Chłopak twierdzi, że komórka dzwoniła, a oni tylko się z nim drażnili. Nie mieli zamiaru go uwolnić. Ani tej dziewczyny. Nie- stety,

porywacze ulotnili się przed naszym przyjściem. – Wskazał na portret pamięciowy zrobiony przez policyjnego grafika. – Dzieciaki podadzą nam rysopisy.

– A co z Lee? – chciała wiedzieć Maggie.

– Wysłałem do szpitala jednego ze swoich ludzi, żeby go powiadomił. Nie będzie mógł zobaczyć Dixona do chwili, aż to wszystko się skończy. Pewnie wciąż go obserwują.

– Chwileczkę, Henry Lee? Czy o nim mówicie? – Nick spojrzał na Maggie. – Szef HL Enterprises, właściciel United Allied Security, był twoim informatorem?

Maggie rozejrzała się po pokoju, a następnie skinęła głową.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Maggie dała Patrickowi kartę magnetyczną do jednego z pokoi hotelowych.

– Prześpij się – powiedziała. Prawdę mówiąc, nie musiała go długo przekonywać, gdy tylko Ceimo obiecał, że pozwoli mu porozmawiać z Rebeccą.

Charlie Wurth stwierdził, że wszystkim należy się parę godzin snu. Nic więcej nie mogli teraz zrobić. Kiedy Wurth poinformował senatora Fostera o drugim zamachu, ten natychmiast zaoferował swój odrzutowiec, ale samolot miał być gotowy do startu do Phoenix dopiero późnym popołudniem. Wurth wciąż wisiał na telefonie, dzwonił na przemian z komórki i z aparatu stacjonarnego w hotelu. A równocześnie cały czas pracował na komputerze.

Zanim Maggie spakowała laptop, stanął przy niej Nick. Był wyraźnie zdenerwowany.

– Nie wierzę, że nie powiedziałaś mi, kto jest twoim informatorem.

Cóż, uraziła go. Spojrzała mu w oczy.

– Mówiłam ci, że nie mogę tego zdradzić. Przynajmniej do momentu, kiedy będę miała pewność, że jego wnuk jest bezpieczny.

– Ale Ceimo wiedział.

Odetchnęła głęboko. Więc o to chodzi? O tę męską groteskę? O zazdrość między dawnymi rywalami z boiska?

A już myślała, że Nick Morrelli potrafi jednak zachowywać się jak dorosły mężczyzna. W jej pokoju hotelowym, przez minutę czy dwie, pomyślała nawet, że może się zmienił.

– On miał szansę mi pomóc – wyjaśniła – korzystając z wpływów gubernatora.

– Gdybyś mi ufała, powiedziałabyś mi, że to Henry Lee. Ale ponieważ pracuję dla jednej z jego spółek... Bałaś się, że pobiegnę i przekabluję wszystko mojemu szefowi, Alowi Banoffowi?

– Chwileczkę. – Uniosła ręce w obronnym geście. – Nie miałam zielonego pojęcia, że Lee jest większościowym udziałowcem UAS.

– Tylko tak twierdziłaś – rzucił sceptycznie.

– Czemu miałabym kłamać? Czy to insynuujesz? Że skłamałam?

– Nie wiem. A skłamałaś? Zaufałaś Ceimo, a nie mnie. Może podejrzewałaś, że jestem jakoś zaangażowany w całe to... w ten idiotyczny plan zmuszania centrów handlowych i lotnisk do modernizacji systemów bezpieczeństwa?

– Oczywiście, że nie. – Zaczęła się niecierpliwić. – Co najwyżej liczyli na to, że dopilnujesz, aby ich plan nie wyszedł na jaw. – To go uciszyło. Gdy tylko zobaczyła jego zaciśnięte zęby i ten nerwowy tik, zrozumiała, że fatalnie dobrała słowa. – Nie to miałam na myśli – zaczęła przepraszać. – Chodziło mi tylko o to, że wysyłając kogoś nowego, mogli to wykorzystać.

– Kogoś zielonego. Kogoś, kto nie wie, kurwa, co robi.

– Nick.

– Zapomnij o tym. – Machnął ręką. – Teraz mamy większe zmartwienia.

Mimo wszystko wiedziała, że kiedy ruszył do wyjścia, wciąż był zdenerwowany, nadal miał zaciśnięte zęby i pochylone ramiona. Nie wystarczyło mu, że się od niej oddalił, musiał wyjść z sali.

Kiedy odwróciła głowę, ujrzała zastępcę dyrektora Kunzego.

Wskazał brodą na drzwi.

– Proszę się tym nie przejmować. Przejdzie mu. – Uniósł teczkę z dokumentami. – Chcę pani coś pokazać.

– Co takiego?

Rozejrzał się dokoła. Ceimo wyszedł, podobnie Patrick i Nick. Został tylko pochłonięty pracą w kącie sali Wurth. Mimo to Kunze wskazał jej krzesło przy stoliku w przeciwległym rogu.

– To raport. – Podał jej teczkę. – Z Oklahoma City.

– Agenta, który tam pracował? – Gdy przytaknął skinieniem głowy, spytała: – Jak go pan zdobył? – Zwykle dostęp do raportów jest ograniczony. Czasami, zwłaszcza w wypadku makabrycznych zbrodni, agent składa raport bardziej ze względu na swoje zdrowie psychiczne niż w celach informacyjnych.

– Nieważne. Przegrałem sobie kopię. Proszę to wziąć i przejrzeć.

Otworzyła teczkę. Na pierwszy rzut oka jej uwagę zwróciły zaczernione nazwiska, rozmaitość wypełnionych tuszem prostokątów.

– Mieliśmy tego czterdzieści trzy tysiące arkuszy – rzekł Kunze. – Przesłuchano trzydzieści pięć tysięcy świadków. To było przytłaczające. Nie wyobraża sobie pani. Niektórzy ze świadków... – Potrząsnął głową na to wspomnienie. – Na początku śledztwa prowadziłem część przesłuchań. Mogę je pani zrelacjonować tak, jakbym prowadził je w zeszłym tygodniu. Rodney Johnson. Facet był na parkingu po drugiej stronie Fifth Street. Widział dwóch mężczyzn wybiegających z budynku federalnego. Nie rozumiał, dlaczego biegną. Minutę później na skutek eksplozji w jego pikapie wyleciały szyby. Podał rysopis obu mężczyzn. Pierwszy to był wykapany Timothy McVeigh. Drugi mężczyzna miał według niego oliwkową cerę, ciemne włosy, atletyczną budowę ciała i baseballówkę Carolina Panthers. W niczym nie przypominał Terry'ego Nicholsa. – Przerwał na moment. – To samo w Junction City, w Kansas, skąd McVeigh wziął cię- żarówkę. Joanna Van Buren ze sklepu Subway zeznała, że na lunch przyszło trzech mężczyzn. Zapamiętała to, ponieważ musiała rozmienić banknot pięćdziesięciodolarowy, którym zapłacił jej McVeigh. Zadzwoniła do nas niemal natychmiast po tym, jak o sprawie zrobiło się głośno. Pojechałem z drugim agentem do Junction City. Przesłuchaliśmy tę kobietę i dwóch innych sprzedawców. Stwierdzili, że to McVeigh, i podali niezbyt dokładny rysopis dwóch pozostałych. I znowu jeden z nich miał ich zdaniem oliwkową skórę, ciemne włosy i atletyczną budowę ciała. W sklepie z kanapkami była zainstalowana kamera. Myślałem, że mamy szczęście. Skonfiskowałem

nagrania. – Musiał zauważyć napięcie w oczach Maggie, która nagle usiadła prosto, bo zaczął kręcić głową. – Nagranie zniknęło, nawet nie miałem szansy na nie spojrzeć. Niech pani nie pyta, jak to się stało. Ponad dwudziestu świadków zarzekało się, że McVeigh pokazywał się z kimś innym niż Terry Nichols. Podawane przez nich rysopisy wykazywały zdumiewające podobieństwa.

– Przecież dość wcześnie rozpowszechniono portret pamięciowy.

– No właśnie. – Kunze się zawahał. – Ale większość przesłuchań prowadzono, zanim portret pamięciowy w ogóle powstał. Naoczni świadkowie są często niewiarygodni. Tego nas uczą, prawda? Ale żeby tyle osób opisało prawdopodobnie tego samego człowieka?

– Więc co chce mi pan powiedzieć? Że John Doe Numer Dwa naprawdę istniał? Że to on może być Kierownikiem Projektu?

– Nie jestem w stanie stwierdzić, czy istniał. Nie dano nam szansy, żeby się tego dowiedzieć. Wie pani, co to jest brzytwa Ockhama?

– Trochę. – Zmęczenie utrudniało jej koncentrację. Przetarła oczy, mówiąc: – Coś w tym sensie, że najprostsza odpowiedź jest tą właściwą.

Skinął głową, patrząc na swoje dłonie, po czym oparł je na stole i splótł palce.

– Tak właśnie kazano nam postępować – oznajmił w końcu. – Brzytwa Ockhama to zasada, według której, jeżeli ma pani dwie albo więcej teorii, a konkluzja jest ta

sama, to najprostsza z tych teorii jest zwykle poprawna. We wszystkich naszych teoriach, niezależnie od tego, z iloma mężczyznami pokazywał się McVeigh lub też że widziano go kilkakrotnie z tym samym mężczyzną o oliwkowej karnacji, to właśnie on był stałym elementem. Więc należało odrzucić wszystko to, czego nie da się wyjaśnić, co wymaga spekulacji, wszystkie hipotezy.

– Innymi słowy, nie pozwolono wam dojść do tego, kim naprawdę był John Doe Numer Dwa.

– Pewni ludzie nie byli zainteresowani komplikowaniem tej sprawy. Gdy tylko Mc Veigh został aresztowany, od razu tak pokierowano śledztwem, żeby dostał wyrok skazujący. Musieliśmy przynajmniej jego skazać, prawda? A całą resztę... odrzucić. – Urwał, patrząc jej w oczy, jakby chciał się upewnić, czy Maggie wszystko rozumie. Tak, rozumiała i w milczeniu czekała na ciąg dalszy. – Proszę posłuchać, nie mam pojęcia, czy Kierownik Projektu to może być ten sam człowiek – podjął po chwili Kunze. – Zresztą to bez znaczenia, natomiast niepokojące jest nawiązanie do Oklahoma City. Moim zdaniem znaczy to, że nie chodzi tylko o chciwą korporację ochroniarską. Że chodzi o coś więcej niż o wywołanie zamieszania czy otwarcie Amerykanom oczu przez zamianę urządzeń zakłócających na bomby.

– Nie sądzi pan, że cały ten Kierownik Projektu to samotny myśliwy, który korzysta z nadarzającej się okazji?

Wzruszył ramionami.

– Po Oklahoma City pewien dziennikarz – nachylił się do niej, mówił szybciej – sugerował, że McVeigh i Nichols zostali tak naprawdę wrobieni przez federalnego informatora, prowokatora.

– Sugeruje pan, że to rząd sprowokował eksplozje w Oklahoma City?

– Nie rząd rozumiany jako administracja, Boże broń, ale może blisko rządu. Ktoś, kto ma dość władzy i politycznych koneksji. Ktoś zirytowany, że w zasadzie zignorowaliśmy ostrzeżenie, jakim był pierwszy wybuch w World Trade Center w dziewięćdziesiątym trzecim. Ktoś, kto uznał, że czas na pobudkę. Brzmi znajomo?

– Wierzy pan, że tajemnicza grupa Henry'ego Lee istnieje? – Gdy kolejny raz wzruszył ramionami, przypomniała mu: – Przypuszczał pan, że stoi za tym Duma Ameryki?

– Lee powiedział pani, że to tylko zasłona dymna, dla odwrócenia uwagi. Nie zaprzeczył, że coś ich łączy. Niewykluczone, że dzięki tej organizacji pozyskali studentów. Mogli posłużyć się DA, tak samo jak posłużyli się tymi dzieciakami.

– A oni są...

– Czy podejrzenie, że istnieją inni biznesmeni, którzy, podobnie jak Henry Lee, zaczęli od szlachetnych zamiarów, a potem zboczyli z drogi, jest aż tak naciągane? Lee wspomniał o kontraktach biznesowych. Po Oklahoma City podpisano ich całą masę na odbudowę budynków federalnych, a do tego sprzęt ochroniarski, personel.

– Muszę panu powiedzieć, że nie jestem wyznawczynią teorii spiskowej. – Może była tylko wyczerpana, ale jakoś to wszystko, co mówił Kunze, do niej nie przemawiało.

– Proszę pamiętać, że przygotowywana jest właśnie ważna ustawa dotycząca Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. I nie chodzi w niej wyłącznie o dolary dla Phoenix. Myślę, że jeszcze przed wakacjami dwa potężne projekty ustaw zostaną poddane pod głosowanie. Nie znam szczegółów, ale przywracają one pewne sztywne regulacje, jeśli chodzi o sprawy bezpieczeństwa. Zanim beneficjenci otrzymają z federalnej kasy choćby dolara w ramach tej ustawy, muszą spełnić ściśle określone wymogi.

– Powiem to wprost. – Maggie oparła łokcie na stole, a brodę na rękach. – Uważa pan, że Kierownik Projektu, robiąc aluzję do Oklahoma City, uchyla kapelusza? Pokazuje, że podobnie jak w Oklahoma City, te eksplozje to rządowy spisek? – Chciał jej przerwać, ale uniosła rękę. – Już się poprawiam, nie rządowy, ale grupy biznesmenów, którzy mają koneksje wśród polityków. I wynajęli profesjonalnego terrorystę, żeby przeprowadził dwa ataki bombowe tylko po to, żeby ustawa przeszła przez Kongres?

Kunze oparł się o krzesło i westchnął.

– Ma pani rację. To jest naciągane. – Wstał i przeciągnął się, odchylił na moment grubą szyję i zdecydowanie zakończył rozmowę, niezależnie od tego, czy powiedział już wszystko, co zamierzał. Potem, jakby po namyśle, wskazał na teczkę z dokumentami. – Proszę mi zrobić przysługę i jednak to przejrzeć.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Na pokładzie samolotu z Minneapolis

Patrick nigdy dotąd nie leciał prywatnym odrzutowcem. Ogromne skórzane obrotowe fotele rozkładały się wygodnie. Ściany były wyłożone boazerią, a na podłodze leżała wykładzina. Podawano im napoje w kryształowych szklankach. Na drewnianym stoliku widniały cynowe podkładki na szklanki z wygrawerowanymi inicjałami senatora AF. To wszystko było dla niego niezwykłe, a mimo to Patrick myślał wyłącznie o telefonicznej rozmowie z Rebeccą.

Rozmawiali krótko, o wiele za krótko.

– Przepraszam – zaczęła. Po wszystkim, co przeszła, jeszcze go przepraszała. – Dixon zasugerował, że miałeś z tym coś wspólnego. Był przerażony. Pomylił się. Ja też byłam przerażona. Wybaczysz mi?

Czuł ulgę, słysząc jej głos, wiedząc, że w końcu jest bezpieczna. Nie mógł jednak wspomnieć jej o Phoenix. Nie mógł zdradzić, co się dzieje, poza tym, że zobaczą się za dwa dni.

Spojrzał wokół siebie, zastanawiając się, w co tak naprawdę się wpakował. Jeszcze dwa dni temu trzymałby się od tego z daleka, zadowolony, że nie bierze w tym

udziału. Nadal nie był pewny, dlaczego się na to zdecydował, skąd ten wewnętrzny przymus. Zastępca dyrektora Wurth i Nick Morrelli siedzieli z tyłu. Na stoliku przed nimi leżał plan Sky Harbor, a oni pochylali się nad nim. Zastępca dyrektora Kunze zajął jeden z foteli po drugiej stronie przejścia i leżał wyciągnięty, mocno spał, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, sądząc po jego oddechu.

Maggie siedziała naprzeciw brata i patrzyła przez okno na nocne niebo. Wcześniej czytała coś, co wyglądało na kiepskie fotokopie dokumentów z mnóstwem czarnych prostokątnych plam. Patrick gotów byłby się założyć, że to tajne dokumenty, ale chyba nie skupiła na nich całej uwagi. Była czymś zaabsorbowana, jej myśli krążyły wokół czegoś innego. Ale skąd tak naprawdę mógłby to wiedzieć? Powtarzał sobie, że Maggie wcale go nie zna. A czy on starał się ją poznać?

Jedno nie ulegało żadnej wątpliwości – była niezadowolona, że Patrick z nimi leci.

– Naprawdę chciałbym pomóc – rzekł ni stąd, ni zowąd, jakby dopiero teraz sam odpowiedział sobie na pytanie, co tu właściwie robi.

Spojrzała na niego, jakby zapomniała o jego obecności.

– A ja nie chciałabym, żeby coś ci się stało.

Uśmiechnął się. Nie mógł się powstrzymać. Przyłapał się na tym, że próbował ukryć uśmiech, zasłaniając usta ręką. Gdyby wiedziała, co przeżył przez minione dwadzieścia cztery godziny, nie mówiłaby takich rzeczy.

– Co? – spytała jakby niepewnie, jakby obronnie.

– Nigdy nikt się o mnie nie martwił.

– Twoja mama się o ciebie martwi.

Tym razem się zaśmiał. Od razu widać, że Maggie nie zna jego matki.

– Martwiłem się o moją matkę więcej lat, niż ona martwiła się o mnie.

Ich spojrzenia się spotkały i zanim siostra odwróciła wzrok, zobaczył w jej oczach coś znajomego.

Maggie wyjrzała przez okno.

– Mamy więcej wspólnego, niż nam się zdaje – oznajmiła.

– Pewnie dlatego chcę z wami lecieć. – Teraz ona się uśmiechnęła. Niby nic, a sprawiło to Patrickowi przyjemność. – Potrafię się o siebie zatroszczyć. – Miał tylko nadzieję, że Maggie nigdy nie dowie się o przygodzie z suszarką.

Siedzieli w milczeniu. Trochę to było krępujące, ale Patrick rozumiał, że Maggie jemu zostawia decyzję, czym, jeśli w ogóle, chciałby się z nią podzielić. To on miał przerwać ciszę, jeśli czuł taką potrzebę. Może już pora coś jej o sobie powiedzieć, skoro miała go lepiej poznać.

– Zmieniłem specjalizację na studiach – oznajmił.

Zanim rozwinął wątek, Maggie zaskoczyła go, gdy powiedziała:

– Wiem, na pożarnictwo. I jak ci się podoba?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Od chwili opuszczenia Minneapolis coś nie dawało Maggie spokoju. I wciąż nie wiedziała, o co tak naprawdę chodzi. Nawet Patrick ze swoim urokiem i chłopięcą naiwnością nie odciągnął od tego jej myśli. Cieszyła się, że przyrodni brat chce się do niej zbliżyć, zburzyć mur, który sami sobie postawili, choć w dalszym ciągu okrążali się na palcach. Patrick był dobrym, inteligentnym, miłym i samodzielnym młodym mężczyzną. Przygoda, którą przeżył minionego dnia, może dać mu poczucie, że jest niepokonany. Ale śledzeniem zawodowych morderców powinni jednak zajmować się zawodowcy.

Rozmawiała już z Charliem Wurthem o tym, jak wykorzystają Patricka na Sky Harbor, narażając go na jak najmniejsze ryzyko. Chciała cały czas mieć go na oku. Wszyscy mieli się kontaktować za pomocą bezprzewodowego systemu. Żadnych aparatów nadawczo-odbiorczych, które można podsłuchiwać. To miało być coś, czym tylko oni dysponują. Wszyscy będą też mieli na sobie pod strojem podróżnym kuloodporne kamizelki. Zostaną również wyposażeni w system GPS. Starała się o zapewnienie jak największej liczby zabezpieczeń, wiedząc, że jeśli Patrickowi coś się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Zerknęła na Nicka, pochylonego na planami obok Wurtha na tyłach samolotu. Jak mógł pomyśleć, że ona mu nie ufa? Że go okłamała? I kogo ona oszukuje? Gdy tylko go zobaczyła przy pulpicie przed rzędami monitorów i dowiedziała się, że jest śledczym z ramienia spółki ochroniarskiej, nie ufała jego ocenie sytuacji. Jeśli istniała między nimi jakaś chemia, a istniała, nie obejmowała zaufania i lojalności.

Omal nie zatraciła się w tamtym pocałunku w hotelu, w uroku roztaczanym przez Nicka. W tamtym momencie to było jak najbardziej w porządku, ale w związku musi istnieć coś więcej, jakiś solidniejszy fundament poza chemią. A może to ona jest winna? Czy kiedykolwiek zaufa jakiemuś mężczyźnie na tyle, by dopuścić go do swojego życia? Czy ostatnie dwa miesiące niczego jej nie nauczyły?

Przed wejściem na pokład sprawdziła, czy otrzymała jakieś wiadomości. Miała jeden SMS od Bena wysłany wcześnie rano. Żartował na temat jej skoków przez samochody, pisał, że martwi się o nią i żeby zadzwoniła w wolnej chwili. Nie była to wiadomość, jaką lekarz wysłałby swojemu pacjentowi. Nie przywykła, by ktoś poza Gwen i R.J. Tullym troszczył się o nią. Nie przywykła do tego, że komuś na niej zależy. I sama nie wiedziała, jakie uczucia to w niej wzbudza, że taki ktoś się znalazł.

Nagle zdała sobie sprawę, co ją tak dręczy. Nie chodziło o Patricka, Nicka ani nawet o Bena, ale o coś, co powiedział do niej zastępca dyrektora Kunze. Dlaczego wcześniej to do niej nie dotarło? Przeczytała sporą część raportu, nim sobie

uprzytomniła, że był to raport sporządzony przez agenta specjalnego Raymonda Kunzego. Dziwnym trafem nie napomknął o tym, że nie tylko prowadził pierwsze przesłuchania z naocznymi świadkami, ale był też jednym z pierwszych agentów, którzy pojawili się na miejscu zbrodni.

Zerknęła na niego. Spał wygodnie wyciągnięty, przykryty kocem pod brodę. Czternaście lat wcześniej Kunze był mniej więcej w tym samym wieku, co ona teraz. Był doświadczonym agentem, który widział już dość koszmarów, jakie ludzie szykują innym ludziom. A jednak nic nie przygotowuje człowieka na spotkanie z masowym mordem.

Podczas podróży z Waszyngtonu minionego dnia Kunze uczynił wzmiankę o Oklahoma City. Tym razem pojawił się na miejscu na osobistą prośbę gubernatora Minnesoty i senatora z tego stanu, i nawet przywiózł z sobą specjalistkę od profili zbrodniarzy. Jak na kogoś, kto po czternastu latach wciąż wierzy, że John Doe Numer Dwa towarzyszył Timothy'emu McVeigh, po czym rozpłynął się w Oklahoma City, Kunze za bardzo starał się przedstawić wydarzenia w uproszczonej, łatwej do strawienia formie, i zakończyć sprawę eksplozji w centrum handlowym. Czy celowo próbował skierować śledztwo w niewłaściwą stronę, upierając się przy Dumie Ameryki, niszowej grupie białych suprematystów? Ugrupowaniu, które nigdy dotąd nie uciekało się do przemocy. Czy Kunze miał wiedzę na temat

sekretnej grupy Henry’ego Lee? Czy tylko podejrzewał, że istnieje?

Maggie wyciągnęła spod siedzenia torbę z laptopem. Wyjęła z niej teczkę z dokumentami otrzymaną podczas lotu z Waszyngtonu. Dotyczyły ostrzeżeń, czy też tego, co Kunze i senator Foster uznali za ostrzeżenia. Jakość kopii notatek służbowych pozostawiała wiele do życzenia. Wspominano w nich o telefonach i e-mailach, ale nie załączono billingów rozmów ani kserokopii e-maili. Wzmiankowano o jakichś bliżej niesprecyzowanych ostrzeżeniach, za to bardzo szczegółowo pisano o ugrupowaniu zwanym Duma Ameryki, w skrócie DA. Maggie zainteresowało, kiedy wysłano te ostrzeżenia. Kto personalnie otrzymał owe e-maile i kto odebrał telefony? Dlaczego Kunze nabrał przeświadczenia o winie tego konkretnego ugrupowania?

Wreszcie na ostatniej stronie, blisko końca, znalazła kilka słów, w zasadzie przypis:

Przybliżony czas otrzymania e-maili i telefonów nie został odnotowany przez personel senatora Fostera.

A więc to senator był adresatem tych ostrzeżeń.

Maggie rozsiadła się wygodnie w skórzanym fotelu, postukując rogiem teczki o podłokietnik. Rozwiązywanie tej zagadki bardzo ją wyczerpało. Henry Lee oświadczył jej, że Duma Ameryki to tylko zasłona dymna dla odwrócenia uwagi, a Kunze mimo to wierzył, że ugrupowanie mogło być zamieszane w zamach bombowy. Sugerował nawet, że członkowie DA zostali wykorzystani.

Wiele rzeczy w tej sprawie jakoś nie trzymało się kupy niezależnie od tego, jak bardzo starała się odnaleźć w tym sens. Zasłony dymne, porwania, wynajęci zamachowcy i tajne organizacje.

Kunze wspomniał o brzytwie Ockhama, a Maggie przypomniała sobie inną zasadę: „Nie spekuluj na temat hipotez”. Zwykle najprostsza odpowiedź jest tą właściwą. Czy Phoenix to najprostsza odpowiedź, czy tylko spekulacja? Czy lecą do niewłaściwego portu lotniczego? Czy Kierownik Projektu wybrał jednak Las Vegas?

Poprawiła się na fotelu, oparła głowę o miękką skórę i zamknęła oczy. Było coś, czego zastępca dyrektora Kunze nie rozumiał, a czego William Ockham nigdy nie wziąłby pod uwagę, formułując swoją zasadę. To instynkt, na który właśnie liczyła Maggie. Do tej pory każdego dnia zawierzała mu swoje życie. Ufała, że i tym razem jej nie zawiedzie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Wszystko poszło gładko. Żadnych nowych drobnych zakłóceń. Asante był zadowolony.

Grupa w Minneapolis rozwiązała się, zniszczyła albo zabrała z sobą to, co mogłoby ich obciążyć. Gdyby coś zaniedbali albo nawet zostali zatrzymani, to już bez znaczenia. Żadna z tych osób go nie poznała, nie mieli pojęcia, jak wygląda Asante. Kompletnie nic o nim nie wiedzieli. W komórce miał nową kartę SIM. Przeprogramował nawet komputer. Numery, pod którymi się z nim kontaktowali, przestały istnieć. Żaden z nich nie mógł już dodzwonić się do Asantego, co stanowiło kolejny dowód doskonałości Kierownika Projektu. Nawet członkowie jego zespołu zostali od niego odcięci. Był nieosiągalny. Ani ludzie, którzy go wynajęli, ani ci, których on zwerbował, nie mieli już do niego dostępu. Wszystko było gotowe.

Biały chevrolet trailblazer, którego wybrał sobie na parkingu przy lotnisku w Las Vegas, okazał się strzałem w dziesiątkę. Jechało się nim wygodnie. Poza tym suv nie posiadał systemu nawigacji OnStar, co było dodatkowym plusem. Właściciel przypadkiem zostawił wydruk trasy swojej podróży na siedzeniu pasażera. Miał wrócić dopiero w następnym tygodniu.

Objechał parking, aż znalazł innego białego chevy suva. Model był starszy, ale to nie miało znaczenia. Asante sprawnie zamienił tablice rejestracyjne.

Przejechał ponad pięćset siedemdziesiąt kilometrów, robiąc po drodze tylko jeden przystanek. Kilka minut po przekroczeniu granicy Nevady z Arizoną zjechał z trasy i zatrzymał się obok magazynu przechowalni. Cała podróż zajęła mu niewiele ponad sześć godzin.

Teraz jadł kolację w hotelowym pokoju. Według hotelowych standardów była to prawdziwa uczta. Z okna widział lotnisko, linie mrugających świateł, kiedy ostatnie z wieczornych samolotów lądowały i startowały. W Phoenix jedna rzecz mu się podobała. Żadne budynki nie ograniczały widoku. Był ciekaw, czy rano ze swojego okna zobaczy eksplozję.

Asante skończył deser, wytarł wargi płócienną serwetką i odsunął na bok tacę. Wstając, widział też z okna hotelowy parking. Walizki były w chevy trailblazerze, spakowane i gotowe. Wszystko poza tym, czego potrzebował na jutro, wyjął z marynarskiego worka i rozłożył na drugim łóżku.

Wziął do ręki i obejrzał baseballówkę Carolina Panthers. Ślady zniszczenia były już wyraźne, choć przez lata bardzo o nią dbał. Nigdy w życiu nie widział meczu Panthers. Prawdę mówiąc, kupił tę czapkę w sklepie ogólnospożywczym w Junction City, w stanie Kansas. Zrobił to pod wpływem impulsu. Nie wierzył w talizmany, ale tę czapkę chyba tak właśnie traktował.

Potarł dłonie i potoczył wzrokiem po pokoju. Wszystko było gotowe. Żadnych drobnych zakłóceń. Porządnie się wyśpi.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Niedziela 24 listopada
Lotnisko Międzynarodowe Sky Harbor
Phoenix, Arizona

Nick żałował, że nie ma przy nim Jerry’ego Yardena. Ten dziwaczny niski facet miał oko do szczegółów i dryg do elektronicznego sprzętu. Do tej pory byłby już ze wszystkim gotowy. Tymczasem Nick od północy razem z dwoma technikami instalował i przygotowywał do pracy urządzenia, które nauczył się obsługiwać zaledwie parę tygodni temu.

Ponieważ Sky Harbor znajdowało się na liście portów lotniczych przeznaczonych przez UAS do modernizacji, przysłano im także próbki nowego systemu. Minionej no- cy, zaraz po przylocie, Nick skontaktował się z miejscowym szefem UAS. Zaskoczył go, ale referencje, które mu przedstawił, zrobiły na nim wrażenie. Prawdopodobnie Nickowi pomogło również to, że towarzyszył mu zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Nick otrzymał nowy sprzęt i przydzielono mu dwóch techników, którym powiedziano jedynie, że przeprowadzą test. Potem zabrał się do instalowania bezprzewodowych kamer w miejscach, które wybrał razem z Charliem Wurthem, a które do tej pory były ich pozbawione.

Nowe modele charakteryzowały się niewielkimi rozmiarami, ale jeśli Kierownik Projektu był takim zawodowcem, jak się spodziewali, Nick nie chciał ryzykować, że je zauważy. Technicy z entuzjazmem podjęli wyzwanie, szukając takiego sposobu na ukrycie czy przesłonięcie kamer, który nie zakłócałby normalnego działania. Nick był zadowolony z ich pracy, chociaż wiedział, że żadna z kamer nic nie da, jeśli na podstawie portretu pamięciowego nie zidentyfikuje Kierownika Projektu. Na samą myśl serce zaczynało mu walić, a dłonie wilgotniały od potu.

Wurth ostrożnie wybierał ludzi, których powiadamiał o sprawie, i przekonywał Nicka, że żadna inna osoba zatrudniona przez UAS nie powinna być w to włączona. Nie mieli żadnych dowodów na to, że ktoś z UAS, poza Henrym Lee, był zamieszany w ten zamach, lecz Wurth upierał się, że należy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności. Wolał nie ryzykować, że nastąpi jakiś przeciek i dotrze do Kierownika Projektu. Nick przyznał mu rację.

A jednak Wurth ostrzegł Administrację do Spraw Bezpieczeństwa Transportu. Na miejscu był już generał sił powietrznych. Sprowadził też brygadę antyterrorystyczną i saperów z Quantico, pojawili się minionej nocy. Wczesnym rankiem, kiedy Nick i Wurth przechadzali się po terenie lotniska, Wurth wskazał mu członków brygady antyterrorystycznej. Mieli na sobie uniformy obsługi lotniska, zabezpieczali swoje pozycje. Ich wózki były identyczne jak wózki personelu sprzątającego, z tą różnicą,

że zamiast butelek z płynem do czyszczenia łazienek zawierały coś, co Wurth nazwał „bezpiecznymi pojemnikami”. Zwrócił również uwagę Nicka na zamknięty hol i blokujące go drewniane kozły oraz tablicę z napisem „Remont”.

– Tutaj jest wyjście i uzbrojony samochód gotowy do przewiezienia bomby na pusty pas startowy.

W ustach Charliego Wurtha brzmiało to tak, jakby wszystko było proste i świetnie zorganizowane. Nickowi się to podobało. Zupełnie jakby Wurth z góry wiedział, że im się uda zapobiec temu zamachowi.

– Obserwujemy wszystkie trzy terminale – powiedział Nick, kiedy skończyli obchód. – Będziemy też mieć obraz, chociaż ograniczony, strefy sprzedaży biletów. Kiedy opuści te rejony, już nie będę w stanie go śledzić.

– Rozumiem.

– Tutaj, w Terminalu numer cztery, punkty sprzedaży biletów znajdują się na drugim poziomie. – Nick wskazał na ruchome schody. – Ten na prawo od schodów jest trochę na uboczu. Łatwo byłoby zostawić tam paczkę. Przez długą chwilę nikt nie zwróciłby na nią uwagi.

– Wyznaczę kogoś do obserwacji tego miejsca.

Przystanęli przed długim rzędem stanowisk US Airways. Skrzyżowali ręce na piersi, rozstawili nogi, wysocy i prości. Raz jeszcze objęli wszystko spojrzeniem. Zaczęli się pojawiać pierwsi pracownicy lotniska, otwierali drzwi, włączali komputery. Ale w porównaniu z tym, co będzie tutaj za godzinę, wciąż panowała cisza.

– Jesteśmy gotowi – rzekł Wurth, nie ruszając się z miejsca. Powiedział to z przekonaniem.

Nick tylko skinął głową. Zastanawiał się, czy Charliemu Wurthowi też serce tak wali jak jemu.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Terminal 4a
Lotnisko Międzynarodowe Sky Harbor

Maggie stała przy barierce na piętrze, z dala od ruchomych schodów. Rozciągał się stąd widok na strefę sprzedaży biletów, gdzie znajdował się Patrick. Widząc go na dole w niebieskich dżinsach i szarej bluzie z kapturem, nie mogła pozbyć się wrażenia, że wygląda tak samo jak ci chłopcy z Mall of America.

Wurth wyposażył wszystkich w bezprzewodowe słuchawki zakładane za ucho, co pozwalało im się porozumiewać. Nie odróżniali się od zwyczajnych podróżnych rozmawiających przez komórki. Umówili się, że ograniczą wymianę informacji do niezbędnego minimum, ale Maggie wymogła stanowczo, żeby Patrick meldował się jej co kwadrans.

– Jeżeli stracę cię z widoku, chcę cię przynajmniej słyszeć – powiedziała, pomagając mu włożyć kuloodporną kamizelkę.

Krążyli już po terenie lotniska ze dwie godziny, udając podróżnych z torbami na ramieniu. Patrick miał przewieszony przez ramię marynarski worek i trzymał w ręku smartphone’a. Od czasu do czasu przystawał i zerkał na telefon, jakby czytał albo wysyłał wiadomość. Jak normalny chłopak, który wraca do domu lub do college’u po

Święcie Dziękczynienia. Maggie była pod wrażeniem. Grał swoją rolę przekonująco, choć wciąż się rozglądał, nie zatrzymując na nikim wzroku dłużej, by nie wzbudzić podejrzeń. Okazał się w tym lepszy, niż się spodziewała.

Gdzieś tam Nick obserwował monitory odbierające obraz z nowych bezprzewodowych kamer, które zainstalował po kilka w każdym terminalu w miejscu sprzedaży biletów. Długo studiował komputerowy portret Kierownika Projektu. Wszyscy bacznie mu się przyglądali, ale tylko Patrick wydawał się absolutnie przekonany, że rozpozna tego mężczyznę.

Kolejni pasażerowie wjeżdżali ruchomymi schodami. Właśnie odleciały pierwsze tego ranka samoloty. Maggie była pewna, że atak nastąpi rano, ale mogło się okazać, że czeka ich długi dzień. Otworzyła powieść w miękkiej oprawie i oparła się o balustradę. Sprawiała wrażenie pochłoniętej lekturą, gdy tak naprawdę wciąż patrzyła na dół. Przyglądała się wejściom, lustrowała kolejki do odprawy, zwracała baczną uwagę na każdego mężczyznę, który się ociągał i zatrzymywał z boku. Obserwowała twarze osób na ruchomych schodach.

– Przy kiosku z gazetami – powiedziała, dostrzegając mężczyznę, który tam przystanął. Był ubrany w granatową kurtkę i spodnie, miał okulary przeciwsłoneczne i dużą czarną walizkę.

Zerknęła na Patricka i zobaczyła, że ruszył w tamtą stronę wolnym, normalnym krokiem, jakby zainteresowały go gazety, które dojrzał przez szybę kiosku.

– Nie, raczej nie. – Tym razem przyłożył telefon do ucha, żeby każdy, kto na niego patrzy, pomyślał, że rozmawia przez komórkę. – Idę na chwilę do toalety, odezwę się później.

Strefa sprzedaży biletów szybko się zaludniła. Podróżni z bagażami tłoczyli się, czekając na odprawę, stali w kolejkach do samoobsługowych kiosków. Maggie zauważyła, że zastępca dyrektora Kunze, który też był na dole, rozmawia z jakąś kobietą z obsługi lotniska. Z całą pewnością nie wyglądała na snajpera ani członka bryga- dy antyterrorystycznej, ale przecież na tym to właśnie polegało.

Kiedy znów przeniosła wzrok, nigdzie nie dostrzegła Patricka. Wstrzymała oddech, dyskretnie spoglądając dokoła, by nie było widać, że kogoś szuka. Gdzie on się podział?

– Patrick?

W odpowiedzi usłyszała wodę spuszczaną w toalecie. Kunze podniósł na nią wzrok, patrząc z powagą, a potem się odwrócił.

No dobrze, więc jest nadopiekuńczą starszą siostrą. Parę minut później ujrzała Patricka wychodzącego z jednej z toalet, ale szybko znowu zniknął jej z oczu tuż pod ruchomymi schodami.

Spokój, powiedziała sobie. Musisz zachować spokój.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Patrick szedł za mężczyzną, którego spotkał w toalecie. Starał się iść zwyczajnym swobodnym krokiem, choć tak naprawdę chętnie by przyśpieszył. Nie chciał zgubić tego człowieka w tłumie.

Patrząc na niego z tyłu, miał wrażenie, że rozpoznaje chód Kierownika Projektu. Było coś szczególnego w ramionach tego mężczyzny, w jego wyprostowanych plecach, w wysuniętej do przodu klatce piersiowej. Prawie jak u wojskowego. Tak, to było to. Poruszał się jak żołnierz, wciąż w pogotowiu, wyczulony na wszystkich i wszystko, co go otaczało. Nawet głową wciąż kręcił na boki, nie ustając w obserwacji.

Patrick chciał jednak zyskać pewność. Wiedział, że byli tam snajperzy, generał sił powietrznych, a także agenci, i wszyscy czekali na jego sygnał. Jedno jego słowo i dosłownie zaleją terminal. Nie mógł się odezwać, dopóki nie będzie miał stuprocentowej pewności. Nie chciał nawalić. Maggie na niego liczyła.

Mężczyzna skręcił za róg, jakby kierował się na ruchome schody. Patrick odczekał krótką chwilę, udając, że sprawdza komórkę. Wolał nie iść za nim tak blisko, zwłaszcza jeśli obaj mieli jechać ruchomymi schodami. Może obejdzie schody. Może z tamtej strony lepiej mu się przyjrzy.

W momencie, gdy się odwrócił, wpadł na tamtego mężczyznę, który powiedział z uśmiechem:

– Zapomniałeś, że ja też mogę cię rozpoznać. – Przycisnął go do ściany przy schodach, przyszpilając ciężką czarną walizką.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Maggie oparła się o barierkę i zerknęła na zegarek. Nie minęło jeszcze pięć minut. Patrick zniknął jej z oczu tylko na pięć minut. Niewiele brakowało, a znów by się do niego odezwała.

Gdyby Nick zobaczył, że Kierownik Projektu wchodzi do terminalu przez któreś drzwi, ostrzegłby ich wszystkich. Chyba że ten człowiek tak dobrze się kamuflował.

Nie, nie rób tego, powiedziała sobie. Nie spekuluj. Nie zgaduj.

Czy to możliwe, żeby Kierownik Projektu komuś innemu powierzył podrzucenie ładunku? Czy może był tu wcześniej i już zostawił gdzieś niebezpieczny bagaż?

Spojrzała na dół, gdzie tłoczyli się objuczeni torbami i walizkami podróżni, rodzice ciągnęli dzieci za ręce, starsi nie bez problemu przeciskali się przez to ludzkie mrowie. Szukała wzrokiem bagażu, który nie przesuwał się wraz z pasażerami w długiej, powoli sunącej naprzód kolejce do odprawy. Minął ją Wurth, idąc blisko barierki. Robił dokładnie to samo co ona, obserwował bagaże na dole. Zastępca dyrektora Kunze, który był piętro niżej, także rozglądał się za porzuconą walizką czy torbą.

Maggie odwróciła wzrok, tym razem w poszukiwaniu Patricka. Już miała się do niego odezwać, gdy go dostrzegła, jak wychodził zza jednej z barierek. Ciągnął za

sobą czarną walizkę. Zanim jeszcze dojrzała błysk kajdanek, omal nie umarła ze strachu.

– On ma Patricka – szepnęła do słuchawki.

– Tak, zgadza się – odezwał się głos, którego nie rozpoznała.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Patrick nie widział twarzy Maggie. Starał się na nią nie patrzeć. Wiedział, że Kierownik Projektu na to tylko czeka. Mógł z nimi rozmawiać za pomocą bezprzewodowej słuchawki odebranej Patrickowi, ale nie wiedział, kim ani gdzie są. Teraz przystanął jakieś dziesięć metrów dalej, patrzył i czekał, aż Patrick mimowolnie zdradzi mu ich lokalizację.

Cholera jasna. Wszystko schrzanił.

To stało się tak szybko. W jednej chwili ten mężczyzna szedł przed nim, zniknął za rogiem, a po sekundzie znalazł się za plecami Patricka, założył mu kajdanki i przykuł do walizki.

Mimo wszystko Patrick nie dałby głowy, że to ten sam człowiek. Zmienił się diametralnie. W centrum handlowym nosił na głowie baseballówkę, ale włosy były dłuższe i ciemniejsze. Teraz miał niemal całkiem jasną, krótko ostrzyżoną fryzurę. Wówczas Patrick widział też zarost, przyciętą kozią bródkę. Teraz był gładko ogolony. Miał na sobie koszulkę polo, granatową płócienną marynarkę, spodnie khaki i skórzane mokasyny. I nie nosił baseballówki. Ale to jego chód przyciągnął uwagę Patricka. Kiedy jednak Patrick mógł wreszcie spojrzeć mu w oczy, było już za późno.

Niedaleko, ale trochę z boku, Patrick zobaczył zastępcę dyrektora Kunzego. Starał się nie patrzeć na niego znacząco. Kątem oka dostrzegł, że Kunze też mu się specjalnie nie przygląda. Rozmawiał z jakąś sprzątaczką, stojąc obok jej wózka.

Patrick podniósł wzrok na Maggie. Jasna cholera. Kierownik Projektu przyłapał go na tym i powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Ale Maggie zniknęła.

Mężczyzna zaczął znów poruszać wargami. Rozmawiał z nimi, używając słuchawki Patricka. Co on im, do diabła, mówi? Tak szybko się od niego odsunął. Tak szybko, że Patrick nie był pewien, czy ktokolwiek go widział. Czy domyślą się, że to właśnie ten człowiek? Jak go rozpoznają? Czy to w ogóle możliwe?

Patrick rozejrzał się. Kierownik Projektu wciąż lustrował barierkę na wyższym poziomie, przy której chwilę wcześniej stała Maggie. Potem nagle Patrick ją zauważył. Zjeżdżała ruchomymi schodami, z uśmiechem na twarzy rozmawiała ze stojącą obok kobietą. Kierownik Projektu odwrócił się do Patricka plecami, tylko na sekundę czy dwie, ale Patrick wykorzystał tę okazję. Wolną ręką wskazał mężczyznę, po czym uniósł ją wyżej i w momencie, gdy ten znów stanął do niego twarzą, przeczesał palcami włosy.

Czy Maggie to odnotowała? Czy ktoś z nich to dostrzegł? Może jest już za późno, ponieważ mężczyzna się oddalał. W końcu nie musiał znajdować się w pobliżu bomby, którą zamierzał zdetonować pilotem.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Maggie starała się nie okazywać paniki. Miała wrażenie, że ktoś ściska ją za gardło. Żeby normalnie oddychać, musiała się skupić. Powtarzała sobie, że trzeba działać bez zbędnego pośpiechu. Że należy patrzeć, poruszając gałkami ocznymi, a nie kręcić głową. Najważniejszy jest spokój. Trzeba iść w normalnym tempie. Żadnych nerwowych gestów. Żadnych gwałtownych skoków czy obrotów.

Usiłowała odgadnąć, na kogo patrzy Patrick. Żaden ze znajdujących się w jego pobliżu mężczyzn nie przypominał tego z portretu pamięciowego. Jedyny mężczyzna o oliwkowej cerze miał krótkie rozjaśnione słońcem włosy, spodnie khaki i granatową marynarkę.

Spokojnym, wręcz niedałabym krokiem szła w stronę ruchomych schodów.

– Mam pilota – odezwał się znów głos w jej słuchawce. – Nie macie wyboru, musicie pozwolić mi stąd wyjść.

Nikt mu nie odpowiedział. W słuchawce panowała cisza. Nie mogli już porozumiewać się z sobą. W tym momencie ich system komunikowania się był bezużyteczny.

Maggie zjeżdżała schodami, pytając stojącą obok niej kobietę, czy miło spędziła święta. Kobieta zaczęła jej opowiadać o swojej wycieczce, a Maggie uśmiechała się do niej i spoglądała ponad jej ramieniem. Patrick wyglądał

bardzo nieszczęśliwie. Zerkał w jej stronę. Nie była pewna, czy ją widział. Nagle dojrzała jego uniesioną rękę. Wyciągnął palec wskazujący, a potem przeczesał palcami włosy. Wskazywał na kogoś. Dawał im sygnał, pokazał Kierownika Projektu.

Zjechawszy na dół, Maggie ruszyła w kierunku brata. Była już dość blisko, by ich oczy się spotkały. Patrick uciekł spojrzeniem i popatrzył w tę samą stronę, w którą wcześniej wskazywał palcem.

A więc Kierownik Projektu to musi być ten człowiek w granatowej marynarce i spodniach khaki. Szedł do wyjścia, ale wciąż miał Patricka na oku.

– Pozwolicie mi stąd wyjść – odezwał się znowu i tym razem Maggie dojrzała jego poruszające się wargi. W dalszym ciągu nie zwrócił na nią uwagi, już nie rozglądał się na boki.

Kunze znajdował się najbliżej Patricka. Wraz ze sprzątaczką posuwał się naprzód. Chyba do tej pory nie zidentyfikował Kierownika Projektu. Maggie obrzuciła wzrokiem barierkę na wyższym poziomie, nie dostrzegając tam Wurtha. Czy tylko ona widziała podejrzanego?

Spojrzała ponownie na Patricka, który tym razem popatrzył jej w oczy. Znów wskazał jej wzrokiem Kierownika Projektu i ruszał wargami, jakby coś do niej mówił. Mówił jej, żeby poszła za tym człowiekiem. Żeby nie pozwoliła mu zniknąć. Ale ona nie mogła przecież zostawić Patricka przykutego kajdankami do walizki z bombą.

Tymczasem Kierownik Projektu właśnie wyszedł z terminalu. Co go powstrzyma przed zdetonowaniem ładunku, kiedy znajdzie się poza zasięgiem wybuchu? Musi go powstrzymać. Maggie pomachała do Kunzego, dając mu znak, żeby pomógł Patrickowi. Kunze nadal szedł w jego stronę razem z pchającą wózek sprzątaczką. Maggie puściła się biegiem, torując sobie drogę w tłumie podróżnych. Wsunęła prawą rękę pod kurtkę i ścisnęła smitha & wessona, ale jeszcze nie wyciągnęła go z kabury.

Wybiegła na chodnik, trzaskając drzwiami, i przystanęła. Przed chwilą go widziała, jak skręcał w prawo, ale teraz zniknął gdzieś za długą, stojącą wzdłuż krawężnika kolejką ludzi czekających na odprawę. Przepychała się, potykając o stopy i bagaże. Gdy go dostrzegła, był jakieś pięć długości samochodu przed nią, wsiadał na miejsce pasażera do czarnego sedana. Maggie przedarła się pomiędzy zaskoczonymi i przestraszonymi podróżnymi, ale samochód już ruszał. Dojrzała jeszcze tablicę rejestracyjną i bezradnie patrzyła, jak odjeżdża.

Bez tchu oparła się o betonową ławkę. Wtedy właśnie nastąpiła eksplozja. Tak silna, że wibracje omal nie zwaliły jej z nóg.

Spóźniła się.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Poniedziałek 26 listopada
Siedziba FBI
111 Washington Avenue South
Minneapolis, Minnesota

Maggie wciąż czekała, powoli traciła już cierpliwość. Nie chciała więcej o tym rozmawiać. Nic nie zmieni tego, co się stało. Niezależnie od liczby przesłuchań i raportów, jej poczucie winy i żal nie znikną.

Tym razem zastępca dyrektora Kunze pojawił się sam. Usiadł naprzeciw niej i milczał. Położył dłonie na stole, splótł palce. Maggie znała ten gest. O co znów chodzi? Sięgnęła pamięcią do znaczenia języka ciała. Złożone dłonie na początku rozmowy często nie zapowiadają niczego dobrego. Jeszcze bardziej zesztywniała.

– Nie było takiej szansy, żeby ktokolwiek z nas wiedział o drugiej bombie – rzekł w końcu.

Skinęła głową. Poprawiła się na twardym krześle, obolała od długiego siedzenia. Miała ochotę wstać, pochodzić, spalić nerwową energię.

– Ładunek zniszczył piętrowy parking, prawie sto samochodów. Były dziesiątki rannych, ale tylko dwie ofiary śmiertelne.

Powiedział tak, jakby to nic nie znaczyło, jak gdyby popełniono tylko drobny błąd. Zgadzała się, że w porównaniu z Oklahoma City czy Mall of America to był rzeczywiście niezbyt silny wybuch.

– Mogło skończyć się o wiele gorzej – oznajmił, bo nadal nie odpowiadała.

– Znaleziono jakiś trop, który by nas do niego doprowadził?

– On jest jak duch. Zniknął. Ulotnił się. Przypuszczamy, że wysadził garaż, by zniszczyć samochód, którym się poruszał.

– A co z czarnym sedanem?

Kunze przeniósł wzrok. Spojrzał na swoje dłonie. Zerknął na Maggie, ale nie popatrzył jej w oczy.

– Widziałam tablicę rejestracyjną – upierała się. Sama próbowała odnaleźć te numery, korzystając z certyfikatu bezpieczeństwa, lecz do tej pory niczego nie znalazła. Za każdym razem odmawiano jej dostępu i podawano kod referencyjny.

– Była pani zdenerwowana – rzekł tonem zbyt łagodnym jak na siebie. – Musiała pani mylnie zapamiętać te numery. To się zdarza. Nerwy. Adrenalina. Wystarczy, żeby pomylić jedną czy dwie cyfry.

Popatrzyła na niego uważnie. Wiedziała, że nawet on nie wierzył we własne słowa. Czy tak właśnie było w Oklahoma City? Czy w ten sposób pozbywali się dowodów, które nie pasowały do ich teorii? Twierdząc, że ktoś się pomylił?

– Szukałam tych numerów na własną rękę. – Nie wyglądał na zaskoczonego. Bo zresztą i dlaczego miałby być. – Wciąż otrzymywałam kod referencyjny. Nie mam dostępu, żeby je wyśledzić, ale sądzę, że to mógł być samochód rządowy.

Tym razem Kunze spojrzał jej w oczy i nie spuszczał wzroku.

– Niech pani to zostawi, O'Dell. Niech pani to zostawi.

– Wiedział pan? – spytała.

– Wciąż nie wiem – rzekł szczerze bez chwili wahania. – I nie chcę wiedzieć. Pani też nie powinna w tym grzebać. Proszę wracać do domu. Proszę wziąć sobie kilka dni wolnego. Niech pani się cieszy, że zatłoczone lotnisko, a z nim setki ludzi, nie wyleciało w powietrze.

– Ale sprawa nie została jeszcze rozwiązana.

– Dla pani jest zakończona – rzekł znów zbyt łagodnym tonem. – Zostaje pani oficjalnie odsunięta od tej sprawy. Biorąc pod uwagę, co przydarzyło się pani bratu, jest pani zbyt emocjonalnie zaangażowana.

Chciała rzucić mu w twarz pytanie, czy faktycznie chodzi o to, że sprawa dotyka ją osobiście, czy może raczej niebezpiecznie zbliżyła się do prawdy? Prawdy, której Kunze woli nie znać.

Odsunął się od stołu, szurając nogami krzesła po podłodze. Zamknął temat. Wstał i otworzył drzwi, odprawiając ją, zanim wyraziła sprzeciw.

Maggie wyszła za nim na korytarz. Charlie Wurth i Nick Morrelli siedzieli trzy pokoje dalej. Właśnie zakończyli przesłuchania i także wyszli. Gdzieś za jej plecami trzasnęły

drzwi. Odwróciła się i zobaczyła, jak kolejny agent wyprowadza z pokoju Patricka. Chłopak wyglądał na wyczerpanego. Przyłapała go na tym, jak nieświadomie pocierał nadgarstek w miejscu, gdzie wcześniej miał założone kajdanki, które zostawiły ślad na skórze.

Ten gest znowu przywołał uczucie kompletnej bezradności, jakby jechała kolejką górską, tracąc grunt pod nogami i nad niczym nie panując. Myślała przecież, że eksplodował ładunek w ciągniętej przez Patricka walizce. Tymczasem wybuch nastąpił na piętrowym parkingu, gdzie podłożono drugą bombę. Kilka sekund po tym, jak Maggie pognała do wyjścia, brygada antyterrorystyczna przecięła kajdanki Patricka. Po paru następnych sekundach walizka z ładunkiem wybuchowym została przeniesiona do samochodu, którym przewieziono ją na opuszczony pas startowy. Dzięki temu, że umieszczono ją w kontenerze z ołowianej blachy, ładunku nie można było zdetonować za pomocą pilota.

– Gratulacje – rzekł Charlie Wurth do Kunzego, wyciągając do niego rękę. – Właśnie słyszałem nowiny.

Wszyscy zwrócili spojrzenia na Kunzego, które nagle jakby ogarnęło zażenowanie. Maggie domyśliła się, że otrzymał jakieś pochwały, ale nie spodziewała się tego, co nastąpiło później.

– Zastępca dyrektora Kunze jest już oficjalnie pani nowym szefem – rzekł Wurth do Maggie ze szczerym uśmiechem.

Popatrzyła na Kunzego. To była prawda. Kiwał głową, próbował się uśmiechać, przyjmując gratulacje od innych

osób. Maggie zaś nie mogła uciec od myśli, że po raz kolejny się sprzedał.

– No to zakończyliśmy już tutaj nasze sprawy – powiedział Kunze, zamykając temat. – Poproszę, żeby ktoś zawiózł nas do hotelu albo na lotnisko.

– Dziękuję, ale my z Patrickiem mamy transport. – Maggie cieszyła się, że ma wymówkę.

Charlie Wurth uścisnął dłoń Patricka, a potem Maggie, przytrzymując jej rękę nieco dłużej.

– Gdyby zechciała pani dla mnie pracować, agentko O'Dell, zapraszam w każdej chwili. To byłby wielki zaszczyt dla Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego mieć takiego pracownika. – Przez chwilę patrzył jej w oczy.

Wiedziała, że nie żartował.

– Dziękuję, pomyślę o tym.

Nie odwróciła się już do zastępcy dyrektora Kunzego.

Nick uparł się, że ich odprowadzi. Maggie szła pierwsza, zatrzymując się w holu.

– To co, chyba znowu się żegnamy – odezwał się Nick, uścisnąwszy Patricka niezgrabnie, ale po przyjacielsku, jedną ręką, jak kumpel kumpla. Kiedy żegnał się z Maggie, przytulił ją, a ona poczuła muśnięcie jego warg na policzku, nim wypuścił ją z objęć.

Patrząc mu w oczy, bez zaskoczenia stwierdziła, że iskra przygasła. Tak, nadal czuł się urażony, zawiedziony. Zastanawiała się, czy uznał, że to ich ostatnie pożegnanie, tym razem na dobre.

– Kiedy wracasz do Omaha?

– Mam samolot dzisiaj po południu. Mój ojciec jest w szpitalu.

– Coś poważnego?

– Konsekwencje udaru, który przeszedł jakiś czas temu, ale wygląda na to, że Boże Narodzenie spędzi w domu.

– Podwieźć cię gdzieś? – spytała. – Rano wypożyczyłam samochód.

– Dzięki, nie trzeba. Ktoś mnie podrzuci.

– Trzymaj się – powiedziała, czując, że nie były to najbardziej odpowiednie słowa.

Kiedy schodziła z bratem po schodach, zdawało się jej, że zauważyła Jamie, tę blondynkę, specjalistkę od bomb, jak parkowała samochód na jednym z miejsc dla gości przed budynkiem.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Zjedli lunch w „Róży i Koronie”, a potem Maggie podrzuciła brata do hotelu. Przed wieczornym odlotem do Waszyngtonu miała jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Wpisała parę adresów do systemu nawigacji wypożyczonego samochodu i zdała się na niego, krążąc myślami w całkiem innych rejonach. Zastępca dyrektora Kunze w zamian za oficjalną nominację na stanowisko, które miał piastować jedynie tymczasowo, pozostawił kilka pytań bez odpowiedzi. I wydawało się, że nie miał z tym żadnego problemu. W końcu tak samo postąpił w Oklahoma City. Jego sumienie odezwało się tylko okazjonalnie, gdy przyznał się do tego, przekazując jej swój raport. Więc co się stało? Czy kiedy już człowiek zdecyduje się sprzedać po kawałku swoją duszę, za każdym kolejnym razem przychodzi mu to łatwiej?

Czy Kunze od początku chciał wrobić DA? Czy Chad Hendricks i Tyler Bennett zostaliby oskarżeni o wysadzenie Mall of America i zabicie czterdziestu trzech, jak już obliczono, niewinnych osób? Chociaż nie było nikogo, żadnych kozłów ofiarnych, których można by oskarżyć o Phoenix, Kunze nie powstrzymał miejscowych organów ochrony porządku publicznego przed poszukiwaniem dwóch młodych białych mężczyzn, prawdopodobnie studentów

college’u, podejrzanych o kradzież spalonego teraz chevy trailblazera.

Ale co mogła zrobić Maggie? Została oficjalnie odsunięta od sprawy.

Minionego wieczoru, kiedy nie mogła zasnąć, przeglądała dokumenty i artykuły prasowe, poprawki i propozycje Kongresu. Miała nadzieję, że zastępca dyrektora Kunze zechce jej wysłuchać. Nie zdawała sobie sprawy, że on już podjął decyzję.

Opuściwszy budynek FBI, kierując się wyłącznie przeczuciem, zadzwoniła do kilku osób, które miały wobec niej dług wdzięczności. Liczyła, że spełnią złożone wcześniej obietnice. To niewiele, a już na pewno nie dość, by stawiać na szali swoją karierę.

Znalazła się znowu w centrum, na Washington Avenue, niecałe cztery przecznice od siedziby FBI.

Charlie Wurth czekał na nią w holu.

– Jest pani pewna, że chce pani to zrobić? – spytał, kiedy minęli stanowisko ochrony.

– Na sto procent. Ale zrozumiem, jeśli pan zmienił zdanie.

– Nie, przeciwnie, cheurie. Jestem pani to winien. Poza tym dostałem tę robotę dzięki temu, że jestem buntownikiem. Ale czy nie przypuszcza pani, że nasz przyjaciel mógł zmienić zdanie?

– Obiecał, że się z nami tutaj spotka. – Mówiąc to, Maggie wcale nie była przekonana, czy ta obietnica zostanie dotrzymana.

Wsiedli do windy i jechali w milczeniu. Zdjęli płaszcze, trzymali je w rękach. Maggie zauważyła, że Wurth się przebrał, miał na sobie stalowoniebieski garnitur i cytrynowożółtą koszulę z pomarańczowym krawatem. Jej granatowy kostium wyglądał przy tym nijako, bezbarwnie i oficjalnie. Stali ramię w ramię i tak też ruszyli korytarzem do biur mieszczących się na jego końcu.

– Witam, jesteście państwo na dzisiaj umówieni? – spytała młoda kobieta, kiedy obeszli potężną recepcję, ignorując ją i kierując się wprost do otwartych drzwi za jej biurkiem. – Przepraszam – próbowała ich zatrzymać.

– Wszystko w porządku – zawołał senator Foster ze swojego gabinetu. – Proszę wejść. Witam państwa. – Podniósł się zza biurka z marmurowym blatem i gestem zaprosił ich do środka. – Bardzo się cieszę, że jesteście cali i zdrowi.

– Prawdę mówiąc, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. – Wurth był chłodny i profesjonalny. – Między innymi na temat ustawy, której jest pan jednym z projektodawców.

Szukając jak szalona w dostępnych w internecie dokumentach, Maggie odkryła, że senator Foster był jednym z projektodawców bardzo kosztownej ustawy dotyczącej Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, która miała zostać poddana pod głosowanie Kongresu tuż przed wakacjami. To była ta sama ustawa, o której wspomniał Kunze, mówiąc, że ma zwiększyć bezpieczeństwo na lotniskach, w centrach handlowych i na stadionach.

Ustawa, dzięki której, zdaniem Nicka, federalne pieniądze miały popłynąć do Phoenix.

– Oczywiście – odparł senator Foster. Pogładził palcami siwe włosy. Maggie wypatrywała u niego jakichś oznak zdenerwowania czy niepokoju, ale doskonale znał swoją rolę.

Wurth dał jej znak, żeby zabrała głos.

– Wiemy, że pomógł mu pan uciec.

– Słucham? – spytał senator z ledwie wyczuwalnym zaskoczeniem.

– Kierownikowi Projektu. Podstawił pan dla niego rządowy samochód. Trudny do wyśledzenia. Trzeba było pokonać wiele kodów zabezpieczających, ale nam się udało.

Senator kręcił głową, na jego twarz wypłynął uśmiech – a może raczej grymas.

– To idiotyczne. Udostępniłem wam rządowy samolot, który mam do dyspozycji, żeby zabrał was do Phoenix, ale nic mi nie wiadomo o żadnym samochodzie. Czy wasi przełożeni wiedzą o tych szalonych oskarżeniach?

– Wiemy o waszej tajnej organizacji – przejął pałeczkę Wurth. – Posiadamy listę nazwisk wszystkich biznesmenów i polityków.

– To jakiś absurd. Doprowadzę do tego, że obydwoje wylądujecie za biurkiem. Wzywam ochronę.

Senator Foster sięgnął po telefon, ale się powstrzymał. Szeroko otwartymi oczami patrzył gdzieś między Maggie a Wurthem. Maggie obejrzała się i ujrzała w drzwiach Henry’ego Lee.

A więc jednak przyszedł. Dotrzymał słowa.
– To już koniec, Allan – rzekł. – Pora wyznać całą prawdę.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

Poniedziałek rano
Międzynarodowe lotnisko St. Paul, Minneapolis

Patrick zaczął ziewać. Przyłapał się na tym, kiedy Maggie na niego spojrzała.

– Może powinniśmy polecieć rannym samolotem. Jesteśmy niewyspani, ledwie trzymamy się na nogach.

– Hej, żadne z nas nie usiądzie za sterem. Damy radę. – Siedzieli tu już chyba dwadzieścia minut, a zdawało im się, że wiele godzin.

– Jeśli chcesz spać w samolocie, nie ma sprawy. – Patrick popatrzył na nią, unosząc brwi.

– Przepraszam – sumitowała się. – Nie przepadam za lataniem.

– Naprawdę? – Gdy przytaknęła, dodał: – Mamy miejsca w pierwszej klasie. Może kieliszek wina dobrze ci zrobi? – Od razu pożałował swoich słów. Ale głupek z niego. Przecież wiedział, że Maggie nie pije, nie może pić. Wszystko jedno. Musiał przyznać, że czuł się trochę podminowany. Wciąż trzymała go adrenalina. Wyglądało na to, że Maggie także. – Czy do tego w ogóle można się przyzwyczaić? – spytał. – Wciąż myślę, że ten facet gdzieś tam jest.

– Czasami nam się wymykają. – Wzruszyła ramionami, ale zobaczył, że mimowolnie dotknęła kurtki w miejscu, gdzie pod spodem zwykle nosiła broń. Musiała oddać rewolwer na czas lotu i najwyraźniej go jej brakowało. – Przestępcy nie zmieniają się tylko dlatego, że zdołają uciec. Zazwyczaj ich to ośmiela, wręcz rozzuchwala, czasami nawet stają się nieostrożni. Może złapią go za przekroczenie prędkości albo rozbity tylny reflektor w samochodzie. Timothy McVeigh został zatrzymany na przedmieściach Perry w Oklahomie przez stanowego policjanta kilka godzin po eksplozji. Tylko dlatego, że jego samochód nie miał tablicy rejestracyjnej.

Patrick słuchał jej, ale nie był pewien, czy Kierownik Projektu kiedykolwiek znajdzie się w podobnej sytuacji. Nie mógł zapomnieć jego oczu, ciemnoniebieskich, przeszywających i przyszpilających oczu. Miał kłopoty ze snem, a ilekroć zdrzemnął się na chwilę, pojawiała się przed nim uśmiechnięta twarz Kierownika Projektu, który zakłada mu kajdanki. Czasami w tych snach bomba jednak eksplodowała i rozrywała go na kawałki.

Przypuszczał, że to normalna reakcja po takiej traumie. Przejdzie mu za parę dni, może za tydzień.

W tym właśnie momencie Patrick go zobaczył.

Rozpoznał charakterystyczny chód, żołnierski krok i postawę, wyprostowane plecy, wypiętą pierś. Mężczyzna rozglądał się na boki. Serce Patricka zaczęło walić. Jezu, to nie do wiary. A może jednak? Włosy miał nadal jasne, tak samo krótko ostrzyżone. Nosił nawet tę samą koszulkę polo,

granatową marynarkę, spodnie khaki i skórzane mokasyny. I ciągnął czarną walizkę.

– To on – szepnął do Maggie. Podniosła wzrok, a Patrick wskazał jej mężczyznę brodą. Czuł, że siostra zesztywniała. – Czy to możliwe? Czy on by się tak zachował?

– Zostań tutaj.

Podniosła się powoli, wyciągając z kurtki swoją odznakę. Otworzyła ją i wsadziła do kieszeni tak, by była widoczna. Potem ruszyła w stronę mężczyzny.

Patrick nie spuszczał z niego wzroku. Widział tylko profil. Chciał choć na moment spojrzeć temu człowiekowi w oczy. W tym celu wstał i podążył w przeciwnym kierunku. Maggie zerkała na Patricka, jakby prosiła go o potwierdzenie. Skinął głową. Od mężczyzny dzieliły ją już tylko trzy osoby.

Mężczyzna szedł w stronę rampy prowadzącej na inny terminal. Jeśli wejdzie w tłum, zgubią go. Patrick pamiętał, jak zręcznie poradził sobie w Phoenix. W jednej chwili znajdował się przed nim, a po paru sekundach za jego plecami.

Maggie zbliżała się do niego. Trzy, może cztery metry dzieliły go od rampy, gdzie zmiesza się z tłumem podróżnych. Patrick dostrzegł, że Maggie się odezwała. Mężczyzna przystanął, lecz nim się odwrócił, Maggie chwyciła go za kołnierz i pchnęła na ścianę. Wykręciła mu do tyłu rękę, po czym wezwała ochronę.

Wszyscy się zatrzymali. Dwaj funkcjonariusze ochrony wyciągnęli broń. Obaj celowali w Maggie.

– Jestem z FBI.

Patrick słyszał jej głos, pokazywała im swoją odznakę zwisającą z kieszeni na biodrze. Wciąż trzymała mężczyznę za rękę i za kołnierz.

W ciągu kilku sekund pojawili się kolejni ochroniarze, odsuwając na bok podróżnych. Trzech z nich dołączyło do dwóch pierwszych. Jeden z nich zajął się odznaką FBI, pilnie ją studiował. Dwaj pozostali uwolnili mężczyznę z rąk Maggie, ale nadal trzymali go przy ścianie, kazali mu kucnąć. Nikt nie tknął walizki.

Maggie pomachała do Patricka i pokazała go jednemu z ochroniarzy. Patrick torował sobie drogę przez tłum, który natychmiast zebrał się wokół niego. Ledwie trzymał się na nogach. Serce nie przestawało mu walić. Kiedy dotarł do siostry i stanął u jej boku, ochroniarze kazali mężczyźnie się odwrócić.

Patrick nareszcie spojrzał mu w oczy i spuścił nos na kwintę.

– To nie on – rzekł.

EPILOG

Niedziela rano, 24 grudnia
Newburgh Heights, Wirginia

– Masz przepięknie udekorowany dom – stwierdziła Julia Racine, kiedy Maggie wprowadziła ją do kuchni.

Racine zatrzymała się na widok Gwen i Tully'ego, a zwłaszcza Tully'ego, który stał z podwiniętymi rękawami, obwiązany czerwonym fartuchem z napisem „Grill Baby Grill". Nie podniósł wzroku znad renifera z ciasta, którego polewał lukrem.

– Nic nie mów – ostrzegł, nadal nie podnosząc wzroku i uwijając się wokół rogów renifera. – Gdzie podział się Patrick? To on mnie w to wrobił.

– Jest na tyłach domu z Emmą i Rebeccą – odparła Maggie, zerkając przez kuchenne okno na podwórze.

Młodzież pospołu rzucała Harveyowi śnieżki. Przez chwilę Maggie miała dziwne poczucie deujav vu, znów przypomniała sobie dzień po Święcie Dziękczynienia, kiedy musiała opuścić pełen przyjaciół dom. Przyłapała się na tym, że oddycha głęboko.

– Może namówią ją, żeby wybrała Uniwersytet Stanowy w New Haven – rzekł Tully.

– Jeszcze nie wybrała uczelni?

– Zbyt wiele rzeczy odwraca jej uwagę.

Maggie tego nie skomentowała. Nie minęły jeszcze trzy miesiące od chwili, gdy córka Tully'ego Emma musiała sobie poradzić z bardzo trudną sytuacją. Jej ojciec i matka stali się celami szaleńca. To wymaga czasu. Patrick też go potrzebuje, żeby dojść do siebie.

Poprzedniego dnia przyjechał z Rebeccą z Connecticut, żeby spędzić te święta z Maggie i Harveyem. Minionego wieczoru – kiedy Rebecca już się położyła – wyznał jej, że wciąż ma koszmary związane z Kierownikiem Projektu, który przykuwa go kajdankami do walizki z bombą. Powinna mu coś na to poradzić. W końcu tyle już razy przeżywała podobne sytuacje i rozmaici zbrodniarze nawiedzali jej sny. A jednak powiedziała mu tylko, że czas leczy rany. Tylko tyle miała mu do powiedzenia na pocieszenie.

Pomimo wysiłków, w których wspierali ją Charlie Wurth i Henry Lee, tak zwana tajna organizacja zdołała zewrzeć szeregi i pozamykać wokół siebie wszystkie drzwi. Zebranie dowodów i wniesienie oskarżenia zajmie kilka dodatkowych miesięcy. Allan Foster nadal był przesłuchiwany. Zrezygnował z fotela w Senacie, zanim go oficjalnie wyrzucono, a jednak inny człowiek, który wraz z nim był projektodawcą ustawy dotyczącej Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, zdołał doprowadzić do jej uchwalenia przy nieznacznym sprzeciwie. Tuż po dwóch atakach bombowych uznano to za patriotyczny obowiązek. Henry Lee zamierzał spędzić święta z żoną i wnukiem, zeznania zapewniły mu wolność.

Natomiast jeśli chodzi o Kierownika Projektu, to jak Maggie miała powiedzieć Patrickowi, żeby się nie przejmował? Ten człowiek rozpłynął się, ulotnił bez śladu.

Po raz kolejny odezwał się dzwonek u drzwi. Maggie zostawiła gości w kuchni i poszła otworzyć. Za progiem stał Benjamin Platt. W jednej ręce trzymał west highland terriera o imieniu Digger, w drugiej zaś jemiołę, którą uniósł wysoko nad głowę.

– Wesołych świąt!

Maggie pogłaskała Diggera i z uśmiechem pocałowała czubek jego łba.

Ben zaśmiał się i potrząsnął głową.

– Ten pies zawsze ma lepiej niż ja.

Wszedł do środka i postawił Diggera, który czmychnął w kierunku dochodzących z kuchni głosów.

– A co, nie przyciąga kobiet jak magnes, jak się spodziewałeś? – Pomogła mu zdjąć płaszcz, a kiedy stała za jego plecami, szepnęła mu do ucha: – Nie potrzebujesz psa ani jemioły.

Jego spojrzenie wystarczyło, by przeszły ją dreszcze.

Przerwał im Patrick.

– Jesteśmy gotowi. Idziemy?

– Wychodzicie gdzieś? – spytał Ben. – Właśnie przyszedłem.

– Wracamy za jakąś godzinkę – odparła Maggie.

Patrick odebrał od niej płaszcz Bena i podał siostrze ciepłą kurtkę.

– Zabiera mnie na polowanie na choinkę – wyjaśnił Patrick.

– Przyniesiemy najbardziej magiczną choinkę, jaką uda nam się znaleźć.

OD AUTORKI

Po wybuchu bomby w Oklahoma City co najmniej dwudziestu świadków tego zdarzenia twierdziło, że widziało w różnych miejscach i o różnych porach „trzeciego terrorystę” albo „Johna Doe Numer Dwa” wraz z Timothym McVeigh. Wszyscy zawsze opisywali go tak samo. Ponad połowa z tych świadków składała zeznania, zanim ukończono osławiony już portret pamięciowy. Wszystkie twierdzenia zawarte w tej książce na temat współpracy trzeciego terrorysty są oparte na cudzych opiniach. Niektórzy, w tym pierwszy obrońca Timothy’ego McVeigh, wciąż wierzą, że tajemniczy John Doe Numer Dwa to tak naprawdę mózg tej tragicznej operacji. Nikt jednak nie wie, co się z nim stało.

Tytuł oryginału: Black Friday
Pierwsze wydanie: Mira Books S.A., 2009
Opracowanie graficzne: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga
Korekta: Władysław Ordęga

© 2009 by S.M. Kava
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp z o.o, Warszawa 2010, 2011, 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Trevillion Images
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp z o.o
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1 B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-9672-2

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.